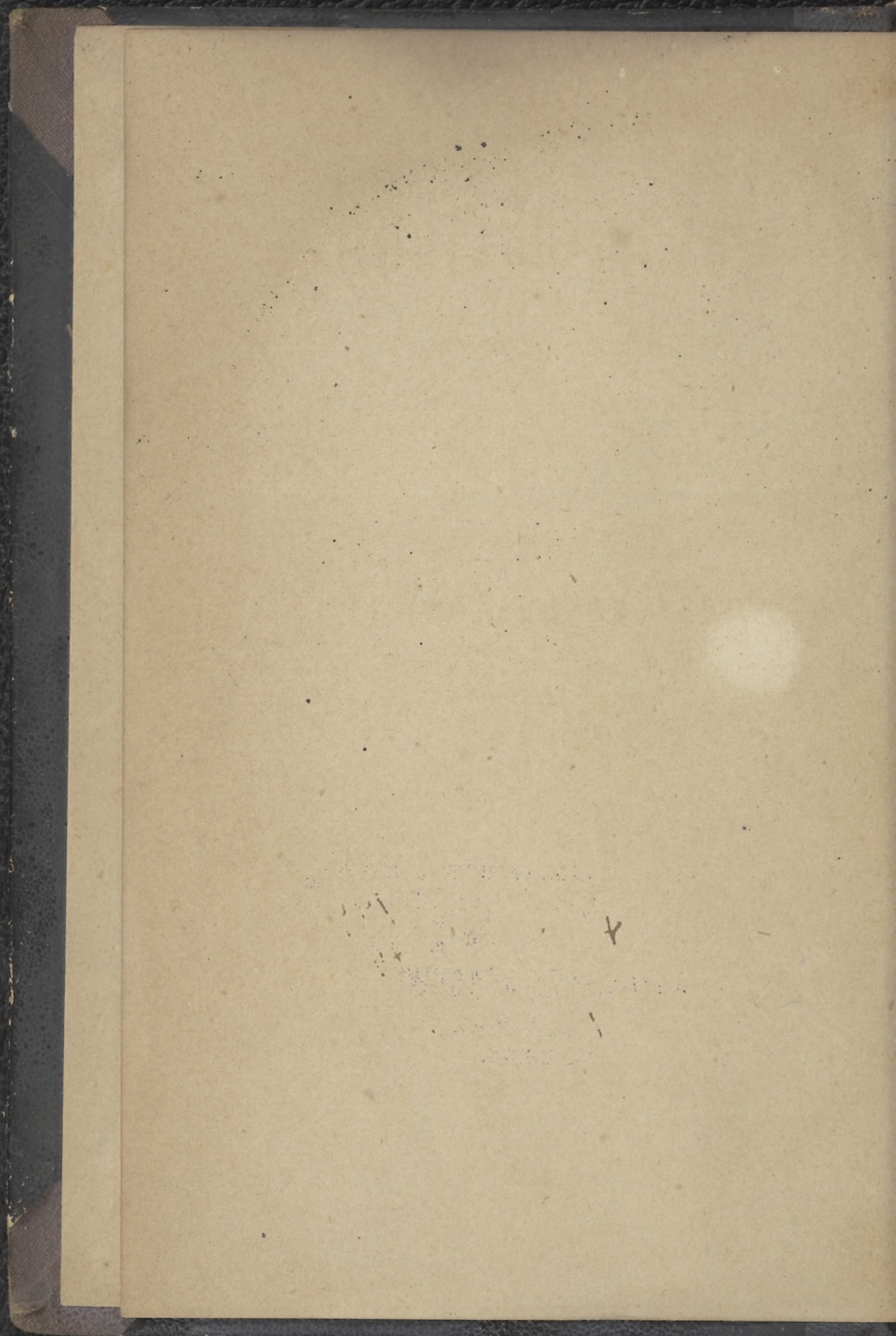


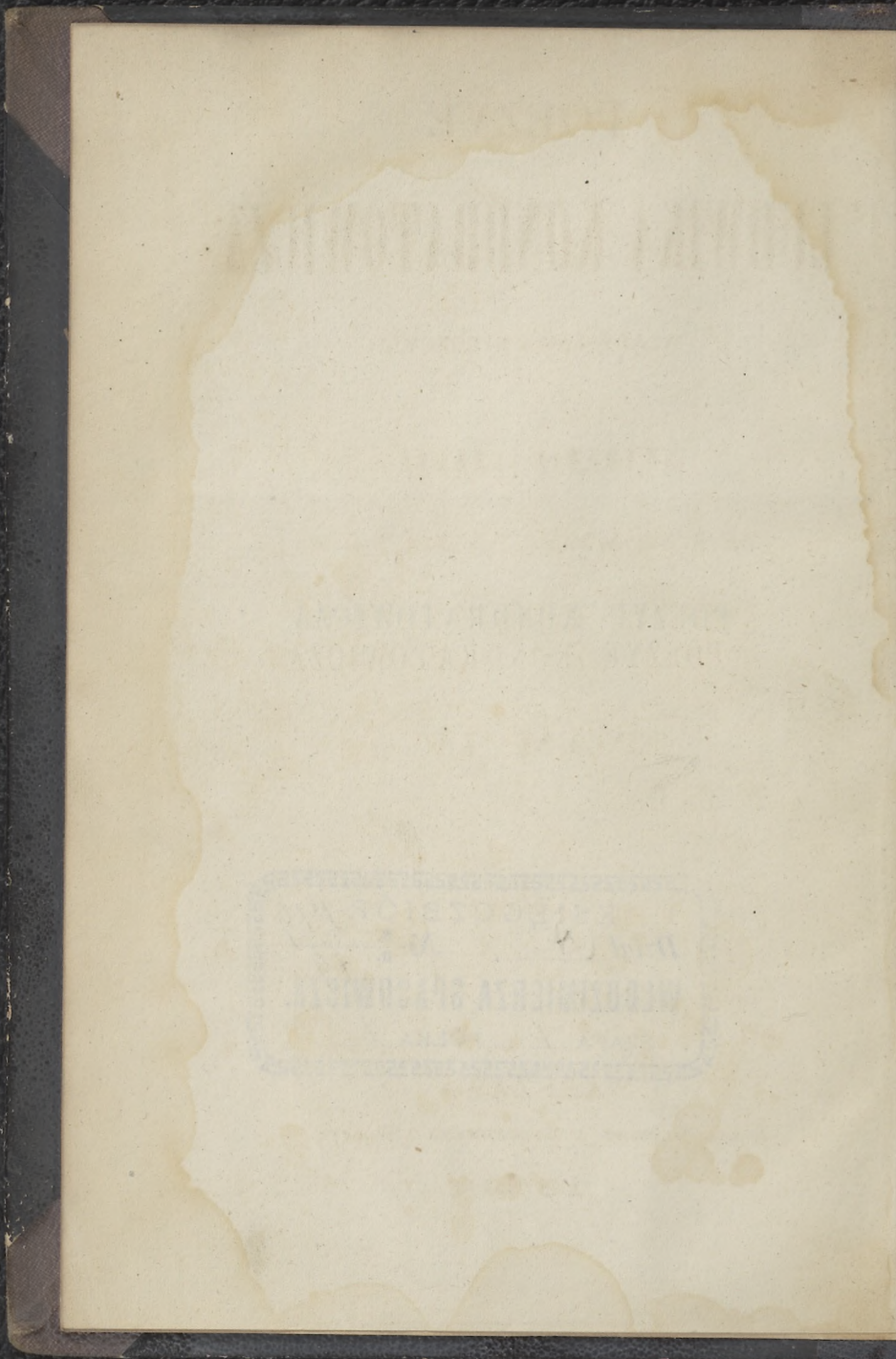
(2.007 419)

68305



POEZYE KONDRAWOWICZA.





POEZYE
LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI)

WYDANIE ZUPEŁNE

NA RZECZ WDOWY I SIEROT AUTORA

TOM IV.



WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY U GEBETHNERA I WOLFFA

—
1872

68305

Дозволено Цензурою.
Варшава, Января 10 дня 1871 г.



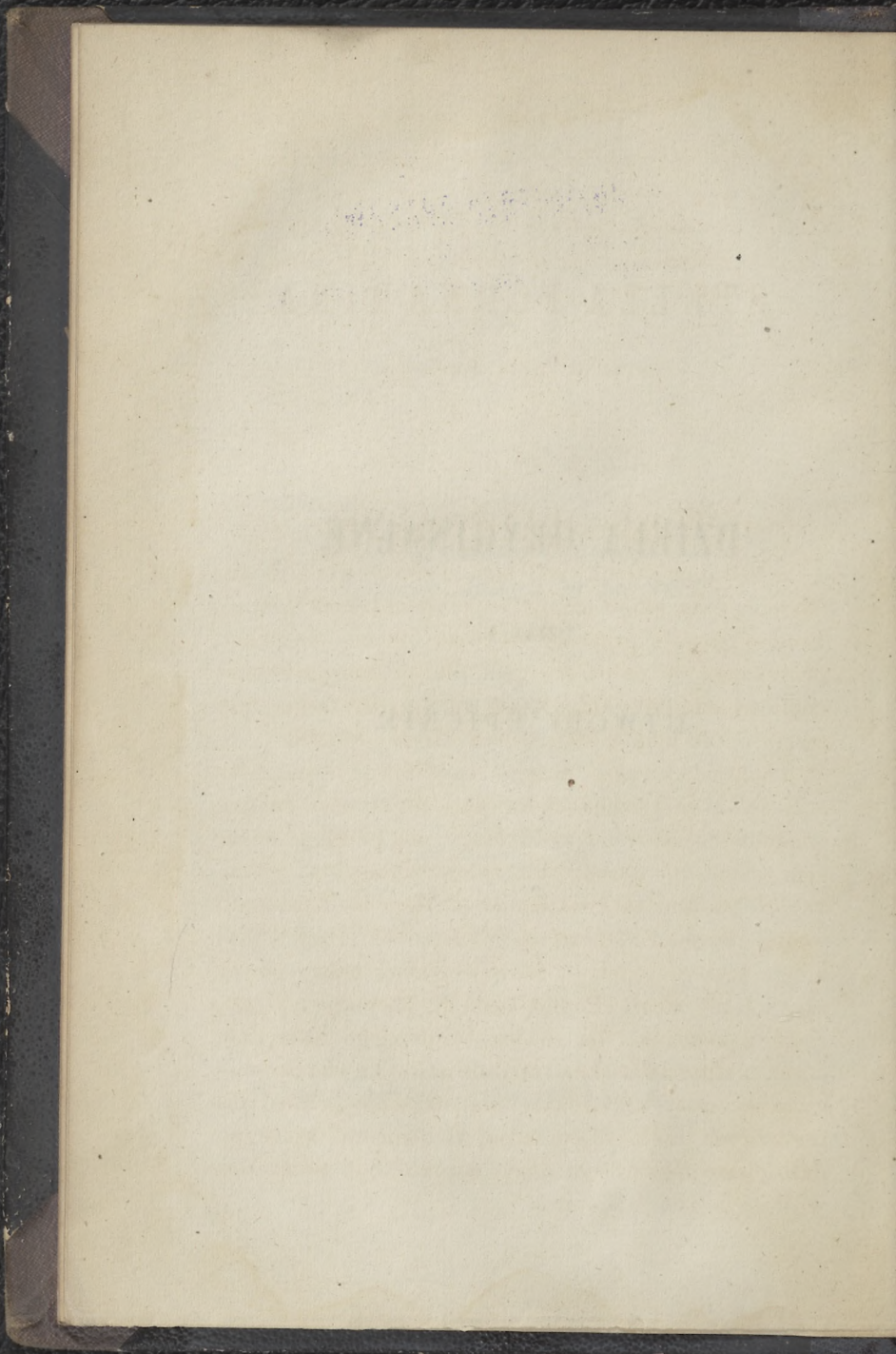
Т. 4
I 2.007 419.



DZIEŁA ORYGINALNE.

DZIAŁ I.

UTWORY EPICKIE.





STELLA FORNARINA.

USTĘP Z ŻYCIA RAFAELA.

Słówko do Czytelnika.

Uprzedzamy zarzut, jaki nam niewątpliwie uczynią: dla czegośmy wzięli przedmiot obcy naszemu krajowi? Trudno się nie przyznać do winy, trudno naznaczyć przyczynę; ot po prostu polubiliśmy sam przedmiot, mieliśmy na sercu kilka myśli do wypowiedzenia, więcemy obrali piękną Fornarinę za treść poematu.

Ostatniemi czasy zaczęto poszukiwać szczegółów o życiu sławnéj kochanki Rafaela. Najautentyczniejszą wiadomość, jak świadczy p. Méry, ma posiadać w starym rękopiśmie uczony starożytnik rzymski p. Vesco-vagli. Na tém to miał osnuć p. Méry tło i szczegóły swojej powieści *Raphael et la Fornarina* (Paris 1854); ale te szczegóły tak są niewiarogodne, żeśmy powtórzyć ich nie mogli. Papież Leon X, porywający z łona rodziny kochankę dla swojego ulubionego malarza,— córka nielitościwa, obca zupełnie uczuć ku rodzicom,— są to wymysły krzywdzące niepotrzebnie pamięć historycznych osób. Lepsze są wiadomości, które podało pismo *Revue Britannique*, w roku 1848 tłómaczone w *Wizerunkach Wileńskich*.

Ta, która natchnęła Rafaela, nie mogła być dlań
 tém, za co ją podało pióro za nadto domyslnych niektó-
 rym pisarzy. Natchnęła ideały, żyła w świecie ideału:
 woleliśmy tedy i ją samą do ideału podnieść.

F O R N A R I N A.

I.

Rzym, to potężny, to słaby z kolei,
 Zostawał panem świata po dwa razy:
 Jeden raz w imię człowieczych idei,—
 Drugi raz w imię Baranka bez zmazy.
 Z gór kapitolskich tryumfator młody,
 Pierwszy raz spojrział i pogroził światu,
 I schylił wszystkie znajome narody
 Do stop swojego ludu i senatu.
 W jego orężu, w obyczajach, w słowie,
 Była najwyższa potęga człowiecza.
 Wojował mieczem—i zginął od miecza;
 W potężnych murach zaległo pustkowicie.
 Starego świata ten co był wyrazem,
 Ze starym światem dogorywał razem.
 Lecz kiedy zrzucił starąj myśli szczęty,
 Gdy nad nim śmierci ciemności zaległy,
 Przyszedł Duch Boży, młodociany, święty,
 Tchnął nowém życiem w strupieszale cegły;—
 I poczuł olbrzym, że mu bije łono,
 Powstał z grobowca i czoło odsłania,

Włożył koronę swego panowania,
 Krzyż był nad jego królewską koroną.
 Na siedmiu górach siadł na tronie ducha
 Sługa sług bożych, rybak Pańskiej łodzi;
 A świat z ochotą jego woli słucha,
 Bo jego władza z wysoka pochodzi.
 Pewien swojego w niebiesiech Obrońcy,
 Dzierżąc klucz niebios i wyroków szalę,
 Niejedną burzę na Piotrowej skale
 Mężnie wytrzymał kościół wojujący.
 Próżno na niego swe pociski miota
 Namiętność ludzka i wieków ciemnota.
 Bo w miarę tego jak z postępu prawa
 Ludzkość mknie naprzód, albo wstecz się cofa,
 Bóg nowy oręż kościołowi dawa:
 Już to zwyciężkie pióro filozofa,
 Już to grom klątwy, już to cudu dziwo,
 Już świętą miłość, najlepsze z narzędzi,
 Aby ponaglać, co idzie leniwo,
 Aby powstrzymać, co się zbyt rozpędzi.
 Kiedy uznali najslabsi i prości,
 Że Pan Zastępów jest ojcem miłości,
 Wtedy już miłość krzewić należało
 I uszlachetniać chrześcijańskie dusze: —
 Światło zabłysło nad Piotrową skałą,
 I przyszli na świat sztuki geniusze.

Nie po raz pierwszy Bóg sztuki udziela,
 By przyszła na świat uszlachetniać ludzi, —
 Marmur ciosany ręką Praksytela
 Jeszcze z przed wieków podziwienie budzi;

I farba ziemna roztarta na płótnie
 Kreśliła twarze bogów i rycerzy;
 A kiedy w struny Orfeusz uderzy,
 Trzęsły się skały na dźwięk jego lutnie.

Lecz sztuka dawnych miała ziemskie cele,
 Odbijać twarze lub dusze człowieka;
 Dzisiaj ją Chrystus namaścił w kościele,
 Dzisiaj w kapłaństwa szatę przyobleka,
 Ażeby w formach, co człek pojąć może,
 Postać i myśli odbijała boże.
 Tak namaszczone u rzymskich ołtarzy,
 Poszła po świecie spełniać swoje czyny:—
 Organ dotknięty ręką Palestriny
 W muzyce niebo i ziemię kojarzy;
 Takiego dźwięku u mszalnej ofiary
 Jeszcze w kościele nie słyszał Rzym stary.
 Nie dziw, że wtedy serc tysiące pękło,
 Że znów odżyły wiara i otucha,
 Że tysiąc ludów na kolana klękło,
 Rzym uznawając za królową ducha.

Insi mistrzowie kolory rozetrą,
 Ujęli pędzle i obraz się tworzy;
 Nad ich głowami i nad ich paletą
 Duch namaszczenia unosi się boży.
 I w dawną sztukę, tak ziemską, tak twardą,
 Patrzcie, jak ogień i życie przenikał
 Oto natchniony z Vinczy Leonardo
 Kreśli Pańskiego wnętrze Wieczernika.
 Patrzcie, jak zgadnął apostołów dusze,

Ich słowa, twarze, ich dzieje żywota!
 Oto Piotr, Andrzej, dwaj Zebedeusze,
 A nawet niecny Judasz Iskaryota;
 A wszyscy w świetle tak żywém, urocze'm,
 Każdego zgadniesz i sam nie wiesz po czém!
 Dopieroż Chrystus!! jakie widmo z nieba
 Dało odgadnąć twarz Odkupiciela?
 O! Ten, co w drobną okruszynę chleba
 Z ciałem i z duszą i z bóztwem się wciela,
 Co odbił w chustce Weroniki świętej
 Bozkie oblicze zadumane smutnie, —
 Sam błogosławiąc pracy rozpoczętej,
 Wcielił się, odbił w Leonarda płótnie,
 Ażeby ludziom dać wzór choć z daleka,
 Na co ich stworzył i czego w nich szuka,
 Jaka jest piękność w ubóztwieniu człeka,
 Jak jest potężna ubóztwiona sztuka!

Sztuka zakwitła w wielkie arcydzieła,
 Bo miała spełnić wiekowe zadanie.
 Gromada mistrzów na jój powołanie
 Pomiędzy niebem i ziemią stanęła.
 Pałace możnych i nawa kościelna
 Codzień się w skarby malarstwa bogacą,
 I rąk śmiertelnych czarodziejską pracą
 Wyszła na płótno piękność nieśmiertelna!
 Klękają przed nią gromady czcicieli,
 Bo takie cuda w snach tylko widzieli.

Tam Bonarotti silnemi konturny
 Pokreślił mury Sykstyńskiej kaplicy;
 Tam Leonarda szkoły zwolennicy

Widzą niebiosą z po za mgły pochmurnej.
 A co ich oko w niebiosach podpatrzy,
 Pędzel natchniony wykresła dla ziemian:—
 Patrz, jak ten Chrystus, na ziemię upadłszy,
 To krwią się poci, to płacze naprzemian!
 Patrz na proroków Michała-Anioła:
 Jak Jeremiasz pogląda bolesnie,—
 Jak Ezechiel w zachwyceniu woła, —
 Jak Dawid śpiewa przebolełą pieśnię!
 Patrz na postaci niebian i niebianek,
 Gdy je Luvino na płótno sprowadzi:
 Oto Jan święty—a oto Baranek,
 Baranek Boży, który grzechy gładzi.
 Uklękniej przed nim—a spytaj w pokorze:
 Jak człowiek odkrył tajemnice boże?
 Gdzie on podpatrzył grę myśli, blask oka
 W twarzy Chrystusa, wyznawcy, proroka?

Jednego tylko świętego oblicza
 Ręka człowiecza nakreślić nie zdoła:
 Jakaś zasłona mglista, tajemnicza,
 Matkę Dziewicę otacza do koła.
 Naprózno malarz spowiedzią i postem
 Najprzód oczyszcza swojej duszy plamy,—
 Naprózno płótno rozbiwszy na ramy,
 Czyni znak krzyża nad farby z pokostem,—
 Prózno dni całe duma nad stalugą,
 Upada na twarz i modli się długo,
 Natęża myśli ile starczy siła,
 I oczy duszy do niebios posyła.
 Zda się przeczuciem na chwilę zobaczy,
 Duszę Maryi już chce ubrać w ciało;

Lecz święte widmo jak cień uleciało—
 I malarz ręce załamał w rozpacz.
 Bo jak tu jednym nakreslić wyrazem
 I Matkę Boga, i Najczystsza Pannę,
 Królową niebios i ziemiankę razem,
 Chmurę boleści i światło poranne?
 Łzę, w której mieści miłość i nadzieję,
 Gniew kiedy depce po piekielnej źmii,
 Któż ze śmiertelnych na płótno przeleje?
 Któż jest dostojnym malarzem Maryi?
 Któż ją odczuje? któż się nie zatrwoży
 Śmiertelną ręką i barwianą gliną
 Wydać jój postać?...

Przemówił Duch Boży,
 I przyszedł na świat Rafael z Urbino.

II.

O nieśmiertelna duszo Rafaela!
 Czemu Bóg w tobie tyle sił kojarzy?
 Kapłanie sztuki, patronie malarzy,
 Za cóż ci Niebo tyle łask udziela?
 Za cóż przed tobą od razu na jawie,
 Piękność odkryła swą oponeę świętą?
 O piękna duszo! dla której łaskawie
 Wszystkie tajniki nieba odemknęto,
 Czemu ci dano potęgę, i wolę,
 I miłość w sercu, i oko sokole?
 Bo temi środki chciał Pan Bóg przez ciebie
 Uzacnić sztukę promieniami świętymi,
 Uczynić jasną dla pojęcia ziemi
 I podobniejszą pierwowzorom w niebie.

Którego ręką ubarwione róże,
 Tęcza niebieska i motyl skrzydlaty,
 Ten, który łąkę umalował w kwiaty,
 I roztarł złoto w jutrznianym lazurze,
 Wielki Mistrz mistrzów sam nadawał życie
 W twoim rysunku, w twoim kolorycie.
 Błogosławiony trzykroć Rafaelu,
 Któryś uwieńczył twą sztukę mozolną!—
 Byłeś narzędziem niezziemskiego celu,
 Który nam ledwie odgadywać wolno.

III.

Natchnionój sztuki zwiastuni poranni
 Już ozdabiali piętnaste stulecie;
 A ojciec mistrza Sanzio Giovanni
 Z barwą i pędzlem obeznał swe dziecię.
 Po śmierci ojca, Rafael młodzieniec
 Opuścił miasto rodzinne Urbino,
 Poszedł do szkoły, gdzie Piotr Peruggino
 Uczył jak sztuki zdobywa się wieniec,
 Jak z marnój gliny na płótnie lub ścianie
 Postać człowiecza jak żywa powstanie,
 W uroku piękna wyższym niż na jawie,
 Z myślą w spojrzeniu i z prawdą na czole.
 Rafael słuchał, uczył się ciekawie,
 I był najpierwszym w Peruggina szkole.
 Pierwsze obrazy młodociane jeszcze
 Już tchnęły siłą i męztwem szlachetném;
 Mogłeś w nich czytać przepowiednie wieszczce
 O Rafaela posłannictwie świetném.
 Postać młodzieńca piękna, jasnowłosa,

Była obrazem piękności człowieka:
W błękitnych oczach odbijał niebios, —
Była w nich jakaś tęsknota daleka
Ku wyższym celom, ku natchnieniom łaski,
Ku ideałom piękności i cnoty;
Promień słoneczny, promień szczerzoty
Rzucił mu z serca na twarz swe odblaski.
Twarz jego była ruchoma jak fala,
Co wszystko wiernie na sobie powtórzy,
Czy błyskawica zamigoce z dala,
Czy niebo jasne albo się zachmurzy,
Czy wiatr zaszumi, czy pogoda cicha...
Wszystko jezioro w falach wykołycha,
Wszystko odbije barwami swój wody:
Tak i oblicze Rafaela było,
Bo wszystko na niém wypisał Jehowa;
Ciszej lub silniej serce uderzyło,
Wolniej, szalenięj zamarzyła głowa, —
Wszystko jak słońce lub chmura w jezierce,
Na jego twarzy odbija się szczerze.
Oblicza jego nie szpeci grymasem
Gniew albo zazdrość, łakomstwo lub pycha;
Zawsze spokojem piers jego oddycha,
Twarz świętym ogniem zamigoce czasem;
Rzewliwą dumką, uśmiechem wesela
Grało i serce i twarz Rafaela.
W obrazach jego znać serca odbicie
I czego sztuka spodziewa się po nim:
Jest to marzenie, co przeczuwa życie; —
A święci Pańscy, Józef czy Hieronim,
Czy to Jan święty, czy święty Antoni,
Czy Piotr apostoł schylony i stary,

Albo Jan Chrzciciel z krucyfiksem w dłoni, —
 Wszyscy z wyrazem młodocianej wiary,
 Na każdej twarzy dumka marzyciela,
 Czystość dziewicy, zapal Rafaela!
 Pod jego pędzlem każda postać żyje,
 Każda, prócz jednej: najpierwszy z malarzy
 Stokroć malował dziewicę Maryę,
 Lecz jeszcze świętej nie odgadnął twarzy.
 Gdy świat podziwiał oblicze i szaty,
 On niespokojny, z rozmarzoną głową,
 Chciał swe obrazy rozdierać na szmaty
 I Matkę Bożą malować na nowo.
 Padał na ziemię i przepraszał Boga,
 Że śmiał ją kreslić sił nie obliczywszy;
 Błagał natchnienia i chwili szczęśliwszej,
 I znowu kreslił — i brała go trwoga,
 Że się wymyka przed nim święta postać,
 Że on niegodzien jój malarzem zostać.
 Przeczuwał Pannę i Bogarodzicę,
 Lecz ją nakreslić jakże rysów mnóstwo!!
 Piękność i Miłość, Cierpienie i Bóztwo, —
 Jak temi barwy tchnąć na jedno lice??
 Jój świętych rysów Rafael nareszcie
 Z ziemskiego wzoru malowałby ślady;
 Ale gdzie znaleźć na ziemskiej niewieście
 Twarzy Maryi choćby odcień blady?
 Na każdą z niewiast, co spotka, przydyba,
 Rafael wlepił swój wzrok nieustanny;
 Lecz w ich obliczach świętokradzca chyba
 Znalazłby obraz Przenajświętszej Panny.
 Włochy od dawna słyneły i słyne,
 Że pięknych niewiast mają rój uroczy; —

Wszędy spotykał Rafael Urbino
 Prześliczne twarze i namiętne oczy;
 Słyszał jak nieraz tęskniący kochanek
 Panią swych myśli równał do anioła, —
 On tylko jeden wyszukać nie zdoła
 Wyrazu nieba na twarzy ziemianek.
 Na tamtych uśmiech jest dobroć w uśmiechu,
 Z tych oczu miłość płomienna się żarzy;
 Łacno się przy nich młodzieniec rozmarzy,
 Ale rozmarzy — upojeniem grzechu.
 Rafael Sanzio nie spotkał ni razu
 Co go zachwyci, co mu serce wzruszy:
 On pragnął czystszych marzeń dla swój duszy
 I świętszych wzorów dla swego obrazu.
 Tęskno szukając świętych snów na jawie,
 Na każdą z niewiast poglądał ciekawie, —
 A niemal każda chełpliwa z urody,
 Na którą spojrzal lub popatrzał trocha,
 Już była pewna, że Rafael młody
 Do niej się wdzięczy, nad życie ją kocha, —
 Gdy on nieświadom namiętnego szału,
 Obcy złudzeniom pospolitéj młodzi,
 Szukał na ziemi swego ideału.
 I łamał ręce, że go nie znachodzi.

IV.

Ale prócz niego niktby nie odgadnął,
 Jaki niepokój w sercu mu się cieśni.
 Rafael pędzlem i farbami władał
 Deleko silniej niż jego współcześni, —
 A jego chwała we Włoszech słygnęła,

Geniusz jego już każdy zobaczy;
 W świątyniach bożych, w pałacach bogaczy,
 Były podziwem jego arcydzieła.
 Stokroć malował w Najświętszej Rodzinie
 Dzieciątko Jezus, Józefa i Jana,
 I stokroć jego myśl rozkołysana
 Wyobrażała Maryę jedynie.
 A w Peruginie, we florenckim grodzie,
 Gdzie potem mieszkał mistrz dwudziestoletni,
 Żaden od niego nie wystąpił świetniej
 I żaden nie był głośniejszym w narodzie;
 Młodzi malarze i mistrzowie sami
 Mieli za chlubę — być jego uczniami.
 I piękną była wśród siwych brodaczy
 Owa dziecina rozmarzona, młoda,
 Gdy wielkie sztuki zadania tłumaczy,
 Które Duch Święty do serca mu poda;
 Lub nad stalugą kiedy zadumana,
 Błękitne oczy w niebiosą wlepiwszy,
 Ztamtąd koloryt wypatruje żywszy
 Lub o natchnienie modli się do Pana.
 Na cóż mu więcej, gdy go ma tak wiele?
 Gdy zbadał sztuki i natchnienia prawa?
 Och! geniusz tylko rozumie swe cele,
 I wie najlepiej czego mu nie stawa.
 Na wianku kwiatów prawdziwy syn boży,
 Do wypoczynku głowy nie położy.

V.

Zaledwie przebył młodociane lata,
 Juliusz papież wezwał go wspaniale

Na rzymski dworzec, do stolicy świata,
 Aby ozdabiał watykańskie sale.
 Tam dzisiaj jeszcze zbiegają się co dnia,
 Kto tylko w sercu ma ogień niebieski;
 Gną się z podziwu kolana przychodnia,
 Kiedy ogląda Rafaela freski,
 Gdy myśli o nim — albo niespodzianie
 Wiekowe dzieło spostrzega na ścianie.

Jak nieprzytomny cały się oddaje
 Świętym wrażeniom, których sam nie zbada;
 Wiezie je z sobą w oddalone kraje
 I swym ciekawym ziomkom opowiada.
 A oni patrząc, jak iskrzą się oczy,
 Jaka wędrowca postać uroczysta,
 Pytają siebie: jakiż duch proroczy
 Na szmacie płótna uwięził artysta?
 I niejednemu, co widział te czary,
 Myśl zazdrościwa przed oczy stanęła:
 „Szczęśliwy papież! nie dla swój tyary,
 „Lecz że posiada Rafaela dzieła!“

Bo tam już w pełni sztuka rozwinięta,
 Czém jest, czém była i czém może zostać;
 Tam w objawieniu już Dziewica święta
 Pierwszemu z ludzi odkryła swą postać.
 Niepróżno papież o sobie powiada,
 Że jest Chrystusa następcą wieczysty:
 Bo Matki Jego świętą twarz posiada,
 Odbitą z nieba przez serce artysty.

Rafael wielki pomiędzy wielkimi,
 Owoc swych modłów wyblagał nareszcie:

On cień Maryi oglądał na ziemi,
 Ideał piękna zobaczył w niewieście,
 Na ziemskiej kanwie nić jego mistrzowska
 Resztę doplotła z ideałów nieba, —
 Ziemskiego wzoru było mu potrzeba,
 Aby się w płótno wcieliła myśl bozka.
 Cud, co przez artystę światu się udziela,
 Rzymska dziewica sprawiła jedynie;
 A świat, co wielbi imię Rafaela,
 Zapomniał hołdu złożyć Fornarinie.
 Laura króluje w Petrarki sonecie,
 Dante ubóztwił swoją Beatrycę,
 A Fornariny nadziemskie oblicze
 Dotąd uczczenia nie znalazło w świecie.
 Lub jeszcze gorzej: bo zimny szyderca,
 Sądząc o wszystkiém wedle swego serca,
 Gotów pokalać w jednym błota rzucie,
 W jednym uśmiechu zeszpeconym pianą
 I Rafaela najczystsze uczucie,
 I Fornariny miłość nieskalaną.
 Ziemia auzońska! tyś bogów kraina,
 Świat był przed tobą barbarzyński, gruby;
 Trzebaż zimnego głosu Słowianina,
 Aby ci wskazać przedmiot twojej chluby?
 Ta, która geniusz wezwała do czynu,
 Przez którą Niebo ideały stwarza,
 Ta, którą kochał Rafael z Urbinu,
 Dla czego nie ma czci twojej ołtarza?
 Klekasz przed mistrzem — bo ukleknąć muszą
 Wszyscy, co widzą nieśmiertelne dzieła;
 A przecież ona te cuda natchnęła,
 I jego duszy — ona była duszą!

Kiedy on postać nakreślił Madonny,
 Papiież ukłęknał przed świętym obrazem,—
 A naród włoski, wierzyć w cuda skłonny,
 We sto tysięcy zgromadził się razem.
 Dziewica — Matka Baranka bez winy,
 Co wszystkie ludy przygarnia do łona,
 To była piękna postać Fornariny
 Do ideału przez mistrza wzniesiona.

VI.

Piękny, bogaty, otoczony chwałą,
 Rafael w Rzymie szczęśliwie wiódł życie;
 Nikogo Niebo w tak świetnym zaszczycie
 W tak młodych latach nie wypiastowało.
 Jak niegdyś Dante, jak Petrarca drugi,
 Wziął w Kapitolu wawrzyny zasługi.
 Gdy się Rzymianie ciekawie cisnęli
 Widzieć jednego ze swych geniuszy,—
 Tęskno mu było na szlachetnej duszy,
 Że z nikim wianka swój chwały nie dzieli.
 A chociaż chwałę rozpieszczon za młodu,
 Mógłby tkąć marzeń najświetniejszą przędzę, —
 Sam jeden wątpił z całego narodu
 O geniuszu swojego potędze.
 — „O! wtedy chyba w głębi mego ducha
 „Sam się do wielkich malarzów policzę,
 „Gdy Matka Boża mych błagań wysłucha
 „I da mi ujrzeć swe święte oblicze,
 „W śnie czy na jawie gdy mi się wymarzy,
 „Albo na ziemskiej odbije się twarzy.“
 Nieraz gdy takie troski go uboda,

Błąkał się w górach, wstępował na skały,
 Albo nad Tybru wirującą wodą
 Rzewnym dumaniom oddawał się cały.
 I gdzie się podział ów promień wesela
 Na jego twarzy spokojnej i czystej?
 Och! czyż nam pojąć troskę marzyciela?
 Czy pojąć dziwne żądanie artysty?

VII.

Jak uśmiech boży, majowy poranek
 Złotem promienił miasto siedmio-górne.
 Rafael, sztuki pieszczony kochanek,
 Z pięknego czoła spędził sny pochmurne, —
 I na przedmieście wedle Balbi-strada
 Wyszedł odetchnąć wietrzykiem i wonią...
 Tylko gdzie niegdzie ktoś pacierz zagada,
 Lub gdzieś daleko na jutrznię zadzwonią.
 W ulicach cisza i jakaś powaga,
 Co myśl i duszę do potęgi wzmaga.
 Głowa artysty, głowa nieszczęśliwa,
 Codziennym gwarem na cząstki targana,
 Tu swoje twórcze siły odzyskiwa,
 Oblicza siebie, modli się do Pana.
 Niedługa rozkosz! bo za małą chwilę
 Świat się dopomni co należy światu;
 Liche drobiazgi, których w życiu tyle,
 Ściągną olbrzyma z jego majestatu;
 Myśl spowszednieje, zapał się ostudzi,
 On będzie jednym z pospolitych ludzi.
 Błogosławiony, kto w samotnej dobie,
 Pomnąc, że chwila tak droga ulata,

Myśli i uczuć nagromadził w sobie
 Na życie ducha wpośród gwarów świata:
 Bo to co zebrał w samotność godziną,
 Może na długo starczyć mu powinno.

VIII.

Poranne słońce ciepłem się rozżarza
 I na ulicach coraz bardziej gwaro.
 Gromadki ludu z pośpiechem się garną
 Przed domek skromny, kędy sklep piekarza.
 Myśl Rafaela nie była na ziemi:
 W pół obojętnie a nawpół ciekawie,
 Poszedł za ciżbą, i razem z drugimi
 Stał przy lichój kramiku wystawie.
 Wszędy szukając dla sztuki zdobyczy,
 Gdy wewnątrz sklepu i twarz ludzi bada,
 Dreszcz go przebieżał — ów dreszcz tajemniczy,
 Co czasem przeszłość naszą przepowiada,
 Co jak ostrzega, jakby przypomina,
 Że bije w życiu stanowcza godzina.
 Od tego dreszczu i od téj godziny
 Epokę swoją policzyła sztuka:
 Rafael znalazł ideał dziewczyny,
 Którego z dawna nadaremnie szuka, —
 Już znalazł piękno, o którym wciąż marzy,
 Cień Matki Bożej na śmiertelnej twarzy.

Promienie słońca w malowniczym rzucie
 Dawały odblask na chleby i ciasta.
 Przy nich siedziała precudna niewiasta,
 Dziwne z jój oczu patrzyło uczucie, —

Niby tęskniąca, niby uśmiechnięta,
Chleb podawała siwemu starcowi:
Już był to obraz — niby jaka święta
Obdarza nędzę i o Bogu mówi.
Jasne jój włosy, zwyczajem Rzymianek
Gładko zczesane na szerokiém czole;
Spojrzenie takie jak wiosny poranek,
Takie jak balsam, co uśmierza bole.
Z takim spojrzeniem uroczej pogody
I z takim czołem, co myśl w głębi kryje,
Dawno się spotkać chciał Rafael młody,
By temi barwy malować Maryę.
Nigdy ich w życiu nie widział powszedniem,
Ale znał dobrze ze swych snów tajnika;
Chciał je wykreślać — lecz gdy się ocyka,
To mgliste widmo uciekało przed nim.
Cóż więc dziwnego, że pełen zapału
Ujrzał wcielenie swego ideału?
Że jego modłom gdy stało się zadość,
Rzekłbyś, że zmysły opuściła władza?
Korna modlitwa i dziecinna radość
Młodego serca ledwie nie rozsadza.
Nie śmiał przemówić — tak był pełen czesći
Dla ubóstwienia piękności niewieściój.
Ale oparty o filar sklepowy,
Bacznie rozważał swój skarb znaleziony,
Każdą grę oczu, i skinienia głowy,
I uśmiech twarzy, i rumieńca tony.
Chciałby tym wdziękiem poić się do syta,
Chciałby zagarnąć do swój wyobraźni;
Znikoma żądza, miłość pospolita
Szlachetnej duszy po ziemsku nie drażni, —

Duch jego wyższe przebywa koleje,
 Żądza artysty w sercu płomienieje.
 Onby ją przelał w tysiączne obrazy,
 Onby jój pięknem tchnął w tysiąc postaci, —
 Ona paletrę jego ubogaci
 W barwy ognistsze, żywsze tysiąc razy,
 Niż wszystkie barwy, co malarz wysłęczy,
 Niż blaski jutrzni, niż kolory tęczy.
 Onby jój duszę, co w tych oczach pała,
 Podniósł dostojnie na wysokość nieba:
 Bo ubóztwienia na ziemi potrzeba
 Chwilowój gości, co tu zamieszkała.

Jest siła w oku, że przez rozkaz niemy
 Drugie spojrzenie pociąga z oddali;
 Ludzie to siłą magnetyczną zwali,
 A my potęgą duchową nazwiemy.
 Ale spojrzenie wtenczas tylko umie
 Swojój potęgi wywołać cud pewny,
 Gdy ten, do kogo wymierzamy w tłumie,
 Jest z nami myślą lub duchem pokrewny.
 Nieraz się człowiek nie domyśla jeszcze,
 Że jego dola w niebiosach się waży;
 A już uczuwa niespokojne dreszcze,
 Żywym rumieńcem skraśnieje na twarzy;
 Czuje ciekawie poglądując w koło,
 Że coś mu straszno, że coś mu wesoło.

IX.

Taki dreszcz przeszedł przez serce dziewczęce,
 Kiedy wzrok mistrza napotkała w tłumie.

Czego się płoni? sama nie rozumie,
 Dla czego strachem zadrżały jój ręce?
 Czemu nań patrzy ciekawie i długo,
 Choć zda się w inne skierowana strony?
 Czemu przy ojcu myła się z posługą?
 Bo już przeczuła, że to jój sądzony.
 Sądzony! Boże! wszak on w aksamicie,
 Ma złoty łańcuch, co blaskiem przenika,
 Na jego twarzy znacznie pańskie życie,
 A ona prosta córka wyrobnika.
 — „Ani on dla mnie, ani ja dla niego...“
 Myślało dziewczę w rozmarzonej głowie:
 „Mało co oczy na życiu postrzegą!
 „Od grzesznych myśli, bróńcie aniołowie!“

X.

Rafael wspomniał o swojej pracowni,
 I poszedł dalej ulicą przestronną, —
 A serce jego biło już gwałtowniej:
 — „Więc się mym oczom objawiasz, Madonno!
 „Więc to jest prawdą, co w snach mi się marzy,
 „O com ja błagał u Niebios podnoża,
 „Że jest na ziemi odbicie Twój twarzy,
 „Święta Dziewico! Rodzicielko Boża!
 „Jam Cię przeczuwał — jam nieraz z zapalem
 „Szukał Cię w niebie wśród gwiazd miliona.
 „Z widzeń Twój obraz na płótno przelałem —
 „Mówili ludzie, że praca natchniona.
 „Lecz w tonach barwy gdy się ręka waha,
 „A wyobraźnia w mgłę wzorów swych szuka,
 „Teraz postrzegam, jaka była błaha

„Mistrza z Urbinu wychwalona sztuka.
 „Dziś, gdy się widmo ukazało boże,
 „Gdym twarz wynalazł, w której rysy żyją,
 „Święty Twój obraz inaczej dziś stworzę,
 „Niepokalana Dziewico Maryo!“

XI.

Wbiegł do pracowni — na rozpiętym płótnie
 Kreślił z zapalem dziewicze konturny;
 Ale wzrok jego znów został pochmurny,
 Zwiesił ku piersiom swoją głowę smutnie,
 Załamał ręce, odrzucił paletę:
 — „Niedosyc piękna, wyrazu niedosyc!
 „Zetrę te rysy, do szczętu je zetrę...
 „Trzeba z natury każdy rys przenosić.
 „Co to się znaczy? Ja te rysy cudne,
 „Jam zapamiętał tę nadziemską głowę;
 „Lecz dla człowieka zadanie zbyt trudne
 „Kreślić z pamięci Anielską Królowę.
 „O Duchu Święty! o natchnienie boże!
 „Niechaj mię wesprze wasza święta rada, —
 „Niech się nauczę w moim pierwowzorze,
 „Piękno nadziemskie z jakich barw się składa!“
 Tak coraz bardziej, bardziej się rozmarza,
 Kresli konturna, to ściera w rozpacz,
 I poszedł znowu pod sklepik piekarza,
 Pewien, że swoje natchnienie zobaczy.

XII.

Nie ziemskie żądze, nie brzydkie zamiary
 Paliły mistrza ku pięknej dziewczynie.

Sztuka u niego była szczytem wiary,
O niej on myślał — dla niej żył jedynie;
Do niej odnosił wszystkie swoje chwile,
Swoje radości i serdeczne bole,
Miłość młodzieńczą w całej serca sile,
I wieniec chwały, co nosił na czole.
I wszędzie dla niej zbierał swe zdobycze,
Z niebios błękitnych, z zielenizny błoni;
Lubił obrzędy wiary tajemnicze,
Lubił gdy piosnka ludowa zadzwoni.
A co zobaczy, a co gdzie wysłucha,
Co wrażeń z ziemi czy z nieba odbierze,
Wszystko to składał w głębi swego ducha,
Ażebym sztuce przynieść na ofierze.
Posągi, rzeźby starożytnej Romy,
Obrazy mistrzów uwieńczonych chwałą,
Wszystko to chwytal wzrok jego łakomy,
Ażebym duszę jego uzacniało.
I dzieła boże i dzieła geniuszy,
Wszystko go z ziemskich wrywało jarzem,
Aby tém święciej uzacnion na duszy
Mógł godnie stanąć przed sztuki ołtarzem.
Lecz na najwyższym szczycie jego myśli,
Obraz kobiety jak w obłoku stoi:
Bo z niej i piękno zewnętrzne wykręśli,
I duszę błogiem wrazeniem napoi;
Ona mu stwarza świat nowy, świat czysty,
Wzniesie ku niebu z poziomej otchłani...
Ludzie! ziemskimi żądzami skalani,
Znacież wy żądze wysokie artysty?

XIII.

Chleb rozprzedany, a sklepik zamknięty,
 We drzwiach i oknach nie widać nikogo.
 Rafael smutném dumaniem zajęty
 I raz i drugi przechodził się drogą.
 Gdyby spojrzenie, gdyby twarz dziewicy
 Chociaż na chwilę mignęły z okienka,
 Możeby przed nią klęknął na ulicy,
 Jak przed cudownym obrazem się klęka.
 Nie tak pobożnym uniesiony szalem
 Gwebr, czciciel słońca, przed jutrznią upada,
 Jak dusza mistrza przed swym ideałem
 Promienną głowę ukorzyćby rada.
 Lecz w oknach pusto—badajmy po trosze,
 Może przechodzień wieści mi udzieli.
 —„Kto tutaj mieszka? powiedzcie mi proszę!“
 —„To stary piekarz, Pietro Gaffareli.“
 —„A taż dziewczyna, która dziś z poranka
 „Chleb przedawała w sklepiku przy ścianie?“
 —„Ho, ho! ostrożnie: Stella ma kochanka,
 „A tym kołankiem—ja jestem mój panie!
 „Mam bystre oko, co zamiar ukryty
 „Zdoła przeniknąć pod twych spojrzeń chmurą;
 „Mam ostry sztylet, co twe aksamity
 „Może pobryzgać z pod serca purpurą.
 „Bogaty panie, marne twoje prace,
 „Nie wszystko spełnisz, co ci się zamarzy;
 „Dla twoich celów masz sobie pałace,
 „Lecz nie zaglądać do okien piekarzy!“
 Tak mu z szyderstwem rzekł przechodzień młody
 I czarném okiem spojrział nań surowie.

— „O nie! ja z tobą nie idę w zawody!“ —
 Łagodnym głosem Rafael odpowie:—
 „Jam tylko malarz — my biedni malarze,
 „My tylko ducha poim się ponętą;
 „Musimy w ludzkie wpatrywać się twarze,
 „Nim twarz w obrazie namalujem świętą.
 „Piękna jest Stella — ale gniew twój płonny,
 „Bo mną niewinne powodują cele:
 „Chcę twarz jój przenieść na obraz Madonny,
 „Aby się do niej modlono w kościele!“
 Młody Rzymianin pomyślał przez chwilę
 I Rafaela zmierzył rzutem oka; —
 Lecz w jego oczach było prawdy tyle,
 A w jego głosie prośba tak głęboka,
 Że rzymski młodzian ochłonął w swym gniewie,
 Uwierzył w czyste Rafaela plany.
 Czy ma zezwolić? czy przeczyć? sam nie wie—
 Spuścił ku ziemi wzrok zakłopotany:
 — „Któż wy jesteście?“

— „Jam malarz papieżki,
 „Rafael Sanzio.“

— „Och! słyszałem wiele!
 „Widziałem wasze w Watykanie freski,
 „Świętego Jana widziałem w kościele.
 „Ciebie, papieża polubieńcem zową,
 „Wybyście celów zdradliwych nie mieli,
 „Wzrok wasz poczciwy — wierzę wam na słowo.
 „Idźmy do domu Piotra Gaffareli.“

XIV.

Niedziwna była w owe dawne wieki
 Ufność dla sztuki niepojęta ninie:

Malarz od wszelkich podejrzeń daleki,
 Z dziewic malował święte i boginie.
 Nie syczał odgłos obmowy ukrytej,
 Gdy sztuka wdzięki niewieście odtwarza,
 Gdy w stroju Heby albo Afrodyty
 Patrycyuszka szła na wzór malarza.
 Bo w pięknym Rzymie kochano, pojęto
 Nieziemskie rzeźby i malarstwa cele,
 Bo w chrześcijaństwie sztuka była świętą,
 Błogosławioną w Chrystusa kościele.
 Wśród starożytnych pamiątek przeszłości,
 W pośród arcydzieł malarzy, rzeźbiarzy,
 Poszlachetniali nawet ludzie prości,
 Nikt grubym śmiechem parsknąć się nie waży.
 Tylko lud ciemny, tylko wiek spodlony
 Śmieje się z rzeźby greckiego kamienia,
 I w dzieła pędzla, i w muzyki tony
 Umie dwuznaczne wcielać przypomnienia.
 Nie jemu pojąć, że przez nagę postać
 Mistrz wielką prawdę światu wypowiada;
 Nie jemu wodzem do postępu zostać,
 Nie za nim pójdzie pokoleń gromada.
 Nieraz się pyta kto prawd nie doscignie:
 „Czemu Bóg dzisiaj cudów nie udziela?“
 Och! są dziś cuda, są ludzkości dźwignie,
 Lecz Bóg je w ludzkie arcydzieła wciela.
 Człowiek-artysta, to boże narzędzie,
 Sam nie wie o tém, że ma blask pochodni:
 On z serca braci cuda wydobędzie,
 Jeżeli bracia będą cudu godni.
 Kto od obrazu, posągu czy fletni
 Nie zdoła uczuć jak przechodzą dreszcze,

Skarłale serce nim cud uszlachetni,
Długo mu czekać — długo trzeba jeszcze.

XV.

— „Idźmy do domu Piotra Gaffareli!“ —
Do Rafaela mówił prostak młody —
„Chcę, byście o mnie cokolwiek wiedzieli:
„Andreas jestem — a tybrowe wody
„Znają mój czółnek, — a tybrowe echo
„Zna moje pieśni, choć śpiewam je rzadko.
„Noce przepędzam pod podartą strzechą,
„A dni na czólnie z rybołówską siatką.
„Z mojem rzemiosłem zbratałem się, zrosłem,
„Znam dłuż, szerz, głębię tybrowej przestrzeni;
„Z kódką i z siatką, z piosenką i z wiosłem
„Jesteśmy w zgodzie, jak bracia rodzeni.
„Znam najrybniejsze tybrowe zakąty...
„Och, nie żartujcie z mojego mozołu!
„Sam Ojciec Święty, sam Leon Dziesiąty
„Rybę z mych siatek kupuje do stołu.
„A z łaski Ojca Świętego, papieża,
„Z mojego czólna mam dochód niemały,
„Plondruję wszystkie tybrowe wybrzeża,
„Drogo mój towar płacą kardynały.
„Za moje piosnki, jakby było za co,
„Jak gdybym z wody wyciągał je hakiem,
„Dziewczęta rzymskie uśmiechem mi płacą,
„I zowią pięknym tybrowym rybakiem.
„A piosnka, panie, tak zawsze gotowa:
„Spójrzysz na wodę, na niebo, na drzewa,
„Nóta do nóty, a słowo do słowa,

„To już i sama z serca się wylewa.
 „A zwłaszcza teraz — toż rozkosz dla ducha,
 „Gdym się pokochał w mojej pięknej Stelli!
 „Choć taki stary, a chętnie mię słucha
 „Ojciec mój luběj, Pietro Gaffareli.
 „Idźmy do niego: ten piekarz nasz stary
 „Na swoim sercu nie ma żadnej skazy,
 „A dusza jego pełna świętej wiary,
 „Lubi w kościołach gdy piękne obrazy.
 „A gdy was pozna, to w najlepszej woli
 „Będzie szczęśliwy, jak wsiadł na sto łodzi,
 „Ze Stelli stworzyć Madonnę pozwoli;
 „A jak ja szepnę — i ona się zgodzi.
 „Bom ja was, panie, pokochał od razu,
 „Sam nie wiem za co... czy za wasze freski,
 „Czy to za farby waszego obrazu,
 „Z których duch jakiś zlatuje niebieski,
 „Czy za ten jakiś wasz wyraz na twarzy,
 „Co zda się prosty, a jednak głęboki...“
 Tak w pełni serca z Rafaelem gwarzy
 Andreas, rybak z tybrowej zatoki.

XVI.

Zakolatali... Otwarła się brama;
 Weszli w ubogie piekarza mieszkanie.
 U progu postać... ta sama, ta sama
 Znow przed zdziwionym Rafaelem stanie,
 Niby tęskniąca, niby uśmiechnięta,
 Niby z jej oczu bije blask promyka,
 Niby ziemianka, niby jaka święta,
 Drzwi dla śmiertelnych do niebios odmyka.

To ona sama!.. to Stella... to ona...
 Ideal piękna, którego mistrz szuka,
 W marzeniach mistrza w niebie dopatrzona,
 Przez którą musi odrodzić się sztuka;
 Bo kto ją widział 'dzisiejszego ranka,
 Już nosi obraz w pamięci dozgonnój...
 Choć najpiękniejsza obliczem ziemianka,
 Ledwie jest cieniem Najświętszej Madonny;
 Przecież w tych rysach świeci promień z nieba,
 Ziemskiego piękna świeci cała dzielność, —
 I takich rysów mistrzowi potrzeba,
 Z twarzy śmiertelnój kreślić nieśmiertelność.

XVII.

— „Stello!“ — rzekł rybak, — „oto gość nad goście!
 „Wziąłem go tutaj z ulicy przemocą.
 „Drzwi mu otwórzcie, do komnaty proście:
 „Przyszedł was błagać — nie zgadniecie o co!“
 Poblady krasne u Stelli jagody,
 Na ustach uśmiech na znak powitania.
 Wszedł do gości Pietro siwobrody,
 Przed Rafaelem pokornie się skłania,
 Wiedzie w komnatę z uśmiechniętą twarzą,
 Wita, przeprasza za swój sprzęt ubogi,
 I pyta u nich: czém służyć rozkażą?
 Co ich wprowadza w jego liche progi?
 — „Mam do was prośbę,“ — rzekł mistrz do piekarza.
 — „Prośbę? wy do mnie?! O mówcie w téj chwili
 „Ciekawy jestem — bo rzadko się zdarza,
 „By mię panowie o łaski prosili.“
 — „Wszakęś Rzymianin,“ — znów Rafael mówi, —

„Prawy Rzymianin, który sztukę ceni,
 „I pewno wdzięczny jesteś papieżowi,
 „Że ją rozkrzewia na całej przestrzeni.“
 — „O! macie słuszość!“ — rzecze Gaffareli, —
 „Ja lubię nasze posągi, pałace,
 „Zwiedzam kościoły, i każdej niedzieli
 „Podziwiam wasze w Watykanie prace.“
 — „Zkądże mnie znacie?“

— „A któż z Rzymian nie zna
 „Mistrza z Urbinu, pieśczęty papieża,
 Gdy cudzoziemców gromada przyjeżdża
 „Zna wasze prace, czołem wam uderza?“
 — „Panie!“ — rzekł Sanzio — „gdy mię dobrze znacie,
 „To moją prośbę zrozumiecie może.
 „Malując bozkie i ludzkie postacie,
 „W ludzkości piękno wyszukuję boże.
 „O! za to piękno ja oddałbym życie;
 „Lecz Bóg cierniami usłał naszą drogę:
 „Bez ziemskich wzorów, czy wy uwierzycie?
 „Twarzy Madonny wykreślić nie mogę.“
 — „O waszych pracach mówicie zbyt skromnie,“ —
 Rzekł Gaffareli po krótkiej rozwadze: —
 „Lecz co to wszystko ma należeć do mnie?
 „Wszakem nie malarz — ja wam nie poradzę.“
 — „O! poradzicie!“ — Rafael zawoła, —
 „Przez was porzucę błędliwe rozdroże.
 „Wy macie córkę, wy macie anioła,
 „Co mi Madonnę uobecnić może.
 „Szukać mych wzorów nie będę już dłużej,
 „Co ich wynaleźć daremnie się trudzę.
 „Pozwólcie niechaj wzorem mi posłużę,

„Stanie przy mojej malarskiej staludze.
 „Do mej pracowni wpuszczę promień słońca,
 „Jej twarz oświecę jakem widział z rana.
 „A ona żywym rumieńcem płonąca,
 „Na jasne niebo spojrzy zadumana;
 „Piękne jej oko kiedy się rozżarzy,
 „Zapromienieje całym pięknem nieba,
 „Bozkość odbije na swój ziemskiej twarzy, —
 „A mnie bozkiego ideału trzeba!
 — „Nie, Rafaelu, za nadtoście młodzi,“ —
 Niechętnym głosem Gaffareli powie: —
 „Wam takich rzeczy żądać się nie godzi,
 „Jakby się siwej urągając głowie.
 „Lubię obrazy — lecz, mówię wam szczerze,
 „Z mojego dziecka ofiary nie zrobię:
 „Waszój młodości i sztuce nie wierzę,
 „I wam nie radzę wierzyć samym sobie!“
 Rafael starca zaklinał goręcej;
 Lecz ten już gniewu nie trzymał na wodzy:
 — „Odejdź ztąd, panie, i nie wracaj więcej,
 „A nie krzywdź ludzi za to, że ubodzy!“
 — „Ja mam was krzywdzić? mam czyhać na zbro-
 „Mam się urągać z ubóstwa nędzarza? [dnież?
 „Wiercie mi, starcze, mówicie niegodnie, —
 „Nikt was odemnie bardziej nie poważa.
 „Znam dawny przesąd, co młodej niewieście
 „Służyć za model malarzom nie chwali;
 „Ależ wy, ojczy, zbyt mądry jesteście,
 „Byście przesady gminu podzielali.
 „Choć jestem młody, wiercie mej młodości,
 „Znam obowiązki sztuki ofiarnika:

„Sztuka jest bóztwem — gdzie w piersiach zagości,
 „Wszystko uzacnia, czego się dotyka.
 „Hamuj się starcze, a patrz, ile chwały
 „Spłynie na ciebie i na twoje dziecię;
 „Papież, książęta, szlachta, kardynały,
 „Wszystek lud rzymski, najpierwszy na świecie
 „Przyjdą przed obraz i uchylą głowy,
 „W twarzy Madonny dopatrzą twarz Stelli;
 „Rafael tutaj znalazł wzór gotowy,
 „A jój był ojcem Pietro Gaffareli.
 „Jako madonna, królowa, bożyszcze,
 „Ród wasz okryje świetnością nieznaną,
 „Wieków potomnych uwielbienie zyszcze,
 „Dopóki sztuka będzie poważaną.
 „Przyjdą pielgrzymi ze strony najdalszój
 „Widzieć me prace do naszego miasta;
 „A z mych obrazów ten najdoskonalszy,
 „Gdzie najpiękniejsza króluje niewiasta!“
 — „Przestań, młodzieńcze! pochlebstwo nie lechce
 „Rodowój dumy nas rzymskich plebei;
 „Sławy za hańbę okupować nie chcę,
 „Albo niepewnych chwycić się kolei.
 „Daleko będziesz ty i twoja sztuka,
 „Kiedy lud rzymski, — szlachta i nędzarze, —
 „Oczerni dziewczę, co téj sławy szuka,
 „Na przechodzącą palcami ukaże.
 „Córka przekupnia z niebogatej kramy
 „Ma cześć u ludzi śród bochenków chleba.
 „Idźcie: nam głośniejszą chwały niepotrzeba;
 „Nie odzierajcie z tego, co już mamy.“

XVIII.

Rafael słuchał dotknięty boleśnie,
 Że jego czyste skażono zamiary.
 Andreas rybak, co miał bronić wcześniej,
 Mruknął po cichu że ma słuszość stary.
 A piękna Stella? Którójże kobiecie
 Nie miły promień rozgłosu i sławy?
 Już myśli Stelli żyją w innym świecie, —
 A świat ten piękny, różowy, jaskrawy!
 Lecz jeszcze silniej jój serce kołata,
 Na Rafaela gdy spojrzy ze strony:
 Ten, co ją wiedzie do innego świata,
 Sam taki piękny, taki uniesiony!
 Jak tu młodzieńca słowu nie uwierzyć,
 Co głos tak dźwięczny, tak miłą ma postać?
 Ach! obok niego całe życie przeżyć,
 Potem z nim razem nieśmiertelną zostać, —
 Z jego imieniem swoje złączyć imię,
 Słysząc w obecnym i potomnym czasie...
 O! to jest szczęście — szczęście tak olbrzymie,
 Że marzyć o nim zuchwałością zda się!
 Przecięż to szczęście samo dziś przychodzi, —
 Trzeba je przyjąć i witać z weselem...
 Andreas rybak, lub ktokolwiek z młodzi
 Czyż się porównać może z Rafaelem?
 Los już rzucony — przy ojcu niedola;
 Tam czeka szczęście i wiekowa chwała.
 Rzymskiego dziecka niezłamana wola
 Już się na gładkiem czole wypisała,
 W oku zabłysła, w licach się rozżarza, —
 Cudna z dziewicą dopełnia się zmiana...

I piękna córka starego piekarza
Teraz sto razy piękniejsza niż z rana.

XIX.

Rafael odszedł — lecz dostrzegło oko
Niedostrzeżoną zmianę od nikogo:
Więc już szczęśliwy — wieczorną pomroką
Chodził po Rzymie rozmyślając błogo.
Ze światel w oknach, z drzew uroczych cieni,
Z oblicza Stelli jasnego wyrazu,
Z własnego serca, z księżyca promieni
Układa barwy nowego obrazu.
Tyle piękności obleczonój w ciało,
Tyle świętości, co tu bije z czoła,
Oko człowieka dotąd nie widziało,
Sam mistrz zadaniu swemu nie podola,
Tu najbieglejszy pędzel nie usłucha,
Żadna paleta tylu barw niezmieści;
Mistrz to rozumie — jednak okiem ducha
Z nowém się swoim arcydziełem pieści,
Jak czarodziejska skreśliła je ręka,
Widzi je żywo, i sam przed niém klęka.

Długo się błąkał... Lecz oto już świta,
Jutrznia zaległa na wschodnim przestworze:
Ciało znużone, dusza marzeń syta,
Rafael wraca, rzuca się na łoże, —
I w snach tęczowych znów mu się rozwija
Niebios wysokich tajemna zasłona,
Z obliczem Stelli Dziewica Marya,
Tylko pięknoscią Bóztwa obleczona.

XX.

Nazajutrz, kiedy z ognistój pamięci
 Chciał kilka rysów nakreślić Madonny, —
 Boże! spełnione najgorętsze chęci:
 Stella przychodzi... wzrok rozplamiony...
 Twarz rozjaśniona cudownym wyrazem,
 Który cześć budzi dla pięknej dziewczyny:
 Jest to wstydlivość, ale pewność razem,
 Że tu się żadnej nie popelnia winy.
 Oddech tamuje, to znowu się wzmaga;
 Lecz w drżącym głosie jest męzka odwaga.

XXI.

— „Mistrzu!“ — wyrzekła — „od ojca tajemnie
 „Przyszłam do ciebie, korzystając z ranka.
 „Obraz Madonny chcesz wykreślić zemnie, --
 „O! jam niegodna, jam grzeszna ziemianka!
 „Ale jeżeli rysy mojej twarzy
 „W czém wyobraźni waszój dopomoga,
 „Tak będzie chlubnie, tak będzie mi błogo
 „Służyć pomocą mistrzowi malarzy.
 „Każdego ranka, o téj samój porze,
 „Ojciec zasiada na radzieckiej ławie:
 „Więc w żaden sposób dosledzić nie może,
 „Jeżeli tutaj godzinę zabawię.
 „Szczęśliwa będę, jeśli wam usłużę,
 „Malujcie obraz jeśli wam się życzy.“
 Mówiła prędko — głos był tajemniczy,
 Lica jój bladły, kraśniały jak róże,
 Lecz mimo głosu, mimo lic odmiany,

Mistrz łatwo odczuł jój duch nieskalany.
 —„Dzięki ci, Stello!“—uroczyscie powie—
 „Za tę ofiarę, którą czynisz sztuce.
 „Wiedli cię tutaj sami aniołowie;
 „Siadaj—niech prędzęj kilka rysów rzucę.
 „Tyś taka piękna, natchniona w tój chwili,
 „A takięj właśnie chwili mi potrzeba!“
 Tak mówił prędko—wzrok podniósł do nieba,
 Czuł, że go ztamtąd pierwowzór zasili.
 I ujął pędzle, i w szybkim zachwycie
 Począł malować oblicze Madonny.
 Za każdym rysem wstępowało życie
 W utwór mistrzowski z pod ręki natchnionęj;
 Z oczu blask bije, rumieńce goreją,
 Zda się oddycha dziewa jasnowłosa.
 Mistrz barwy chwyta, i patrzy kolejją
 To na twarz Stelli, to kędyś w niebiosą;
 Zda się rozmawia z duchy dwoistemi,
 Chwyta swe wzory to z nieba, to z ziemi.
 Gdy wieszcz natchniony rozwija myśl nową,
 Gdy kunsztmistrz wielkie arcydzieło tworzy,
 Któżby nie uczuł, że święty Duch Boży
 W tój świętęj ciszy lata mu nad głową?
 O! Duch niebieski pewnie się kołysze
 Nad Rafaela Dziewicą Maryą;
 Anioł roztoczył uroczystą ciszę,
 Pędzel szeleści, a dwa serca biją.

XXII.

Tak codzien, codzien o porannęj dobie
 Stella odwiedza pracownię malarza.

Geniusz mistrza olbrzymieje w sobie,
 Coraz cudniejsze ideały stwarza.
 Oni weseli, oni tak szczęśliwi,
 Choć rzadko kiedy słówko się udziela.
 Papież, książęta, cały Rzym się dziwi
 Nowym obrazom pędzła Rafaela:
 Że mu do niebios tak wznosić się snadno,
 Że w cieniach, w światłach tak wielka uluda;
 Chcieliby zgadnąć, ale nie odgadną,
 Co takie w mistrzu dokonywa cuda.
 W kilku obrazach już skreślił jój postać,
 Żył natchnieniem jego dusza rada; —
 Lecz gdy jednemu przychodziło zostać,
 Uczuł, że pędzel z ręki mu wypada,
 Że niebo natchnień, niebo ideału
 Mglistą się chmurą okrywa pomału.
 Już nie zlatują do niego anieli,
 Ale myśl spada do grobowych ciemnic;
 Już jego oko chmury nie przestrzeli,
 Serce nie zgadnie niebieskich tajemnic.
 Cóż jeśli czasem na dworze odmiana,
 Lub w radzie miejskiej żadnej sprawy niéma,
 Piotr Gaffareli został w domu z rana
 I młodą Stellę przy sobie zatrzyma?
 To na twarz mistrza jakies smutku piętno,
 Na serce spada zamróz lodowaty,
 Wszelka pochwała już dlań obojętną,
 Własne obrazy chciałby szarpać w szmaty.
 Świat dlań bez duszy, uciekłby od ludzi,
 Chciałby pracować, niemila mu praca,
 Gwarna braterska biesiada go nudzi,
 A kielich wina w jad mu się obraca.

Obecność Stelli czyż tak wiele znaczy
 Dla geniusza, dla losu pieszczocha?
 Jak wyrozumieć jego dni rozpaczy?
 Czyżby to prawda, że on Stellę kocha?

XXIII.

Dla Stelli minął dzieciństwa wiek złoty:
 Już w wyższych celach położyła chlubę,
 Już jój nie bawia równiecznie pustoty,
 Żarty młodzieży zdają się za grube.
 Zdumniała nieco — nie w tej ziemskiej dumie,
 Co gardzi bliźnim w zamniemaniu płochém,
 Co sama sobie sprawy zdać nie umie,
 Dla czego gardzi braterskim motłochem?
 Dla trochy złota, które się roztrwoni?
 Dla trochy wdzięków, co starość zeszepeci?
 Nie — Stella dumna, że do niebios leci,
 Gdzie lot jój szybki, gdzie nikt nie dogoni.
 Rozkołysana Rafaela chwałą,
 Tuż obok niego widzi własną postać.
 Życby się chciało i umierać chciało,
 Lecz tak jak dzisiaj niepodobna zostać.
 Swą jasną gwiazdę postrzega u góry,
 Nowej jutrzenki postrzega świtanie;
 Choć tam się idzie przez piekiel tortury,
 Lecz młode dziewczę gotowe już na nie.
 Już po jój twarzy rumieńce nie biega,
 Już jasnych włosów nie trefi, nie pieści,—
 I już z jój twarzy, nie wiedząc dla czego,
 Rafael kreślił Madonnę boleści.
 Mnich coś jój długo mówił na spowiedzi,

Z ust jój dziecinnych znikł uśmiech wesela...
 Czyżby to prawda, co mówią sąsiedzi,
 Że młoda Stella kocha Rafaela?

XXIV.

Kocha... nie kocha... jak gdyby to zbrodnia,
 Gdy się serdecznie pokochają młodzi?
 Płyną miesiące — Stella niemal co dnia
 Do Rafaela pracowni przychodzi.
 Ona odżywia jego ideały,
 Odżywia barwy promienne jak tęczą.
 Czuje mistrz wielki, że swój wieniec chwały
 Młodej dziewicy natchnieniu zawdzięcza.
 Giotto, Orcagna, sławny Peruggino
 Chcieliby zostać uwielbienia celem;
 Ich prace bledną, ich zasługi giną
 Przed nieśmiertelnym mistrzem Rafaelem.
 Chcą go doścignąć — ale zamiar płonny,
 Jaskółka orła prześcignąć nie w stanie:
 Rafael został malarzem Madonny,
 Rozwiązał sztuki najwyższe zadanie.
 Gdybyż mistrz wielki, jak w dawniejszej chwili,
 Dzielił ich ucztę, zabawę, wieczerze, —
 Możeby wielkość jego przebaczyli,
 Możeby dłonie podali mu szczerze.
 Ale on dzisiaj do uciech nieskory,
 Unika gwarnój biesiady malarzy,
 Bierze ze Stelli swoje pierwowzory,
 Albo o Stelli po całych dniach marzy...

XXV.

Jednego razu, o wieczornój chwili,
 Przybiegła Stella przerażona srodze.
 — „Ratuj mię mistrzu!... sąsiedzi śledzili,
 „I dosledzili, że tutaj przychodzę!
 „Andreas rybak, narzeczony przecię,
 „Wierzy we wszystkie sąsiadek potwarze;
 „Ojciec zawzięty przeklina swe dziecię,
 „Ze swego domu ustąpić mi każe.
 „Zostałam obcą pomiędzy swojemi,
 „Żebraczka... pastwa bolesnych męczarni...
 „Tyś jeden został — tyś jeden na ziemi!
 „Odepchnięj Stellę, albo ją przygarnięj!“
 — „Stello!... tyś wolna... ach! tyś już przeklęta!“ —
 Rafael w szczęściu krzyknął bezprzytomnie —
 „Narzeczonego zrzuciłaś już pęta:
 „Ty tylko do mnie — ty należysz do mnie!
 „O moja piękna! z twojój duszy czystej
 „Ja ideały snułem bez ustanka,
 „Jam cię ubóztwił uczuciem artysty,
 „Kocham cię, Stello, miłością kochanka!
 „Kocham cię, Stello, najwyższym wyrazem, —
 „Na Rafaela spuść się bez obawy,
 „Podaj mi ramię... teraz pójdziem razem
 „Po ziemskiej drodze sławy czy niesławy!“

XXVI.

Dał się przebłagać Pietro Gaffareli,
 I przyjął Stellę do swojego domu.

Już nie porankiem, już nie po kryjomu,
 Stella dni całe z Rafaelem dzieli.
 Potwarz i zawiść przyszły z każdej strony,
 Puściły na nich swój jad utajony.
 Nadto skalani, by we świętość wierzyć,
 Skwapliwiej czarne chwyтали pozory;
 Ale kto widział Rafaela twory,
 Ten musiał czołem przed mistrzem uderzyć.
 Miłość Rzymiance przebaczyli hożej,—
 Niejeden wyrzekł: — „Oni są niewinni,
 „Bo duch skalany arcydzieł nie stworzy.“
 Lecz ich uczucia stały za wysoko,
 Za nadto żyli w pięknym świecie ducha;
 Czy ich kto bronił albo émił pomroką,
 Może i wieści nie doszły do ucha.
 W miłości, w sztuce zatopiony cały,
 Wdzięezen dziewicy, która go szczęśliwi,
 On z jój oblicza czerpał ideały
 Nowych obrazów, którym świat się dziwi.
 A jój oblicze piękniało co chwila,
 Coraz w piękniejszych konturnach się krésli,
 Bo młodą duszę Rafael zasila
 Głębią swój duszy, potęgą swój myśli.
 Ziemskiemu wdzięki czyż zdolna niewiasta
 Wypiełgnować geniusza światu,
 Który potężniej, potężniej urasta,
 Aż doszedł świętój sztuki majestatu?
 O! pięknaż Stelli dusza być musiała,
 Gdy wciąż nowego zapału udziela!
 Wielką snadź była miłość Rafaela,
 Gdy nań dziewica tak potężnie działa!
 Przepatrz obrazy mistrza po kolei,—

Jedna, wciąż jedna postać powtórzona:—
 Tam czarodziejski obraz Galatei,
 Tam Matka Boża z Dzieciąciem u łona;
 Przepatrz wiekowe po świątyniach freski,
 Przepatrz pałace i wille bogaczy;
 Postać skreślona coraz to inaczej,
 Jeden ma wyraz piękności niebieskiej, —
 To wszystko Stella — duch mistrza z Urbino
 Był przepełniony wciąż jednym obrazem.
 I byli razem, zawsze z sobą razem,
 Całe dni długie pospołu im płyną.
 Bo czy malował we własnej pracowni,
 Czy ozdobił gmachy i pałace cudze,
 Ona wciąż stała przy jego staludze,
 Przy niej kolory iskrzą się wymowniej,
 Świetniejsze myśli biegną mu do głowy,
 Śmielsze zarysy jego pędzel stwarza...
 Choć długo jeszcze ptak czarnej obmowy
 Latał nad świetną pracownią malarza;
 Lecz lepsze serca i wyższe umysły,
 Sam Ojciec Święty, sami kardynali
 Umieli uczcić związek uczuć ścisły,
 Bo w Rafaelu sztukę szanowali.
 Sztuka każdemu uzacniała łono:
 Nie dziw, że święciej w jej czystość wierzone.

XXVII.

Kilka lat chwały i szczęścia lat kilka,
 Któż je dokładnie koleją wypowie?
 Zbiegły kochankom jako jedna chwilka,
 Lecz wątłe mistrza zachwiało się zdrowie.

Z nim razem gaśnie, powoli się roni,
 Niejedna wielka myśl niedokonana.
 Pędzel wypadły z drętwiejącej dłoni,
 Przekazał w ręce Julio-Romana.
 Przyjął podarek — szczęśliwy jak dziecię;
 Ale go skruszył na mistrza pogrzebie.
 Umarł król pędzla najpierwszy na świecie,
 Wcześniej dla sztuki, dla Stelli, dla siebie.

Nad Rafaela wiekową mogiłą
 Znow czarnych kruków zleciało się grono,
 Widmo potwarzy na nowo odżyło,
 Nieszczęsnej Stelli znowu złorzeczono.
 Ale wiek przyszły, choć późną zapłatą,
 Pamięci Stelli winnych dzięk udziela, —
 Pokrył jęj imię niewinności szatą:
Ona natchnieniem była Rafaela!

1858. Wilno.

ILLUMINACYA.

WSPOMNIENIE Z DĘSZCZU.

Gawęda ludowa.

I.

Nastaly nieskończone jesienne wieczory,
Natura drzemie!
Pochmurniały niebiosa i deszcz lunął spory
Na suchą ziemię.

Po wilgotnej przestrzeni, grzechotka pocztowa
Jęczała płaczem.
Mnie z dumkami obiegła tęsknota grobowa,
Pan Bóg wie za czém!

Jak ten wietrzyk jesienny, co szumi na drzewie,
To w polu krąży,
Tak i myśl rozrzewniona sama siebie nie wie,
Zkąd? dokąd dąży?

O minionej przeszłości marzy się coś — marzy
Dumka głęboka;
I czy to kropla deszczu bryzgnęła po twarzy?
Czy to łza z oka?

Zawstydzilem się płaczu, zamknąłem powieki —
 Było mi ciemno;
 I obraz zapomniany, miniony, daleki
 Stał przedemną.

II.

Dawno, dawno, przed laty, było jak w tej chwili,
 Noc, jesień, deszcze;
 Tylko wtedy na sercu było jeszcze milój
 I różniej jeszcze.

U moich towarzyszków zamiar się ułożył
 Jechać na łowy;
 A choć zgola na strzelca Pan Bóg mnie nie stworzył,
 Szedłem gotowy.

Ułożyłem do drogi bez długich wymówek
 Wszystko co trzeba:
 Wziąłem książkę i lulkę, papier i ołówek,
 I kawał chleba.

I wesoło z chychotem puściwszy się w drogę,
 Skracamy chwile.
 A do lasu, gdzie jedziem — przypomnieć nie mogę,
 Dwie czy trzy mile.

Przemokliśmy do nitki, bo deszcz lał jak z kadzi;
 Broń nasza moknie...
 A jacyż my szczęśliwi, jak byliśmy radzi
 Ze światła w oknie!

W chatce gościnny strzelec osuszał nam suknie,
 Sprawił wieszak;
 A gdy z myśliwskiej flaszy raz i drugi stuknie,
 Gawędził szczerze.

Matka jego, pomimo starości i bólu,
 Postać nielada,
 O nieświezkim przepychu, o księciu Karolu,
 Cuda nam gada.

Bo widziała naocznie wszystkie tamte dziwy
 Jeszcze z dziecięcia,
 Kiedy Stanisław August, król pan miłościwy,
 Odwiedzał księcia.

Na dzisiejsze wypadki prawie jak umarła,
 Tamtemi pała, —
 Jedną swoją powieścią serce mi rozdarła
 I łzę wylała.

Powiastrka skromna, prosta z wątku i osnowy,
 Z łez i goryczy;
 Powtórzę ją przed wami jój własnymi słowy:
 Słuchaj, kto życzy.

III.

— „Ot, co to! Książę Karol, można mówić śmiało,
 Morze miał groszy!
 I oko nie widziało, ucho nie słyszało
 Takich rozkoszy.

Żyje stary Lachowicz, Szybicki Bazyli,
 Bukowski szatny:
 Ci niechaj wam powiedzą, jak w tę porę żyli,
 Jak był człek płatny.

Co szło ptactwa na kuchnię, co miodu, co wina,
 A co kapeli!
 Jakie bywało książę dziwy rozpoczyna,
 Gdy się podehmieli!

Ot wiadomo, z rozkoszy szaleją bogacze,
 Szumią magnaci;
 A za to biedny człowiek bolesno zapłacze,
 Gorzko przypłaci.

IV.

Było to w drugim roku po mojm zameżciu
 (Jak dzisiaj pomnę),
 A człowiek zawsze w biedzie i zawsze w nieszczęściu
 Wiódl życie skromne.

Z niedolą całe życie łamie się i łamie,
 Płacze kryjomu...
 Mój mąż służył za stróża tuż przy Słuckiej bramie,
 W Arona domu.

W Nieświeżu, Święty Karol to feta nielada,
 Gości najwięcej;
 Trzeciego czy czwartego jakoś listopada,
 Patron książęcy.

Mąż pojechał... (nie pomnę), do Słucka, do Naczy....

Aha!... do Klecka;

A Pan Bóg miłosierny udzielić nam raczy

Pociechy z dziecka.

Urodził się syn pierwszy... kubek w kubek po nim,

Jak z nieba spada;

Ksiądz lektor bernardyński ochrzcił go Antonim,

Imieniem dziada.

Złoto — mówię — nie Antos: te późniejsze dzieci,

Schowaj się z niemi!

Dzisiaj spróchniał — może nawet szkieletem nie świeci

W surowej ziemi.

A żyłby może dotąd... Dzień imienin księcia

Wszystko odmieni.

Przyszła ospa — zwyczajna choroba dziecięcia,

Jak raz w jesieni.

No, uważasz jegomość, ospęby nareszcie

Przebył swobodnie;

Ale na święty Karol nakazano w mieście

Palić pochodnie.

Zamek od świec jarzących jak latarnia gore,

Tam bieży tłuszczą;

A rektor jezuicki pod wieczorną porę

Fajerwerk puszcza.

Na grobli małą szpilkę przy kagańców mnóstwie

Znalazłbyś pono;

A w mieście, jak mówiłam, przy każdym domowstwie

Pochodnie płoną.

Słupy przy każdym domu wkopano do ziemi,
 Lampa na słupie,
 I wszyscy stróże domów siłami wspólnemi
 Pracują w kupie.

O biednaż moja głował mój słupek nie gore,
 Spóźniłam trocha;
 Musiałam zakolysać moje dziecko chore,
 Mego pieszczocha.

A pamiętam, że była z ulicy na dole
 Nasza siedziba.
 Stuka tedy do okna z ratusza pacholę,
 Aż pękła szyba.

— „Hejże strózu! pal światło, jak raczył zalecić
 „Pan burmistrz miasta!“
 Nie wiem, czy tulić dziecię, albo ogień świecić —
 Biedna niewiasta!

Tam ogniów i tak dosyć, tu chora dziecina —
 Boli mię dusza!
 Wtém przypada do izby, w plecy mi zacina
 Sługa z ratusza.

Wybiegam na ulicę, rozpalam pochodnię,
 Wiatr ją zadyma.
 Patrzę w okno — tam dziecię drętwieje i chłodnie
 Tuż przed oczyma.

I krzyczy w niebogłose, czernieje jak sadza,
 Serce się kroi:
 Chcesz pobiedz — ale tutaj ratuszowa władza
 Nad karkiem stoi.

Rozdmuchywam pochodnię, a wichher ją gasi,
 Mój słupek w ciemnie!
 Pacholek grzmoce w plecy, a stróżowie nasi
 Śmieją się zemnie!

Ich kagańce goreją, a mój ciągle gaśnie! —
 Ze łzą goryczy
 Rozpaliłam kaganiec — a mój chłopak właśnie
 Najmocniej krzyczy.

Wiatr przez rozbitą szybę zawiął do kołyski
 Mojego zucha —
 Śmierć z wiatrem naleciała, bierze go w uściski,
 A matka słucha!...

Ale nie może śpieszyć: bo tu ogień gaśnie,
 Pacholek strzeże...
 O dwunastej godzinie dały z armat właśnie
 Zamkowe wieże.

Tam wykrzyka wiwaty i chyli węgrzyna
 Gości gromadka;
 A tu ogień rozpala, oplakując syna,
 Zbolała matka.

Z zamku przywożą beczki trojniaku starego
 I wina stare,
 I sławetni mieszczanie aż pod ratusz biegą
 Wychylić czarę.

A kiedy wszyscy krzyczą: *Vivat mości książę,*
W sukcesów drodze!
 Ja do mojej dzieciny, do kolebki dążę...
 Trupa znachodzę!

A nazajutrz, gdy każdy imieniny księcia
Wspominał szczerze,
Ja niosłam na mogilnik trumienkę dziecięcia,
Mówiąc pacierze.

I długo, długo jeszcze dusza zapamięta
Te huk i całe:
Żółtą jak wosk twarzyczkę i żółte rączęta
W krzyku skostniałe.

Umarł... tak już sądzono — nie zaś z czyjś winy,
Broń Panie Boże!
Ale huczne przed laty były imieniny
W nieświezkim dworze.

1856. Borejkowszczyzna.

WIDZENIE PUSTELNIKA.

L E G E N D A.

I.

Kiedys przed laty pustelnik stary
Wrócił wieczorem do swój pieczary;
Wykrzesał ognia, zatlił pochodnię,
Kląkł na kamieniu mówić pacierze;
A płomień lampy z modlitwą zgodnie
Wprost ku niebiosom kierunek bierze.
Gdy pergaminu wolumen szasta,
Gdy się przewraca karta Psałterza,
Płomień się chysta, zwęża, rozszerza,
I ludzka postać z knota wyrasta.
A wosk i smoła w knocie się skwarzą,
Że zda się słyszysz jęki czyscowe;
Knot wśród płomienia wziął kształty nowe,
Z ludzką postacią i z ludzką twarzą.
Łuk ma przez plecy, sokoła w dłoni,
Głowę schyloną, plecy, barczyste,
A trąbką zda się na łowy dzwoni:
O miserere! o salve Christe!

II.

Święty pustelnik zgadnął te dziwy,
 Że jęczy w czyscu jakiś myśliwy.
 Może nie bacząc kłątwy kościelnój,
 Ufny, że nic się złego nie stanie,
 W dzień uroczysty lub w dzień niedzielny
 Ruszył do lasu na polowanie;
 A ceniąc rozkosz jednogodzinną,
 Cały zajęty własną uciechą,
 Rozbudził z drzemki borowe echo,
 Coby w niedzielę milczeć powinno.
 Dla wybawienia biednej istoty
 Pustelnik słubow poczynił wiele,
 O chlebie z wodą suszyć soboty
 I leżeć krzyżem w każdą niedzielę.
 Lecz postać strzelca z knotu nie znika,
 Wiją się przy niej kłęby ogniste,
 Skwierczy i jęczy muzyka dzika:
O miserere! o salve Christe!

III.

Może zabywszy myśliwskie prawa,
 Sięgnął na własność cudzego mienia,
 Gdy go zawzięta gnała oblawa,
 W puszczy królewskiej zabił jelenia.
 Może gdzie spotkał dziewicę młodą
 Wśród gęstej puszczy i samą jedną;
 Nieskromne oczy tak ją przeboda,
 Że zarumienił wieśniaczkę biedną.
 Może gdy w polu strzelec się błąka,

Pusta go chętka morderstwa bierze:
 Puścił sokoła w lot na skowronka,
 Kiedy ten Panu śpiewał pacierze.
 Więc nowe śluby—gorećej, godniej
 Czyni pobożny duch pustelnika;
 Ale nie trafił na rodzaj zbrodni,
 Bo postać strzelca z knota nie znika.
 Wciąż się w płomieniu widmo unosi,
 Wiją się przy niém obłoczki mgliste,
 A pisk bolesny ratunku prosi:
O miserere! o salve Christe!

IV.

Czy w nierozmyslnym zapale może
 Koñmi i psiarnią — zwyczajnie młodzież—
 Tratował biednych rolników zboże,
 Lny, z których kmiotek miałby swą odzież?...
 Knot się pochylił,— pustelnik rzecze:
 —„Dosyc ci, dosyc cierpieć tak srodzel!
 „Przebacz o Boże! winy człowiecze,
 „A szkodę, pozwól, ja wynagrodzę!
 „Z wioski do wioski, z młyna do młyna,
 „Pójdę żebrować po garstce żyta,
 „By co rok jedna wdowia rodzina
 „Czarnego chleba miała do syta.
 „Z chaty do chaty, kędy tką krosna,
 „Pójdę żebrować o płótna szmatek,
 „Ażeby ludzi ręka litosna
 „Okryła troje sierocych dzieciak.
 „Bóg winowajcom swą litość dawa,
 „Królowie winę przebaczyć mogą;

„Ale przebaczyć nikt nie ma prawa
„Temu, kto ludzkość skrzywdził ubogą.
„Jedyna rada: o ile siły
„Nagrodzić krzywdę biednej chudobie!“
Tak mówił starzec, — a knot pochyły
Padł na kolana w strzelca osobie.
I płomień parsknął z środka pochodni,
Wzniosły się k'niebu światła gwiazdziste;
Grzesznik rozgrzeszon ze swojej zbrodni,
Ojcie ubogich! chwala Ci Chryste!

1858. Wilno.

TRZY CÓRKI LITWINA.

O P O W I E Ś Ć.

I.

Po nad Niemnem na górze
Stało Litwy przedmurze,
Pograniczna osłona od wroga,
Stał zameczek drewniany,
Lecz warowne miał ściany,
Krzepka była litewska załoga.

Nieraz horda krzyżacka
Napadała z nienacka,
Lecz nie wzięła warowni ni razu:
Bo dowodził załodze
Litwin waleczny srodze,
Stary, jary, wykowan jak z glazu.

Będąc wdowcem rok wtóry,
Sam piastował trzy córy,
Trzy urocze pociechy Litwina.
Aż trzech zięciów mieć będzie,
Więc szczęśliwy w tym względzie,
Choć bogowie nie dali mu syna.

— „Jeden z mieczem, a w szlyku
 „Pójdzie w stronę Bałtyku,
 „Za rodzinne wysunie się knieje;
 „Przy malborskiej gdzieś wieży
 „W róg bawoli uderzy,
 „Że aż Niemca mdłe serce struchleje.

„Drugi w sutój niedźwiedni,
 „W kraje Rusi sąsiedniej
 „Na mierzynie powiedzie rębaczy,—
 „I w Kijowie na Ławrze
 „Z kniazem miru nie zawrze,
 „Aż ośmię czerwońców zahaczy.

„Trzeci, cały w żelezie,
 „Miecz i ogień powiezie
 „Aż pod Kraków, na dar dla sąsiada;
 „Przy Floryańskiej gdzieś bramic
 „Chrobry oszczep załamię,
 „Na Wawelu z Lachami pogada.

„Wy tymczasem dziewoje,
 „Krasne córki wy moje,
 „Tezéjcie krosna i prządźcie kądziele,
 „Jak kaliny rośnięjcie,
 „Jako róże kwitniéjcie
 „Na sędziwych lat moich wesele.“

Duma słodko wódz siwy,
 Jaki będzie szczęśliwy,
 Swoje przyszłe pociechy oblicza.
 Nie zapędzaj się stary:
 Insze ludzkie zamiary,
 Insze w niebie Perkuna i Znicza.

II.

Raz wieczorkiem na wieczy
 Trabka sygnał uderzy;
 Zapytano: —, „Kto jedzie? i po co?“
 Zbrojny od stop do głowy
 Niemiec, rycerz krzyżowy,
 W lasach Litwy zabłądził przed nocą.

Serca złością zadrgały,
 Gdy ujrzano płaszcz biały
 Z czarnym krzyżem, zwieszony przez ramię;
 Lecz domowa gościna
 Święta sercu Litwina:
 —, „Niech i Niemiec chleb z nami przełamię.“

Praw gościny wódz słucha,
 Most zwiedziono z łańcucha,
 Zaproszono na nocleg rycerza,
 I przy piwie, przy miodzie,
 Przy gościnnéj swobodzie
 Zastawiona litewska wieczerza.

Krzyżak zmęczon z podróży
 Wypił miodu róg turzy,
 Otoczyła go Litwy gromada;
 On słowami pięknymi
 O niemieckiej swéj ziemi
 Troje dziwów Litwinom powiada.

Jaki tam lud wesoly,
 Jakie piękne kościoły,

Jakie zamki, palace i bramy,
 Jakie świetne turnieje,
 Jak tam rycerz krew leje,
 Krusząc kopię za honor swój damy.

Stary Litwin się dąsa,
 Kręci siwego wosa,
 Bo mu nie w smak niemieckie te brednie:
 Lecz najstarszej dziewoi
 Ten kraj w oczach już stoi,
 Patrzy, słucha, kraśnieje, to błednie.

Zda się mówić oczami:
 —, „Mnie to nęci i mami,
 „Nawet ojcam porzucić gotowa!
 Tak z krzyżackim siepaczem
 A dziewczęciem prostaczém,
 Poszła niema oczami rozmowa.

Nie wiem, co tam mówili,
 Lecz o porannej chwili,
 Kiedy słońce błysnęło nad rzeką,
 Już jój w zamku nie było,
 Wzięta wolą czy siłą,
 Ujechała z Krzyżakiem daleko.

Dziad załamał swe dłonie,
 Wysłał szybkie pogonie,
 Lecz o zbiegach ni śladu, ni wieści.
 —, „O! Perkunie, Perkunie!
 „Czemu grom twój nie runie,
 „Aby pomścić się mojej bezceści?

„Już mi na koń niesnadno,
 „Już mi ręce bezwładną,
 „Już mi pancerz dolega pod szyją;
 „Lecz mieć będę dwóch zięci,
 „Każdy z nich się poświęci,
 „Wyszukają psa Niemca—zabiją.

„Wy tymczasem dziewoje,
 „Krasne córki wy moje,
 „Teżéjcie krosna i przędźcie kądziele,
 „Jak kaliny rośniejcie,
 „Jako róże kwitniejcie,
 „Z waszych mężów potrzebni mściciele.“

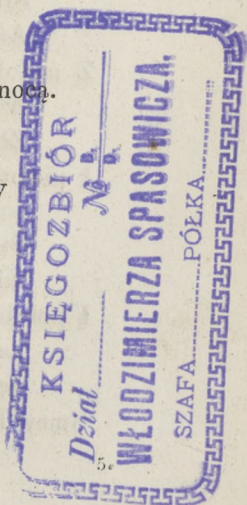
III.

W rok—wieczorkiem na wieży
 Trąbka sygnał uderzy.
 Zapytano:—„Kto jedzie i po co?“
 Młody, krasny a strojny
 Ruski bojak szedł z wojny,
 W lasach Litwy zabłądził przed nocą.

Rad, że gościem Bóg darzy,
 Więc z uśmiechem na twarzy
 Litwin Rusa przyjmuje najmilój,
 I przed całą drużyną
 Stawi hojnie miód, wino,
 I zaprasza, by jedli i pili.

Gdy wypili a zjedli,
 Na rozhovor zasiedli,

Poezje Kondrat. Tom IV.



Długi wieczór upłynął w rozmowie.
 Rusin siadłszy na ławie,
 Opowiada ciekawie,
 Opowiada o swoim Kijowie.

Jaki tam lud zamożny,
 Jaki tam Dniepr wielmożny,
 Co to płynie i mlekiem i miodem,
 Cerkwie z bańmi ze złota,
 Co jak słońce migota,
 Co jak gwiazda przyświeca nad grodem.

A jak idzie gród stary,
 Tak pod ziemią pieczary,
 Kędy święci spoczęli mężowie;
 A niewiasta — ma wolę,
 Nosi szuby sobole
 I sobole kołpaki na głowie.

Średnia córka go słucha,
 Ani oka, ni ucha
 Z nadobnego nie spuszcza Rusina;
 A on rad, że mu radzi,
 Złotą brodę pogładzi,
 I piękniejsze powieści poczyna.

Starzec bacznie uważa
 Kijowskiego bazarza,
 I polubił, bo mówi do rzeczy...
 Lecz nazajutrz po nocy
 Jęk się rozległ sierocy:
 Stary Litwin swój doli złorzeczy.

Średnia córka na Rusi
 Już daleko być musi:
 Do granicy nie więcej pół mili.
 W trąbkę: „na kon!” uderzy,
 Wysłał w pogoń rycerzy;
 Lecz rycerze bez skutku wrócili.

Szkoda ojca nędzarza,
 Piersią w prochu się tarza,
 Siwe włosy i siwą rwie brodę:
 — „Ha! uciekłyście skrycie,
 „Cudzym bogom dać życie,
 „Wrogom nianczyć szczenięta ich młode.

„Szczęściem—nawet w kurhanie
 „Mych popiołów nie stanie,
 „Gdy lat dziesięć, dwadzieścia przeminie,
 „Gdy dla krwawych łupieży
 „Syn Litwinki przybieży
 „Hańbić Litwę i bogów świątynie.

„Lecz nim pójde pod ziemię,
 „Będę wasze kłął plemię,
 „By zmarniało niekzemnie a podle;
 „A gdy skończę to życie,
 „Tam, w niebieskim błękiecie,
 „Piorun na was u bogów wymodłę.

„Córko! niech cię popieszczę,
 „Coś została mi jeszcze,
 „Tyś najmłodsza, tyś moja jedyna!
 „Prędkoż družki nad młodą
 „Pieśń weselną zawiodą?
 „Mnie potrzeba mściciela i syna!“

IV.

Rośnie dziewczę, ej rośnie,
 Jako kwiatek w półwiosnie!
 Gdy raz trąbka zagrała na moście.
 Powstał Litwin brodaty,
 Wyrzwał oknem z komnaty:
 Nieznajomi zjawili się goście.

To sarmaccy hussarze;
 Hełmy kryły ich twarze,
 Z ramion rysie staczały się burki;
 Na ramionach i czole
 Mieli skrzydła sokole,
 A na piersiach pancerze w jaszczurki.

Już zgrzybiały wódz Litwy
 Miał dać hasło do bitwy,
 Już topory i miecze dobyto,—
 Kiedy Lachów wódz młody,
 W znak pokoju i zgody
 Hełm złocisty ze strusią zdjął kitą.

I posyła przed strażę,
 I powiedzieć tak każe:
 —„Mir i cześć ci, szlachetny Litwinie!
 „Idziem z Niemiec do Niemna,
 „A nastaje noc ciemna,
 „Dajcie nocleg gościnnie drużynie.

„Na żądanie wnet wasze
 „Odpaszemy pałasze.“
 Wódz litewski ich przyjął najmiléj;

Tylko spytać ich każe:
 — „Ej wy Lachy, hussarze!
 „Czemu Niemców do szczętu nie zbili?“

Choć zawiedzion zdradziecko,
 Litwin ufny jak dziecko,
 Wita Lachów uprzejmie, ciekawie;
 Każe dać miodu, piwa,
 A ich wodza przyzywa
 I sadowi przy sobie na ławie.

I rozkrawa pierś dzika,
 I piwnicę odmyka,
 I wynosi czém chata bogata:
 Miód od wielkiego święta,
 Co Mendogów pamięta,
 Co już setne przechował się lata.

A gdy miodu sowito
 Raz i drugi wypito,
 Litwin starój a prostój natury
 Wyspowiadał przy miodzie,
 Jaka żalność go bodzie,
 Jak mu z domu zginęły dwie córy.

Dobrze w oczach u Lacha,
 Więc się zdrady nie stracha,—
 A że dusza podzielić się rada,
 Więc wypiwszy po trzecie,
 Każe wołać swe dziecię
 Do komnaty, gdzie była biesiada.

Młody Laszek wzrok wnąca,
 Czarny wąsik pokręca,

Strzela słowy gładkimi, jak może, —
 Że Litwinka nieśmiała
 Aż trzy razy skraśniała,
 O! zwyczajnie, chowała się w borze.

Gadu... gadu... Lach rzecze:
 — „Zacny jesteś, człowiecze,
 „Smaczny miód i puhary masz duże.
 „Przyjedź tylko pod Kraków,
 „Ja w imieniu Polaków
 „Za gościnę gościną odslużę.

„Bo wam powiem otwarcie:
 „Dobre miodne tu barcie,
 „Ale nasze bogatsze są kraje;
 „Mamy pełno pszenicy,
 „A z węgierskiej granicy
 „Przywozimy stuletnie tokaje.

„Dobrzy wasi książęta,
 „Ale wola ich święta,
 „Wy nie znacie sejmowej obrady;
 „U nas szlachta na sejmie,
 „Kiedy okrzyk podejmie,
 „To i król nie potrafi dać rady.

„Dobre wasze są bogi,
 „Ale Poklus za srogi,
 „Perkun grzmotem przeraża z daleka;
 „Nasz Bóg — dobroć to szczera,
 „Krwawą śmiercią umiera,
 „Byle tylko wybawić człowieka.

„Matka Jego — Dziewica,
 „Jakże święte ma lica!
 „Jakże oczy miłością płonące!
 „Ile ludziom łask czyni
 „W Częstochowskiej świątyni,
 „Kędy idą pielgrzymów tysiące!

„Patrzcie!“... odjął od szyi
 Obraz świętej Maryi,
 Wyrzeczany misternie na blasze:
 „Ona naszych prośb słucha,
 „Ona wzmacnia nam ducha,
 „Ona w boju hartuje pałasze.“

Litwin spojrzął z niewiarą,
 I najeżył brew starą,
 I cichemi odezwał się słowy:
 — „Ha! uwierzyłbym może,
 „Niech mi tylko pomoże
 „Zwodzicielom mych córek zgiąć głowy!“

Dziewczę z twarzą odmienną,
 Jakby w tęczę promienną,
 W święty obraz wlepiała swe oko;
 Wsparła główkę o ścianę,
 Marzy dumki nieznane,
 Pokraśniała, westchnęła głęboko.

Gadu... gadu... kolejną,
 Drugie kury już pieją,
 Zasłuchali się prości Litwini:

Jak tam Kraków ubrany,
 Jakie dzwony, organy
 Na wawelskiej zamkowej świątyni.

Litwin pyta a śledzi,
 Czy tam wiele niedźwiedzi,
 Czy tam dobrze hartują bardysze;
 A ciekawa dziewczyna,
 Gdy gość książki wspomina,
 Rozpytuje, co w książkach tych pisze?

Tak rozmowa hussarza
 Głowę Litwy rozmarza,
 Że gdy jutrznia błysnęła z za wzgórką,
 A sen zmorzył powieki,
 To w krainie dalekiej
 Śnili Kraków i ojciec i córka.

Ranek świecił precudnie...
 Lecz jak przyszło południe,
 Z chmur rześiste polały się deszcze.
 Więc gospodarz powiada:
 — „Gościu! chata wam rada,
 „A przebawcież tu z nami dzień jeszcze.“

Pora zimna i dżdżysta,
 Lach z ofiary korzysta,
 Dano miód — naniecono kominek; —
 Przegwarzyli dzień cały...
 Lecz nim kury zapiąły,
 Zniknął Lach — i najmłodsza z Litwinek.

Litwin strzaskać chciał głowę
 O kamienie zamkowe,
 Ale rozpacz potłumił szaloną;
 Nie zatrąbił do broni,
 Nie posyłał pogoni,
 — „Niech już jedzie, gdzie jechać sądzono.“

Obezsilniał w rozpacz,
 Znać, że głowa majaczy,
 Snadź się dusza zachwiała gorąca;
 Z obłąkaném obliczem
 Pali ogień przed Zniczem,
 To posągi Perkuna roztrąca.

Czasem, jakby szalony,
 Grozi pięścią w trzy strony
 I orężem w powietrzu wywija.
 Wreszcie — rzucił załogę,
 Nic nie wzięwszy na drogę,
 Oprócz torby zebraczej i kija.

Próżno Litwa go błaga:
 — „Ojcze! twoja odwaga,
 „Twoja mądrość broniła te ściany;
 „My nie damy tu rady
 „Przed zbrojnemi napady!“
 — „Dzieci moje!“ — rzekł starzec znękany, —

„Wodza kołpak niedźwiedzi,
 „Miecz kowany, tarcz z miedzi,
 „Niech piastuje kto z młodszych rycerzy:

„Bo w te nasze warownie
 „Wkrótce może gwałtownie
 „Niespodziany grom z nieba uderzy.

„Widzę — w niebios przestrzeni
 „Jak się jutrznia rumieni,
 „To się snują obłoki bezładne;
 „Huczy w chmurach pieśń nowa,
 „Dobrze słyszę jój słowa,
 „Ale słów tych znaczenia nie zgadnę.

„A ja ... z przeszłości starój
 „Umiem piosnek bez miary,
 „Tym ostatek dni moich poświęcę.
 „Pójdę w dzieci wioskowe
 „Wpajać piosnek osnowę,
 „Bo żyć tylko będziemy w piosence.“

Litwa — w bredniach boleści
 Nie domyśla się treści,
 Rozśmieszyły ją starca widziadła.
 Opętały go duchy,
 Poszedł sobie w las głuchy,
 I wieść o nim na długo przepadła.

Ktoś go spotkał... coś plecie,
 Szuka córek po świecie,
 Obląkany, zmarzony, jak senny;
 To rozeszła się mowa,
 Że szedł w stronę Krakowa,
 Ukazując obłoczek promienny.

W rok czy we dwa — przy wieży,
W jakiéjs dziwnéj odzieży,
Znaleziono trup starca nareszcie;
Zamiast pasa sukmany
Miał powrozek wełniany,
Przy powrozkuz — paciorki niewieście.

Lecz co dziwniej się zdało,
Że gdy wodza już ciało
Mieli spalić na stosie Litwini, —
Na jego piersi męznój
Błyszczał krzyżyk mosiężny
I obraz świętej Lachów bogini.

Wilno. 1859.

DZIEJE KARTY PAPIERU.

Z początku było nasienie lniane,
Długie, błyszczące jak kropla łezki;
Wrzucił je wieśniak w skiby orane,
Pokropił rosą deszczyk niebieski;
Z ziarenka wytrysły deszczem skropione
Na czarnych skibach kielki zielone.

Dał Bóg doczekać majowych chwilek,
I trawki rosną, i kwiatki kwitną,
Z lnianego ziarenka wyrósł badylek,
I na wierzchołku zakwitł błękitno,
Z wiatrem się chysta, w górę się jeży,
Jak kędzierzawe kity żołnierzy.

Dał Bóg doczekać ciepłego lata,
Goręcej codzien i co godzina,
Złoci się kłosem niwa bogata,
Lniany badylek żółknąć poczyna,
Pożółknął listków kędziór bogaty,
Wiatr poobrywał błękitne kwiaty.

Dał Bóg doczekać pięknej jesieni,
Morg się już pokrył siatką pajęczą,

Na lnie się główki złocą z zieleni,
 Na przyszyły posiew ziarenka w nich brzęczą.
 Dojrzejcie prędzej, o główki lniane!
 Czas już podebrać siejby wiosniane.

Przyszły len zebrać dziewczęta z sioła,
 Płynie nad polem ich pieśni nótka,
 Czy się z lnu tego coś do kościoła,
 Czy się weselny podarek utka,
 Czy służyć będzie płótno dziecinie,
 Czy umarłego zwłoki obwinie.

Był to morg dworski: — „Mała pociecha
 „Że zarodziła praca rolnicza!“
 Tak szepcą kmiotki, — pan się uśmiecha,
 Bo swoje przyszłe zyski oblicza,
 I z główek ziarna wymłacać każe,
 I lniane snopki słać na poparze.

Na chłodnej ziemi, tuż po za dworem,
 Lniane badyle porozścielano;
 Zimna je rosa skrapia wieczorem,
 A mgła jesienna odwilża rano;
 Czasem płaczliwy deszczyk przyprószy,
 Czasem chłodnawe słońko osuszy.

Listopad niebo ciemną zasłoną,
 A ziemię przykrył białą szarugą;
 Lniane badyle w snopki złożono,
 W dusznej ciepłej suszono długo,
 Tarto w narzędziach, czyszczono ręką,
 Aż wyluszczono lniane włókienko.

Wiejskie dziewczęta, co len sprawiały,
 Gdy im kostrzewa wygryza oczy,
 Przyrównywały ów warkocz biały,
 Do złoto-rusych swoich warkoczy;
 Aż lniane włókno, pracy ich siłą,
 I blask i miękkość równą nabyło.

Dziewczęta pieją;—przy terlic brzęku,
 Litewskiej pieśni znów płynie nótka:
 „Czy z ciebie miękki, błyszczący lenku,
 „Ktoś do kościoła ofiarę utka?
 „Czy na podarek ślubny dziewczynie?
 „Czy ktoś zmarłego zwłoki obwinie?“

Ani do trumny, ni do kościoła,
 Ni na podarek dla panny młodój!
 Oto nastala wiosna wesola,
 Niemen potargał swe grube lody,
 Płynie wicina — a na wicinie
 Towar litewski na Bałtyk płynie.

Grzmotajże flisie wiosły szybkimi,
 Niechaj cię wiedzie Pańska opieka!
 Bo tam na płody litewskiej ziemi,
 Dawno Brytańczyk i Niemiec czeka,
 Czeką nad morzem ciżba niesyta
 Naszej pszenicy, naszego żyta.

W pruską granicę wpływa wicina,
 Jedna przed drugą czynią gonitwy,
 I wita flisa piękna kraina,
 Co niegdyś była siostrzycą Litwy;

Lud staropruski od Niemców gnany
Tylko zostawił swoje kurhany.

Ragnetę, Tylżę, statek wymija,
Niemen wspaniale łono rozszerza,
Pieszczona Niemna córka Gilia
Roztacza piękne swoje wybrzeża;
Flis dał kierunek swojej żegludze
Po obcej wodzie w krainy cudze.

Niemen na prawo płaszczystym krajem,
Wicina w lewą skręca się stronę;
Sternik wiciny, starym zwyczajem,
Chleb i sól rzuca w nurty spienione;
Tak się rozchodząc w dwa krańce świata,
Po staroświecku brat żegna brata.

Niemen w dalekiej pobiegł przestrzeni,
Sternik zapłakał z gorzkim wyrazem:
Nie dziw — na jednej ziemi zrodzeni,
Po łąkach Litwy hasali razem...

.....

1859. Wilno.

KSIEGARZ ULICZNY.

G A W Ę D A.

Aksamitem i złotem świetnieją księgarnie,
Aksamitna publiczność po książki się garnie;
A księgarz ceniąc towar jako mu się dawa,
Złocistemi wyrazy sypie jak z rękawa;
I nam, którzy do druku gotujemy skrypta,
Do spartańskiej polewki dana soli szczypta.
Dzięki Bogu i za to, — a czy pamiętacie,
Kiedy w pańskim pałacu i w szlacheckiej chacie
Starczył za wszystkie książki wileński kalendarz,
A za wszystkie gazety wioskowy arendarz?
Dziś cała Litwa czyta, dziś wszystko jój znane,
Więc pytasz sam u siebie: Kto sprawił tę zmianę?

* * *

Patrzcie! ja go wam wskażę: Przyparty do ściany
Stoi Żyd siwobrody, okryty w lachmany,
Oczy krwawe, zamglone, zgrzybiałość na twarzy,
Pod pachą kilka książek. To Nestor księgarzy!
Nie szycie z téj postaci! Lat sześćdziesiąt blisko,
Jak zajął przy téj ścianie swoje stanowisko,

I przechodniom zalecał bibułę i szmaty,
Za miedzianą monetę dał złoto oświaty.

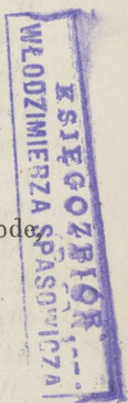
Gdy wielka pieśń i mądrość Hellady i Romy
Górowała nad naszą mądrości atomy,
Kiedy w słowie Platona, w Horacego nócie
Znajdowano Wielkości i Piękna poczucie,
On sprzedawał łacińską książeczkę *in quarto*,
Zabrudzoną z początku, a z końca odartą.
Sprzedał za kilka groszy i w dodatku powie:
—,Niech pan czyta szczęśliwie, niech służy na zdrowie.“
Zdrowieź było w tych książkach! słowo wrzące czynem,
Naczytawszy się Rzymian, byłeś Rzymianinem,
Duch olbrzymiał w potęgę, opływał w rozkoszy
Za ubogą zapłatę kilkunastu groszy.
A nędzarz, co to sprzedał, patrz, jak błogo leci
Kupić czarnego chleba dla żony i dzieci!
Jak za ten czarny chlebek, plon swojego żniwa,
Panu Bogu dziękczynne psalmy wyśpiewywał!

* * *

Pogadajmy z nim sami. Wspomniał czasy młode
Westchnął, oparł na kiju osiwiiałą brodę,
Otarł czerwone oczy:

—,Panicze! panicze!

Tyle dobrego zdrowia i setnych lat życzę,
Ile przez moje ręce przeszło za lat dawnych
Prawdziwych Elzewirów w pergamin oprawnych!
Czy to raz professorska figura zgarbiona
Płaciła po dukacie listy Cycerona?
Za Plautusa, choć prawda inkunabuł stary,
Pan Groddeck mi zapłacił aż cztery talary,



A ja tylko sprzedając ściskam ramionami,
Bo na co im te książki, kiedy piszą sami?

„Rarytne były czasy! a książek ogromy,
Groddeck, Czacki, Śniadeccy popisali tomy,
Dzieła choć naukowe szły jak assygnata,
Dużo ich sprzedawałem w staroświeckie lata!
Czy żyją, czy pomarli, daj Boże im zdrowie!
Kupowali je hurmem akademikowie.
Niejeden z nich dostąpił sławy literata,
Lub wielkiego lekarza przed obliczem świata;
Niejeden tego doszedł przez mego Homera,
Że dziś jeździ kareta i ubogich wspiera.
Toż wszystko moje dzieci! mogę mówić śmiało,
W moich to oczach rosło, w moich rozumiało.
A był to lud ubogi, obciążony pracą,
Niejeden chciałby kupić... a tu niema za co!
Niejeden—tych paniczów dobrze mam w pamięci,—
Targuje, zwraca książkę, a łza mu się kręci.
To ja tak myślę sobie: No! szkoda mi dzieci,
Dam na kredyt lub w zamian literackich śmieci,
Od Baki do Newtona wszystko mi się przyda.
A poczciwi panicze pokochali Żyda,
Grosz powoli, lecz ciągle, do worka się sący,
Aż przyszedłem nakoniec do nowój oponczy.

„W zamianę dostawałem grube foliały:
Rejów, Wujków, Paprockich, Strykowych zbiór cały,
Łazarzów, Piotrkowczyków wydania bogate,
I pamiętam tytuły, pamiętam ich datę.
Nie chwając się, znam druki krakowskie najrzadsze,
Że czasem i w Bentkowskim omyłkę dopatrzę.

Niepoplatny był towar, mało znany komu,
 To ja... z piętra na piętro... od domu do domu..
 Obnoszę, pokazuję, rarytność dowodzę,
 Wypchną mię przez drzwi jedne, ja drugimi wchodzę;
 Bo z biedy cóż mam począć? dla kawałka chleba
 Jasnym panom oświatę narzucać potrzeba.
 I trochę rozbudziłem do książek ochotę:
 Kolońskiego Kromera sprzedam za dwa złote;
 Jeszcze wyższej w mym handlu dochodziły ceny
Stuletnie Kalendarze i Nowe Ateny;
 Najwyżej stał Paprocki — bo tam było ryte
 Jaki herb dla lokaja, jaki na karętę.
 A choć mi czasem szkoda gotyckich rupieci,
 Cóż robić? myślę sobie — to na chleb dla dzieci.

„No!... pana Mickiewicza zabłysnęła chwała;
 Ale już postarzałem... broda posiwiała,
 Ręce znużone dziełmi Tacyta, Plutarcha,
 Wsparłem ot na tym kiju stary patryarcha;
 I nieraz gdy książeczkę roznosiłem małą,
 Samemu na ten towar patrzeć się nie chciało;
 Bo do czego to warto? tom taki niespory!
 Jam przywykł do *in folio* lub *quarto majori*.

„Co w tém to poblądziłem, bo to dobre dzieła!
Wallenrodom i *Dziudom* Litwa przyklasnęła.
 Czy pan wiesz? były cuda, co i sen nie marzy:
 W pół godziny sprzedałem... dziesięć egzemplarzy!
 A wzięwszy dziesięć złotych, raduje się dusza:
 „Ha! to musi być większy od Horacyusza!“
 Pamiętam jakby dzisiaj, gdy w rzewnej podzięce
 Autorowi *Grażyny* całowałem rękę...

„Lecz począłem ubożec: czas płaci, czas traci...
 Nowe kramnice książek otwarli bogaci,
 A w każdój pełno ludzi, ciekawość ich zdjęła,
 Każdy się dopytuje o najnowsze dzieła;
 A ja najstarszy księgarz, com sprawił tę zmianę,
 Stoję, zgarbiwszy plecy i podpieram ścianę.

„Co staremu do tego, czy wilgoć czy ślota?
 Zalecam przechodzącym romans Walter-Skota.
 Egzemplarz niekompletny... cóż ja biedny zrobię?
 Pan Joachim wyjechał, pan Mickiewicz w grobie...
 Pamiętam ich, pamiętam... ja żyłem z ich darów.
 Teraz już nie sprzedaję tak dobrych towarów...
 Skarlał czas, pokarleli nasi literaci,
 Ale, jak mówią ludzie: czas płaci, czas traci.
 Bóg mi czterdziestoletnią wynagrodzi pracę,
 Odzyskam na Kraszewskim, co na innych stracę.
 Kupujcie go panowie! sprzedaję niedrogo,
 Bo biedne moje wnuki z głodu pomrzeć mogą.“

* * *

Wtém karetą księgarza po bruku się toczy,
 I błotem zabryzgała ślepe starca oczy.
 Otarł zbolale oczy i podniósł je w górę:
 — „Och! na co ja stworzyłem tę literaturę?!“

1859. Wilno.

MARCIN STUDZIENSKI.

KARTKA Z KRONIKI WILNA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Wieczór mieszczański.

I.

Stefan Kotwica, rajca wileński,
Sprawował ucztę w dzień swego święta.
Rój wodził w tańcu Marcin Studziński.
Milém nań okiem patrzą dziewczęta,
Sivi starcowie patrzą nań mile
Jako na wnuka albo na syna;
Bo pan Studziński zuch w całej sile,
Każdemu młode dni przypomina.
A nasi starcy, plemię junacze,
Postarzeć sercem prędko nie mogą —
Za skaczącymi choć okiem skacze
I rzeźkie takty wybija nogą,
Z pod sutych skrętów siwego wasa
Mruczy piosenkę — snadź dusza rada —
Głowę zarzuca, brodą potrząsa,
I ręce pysznie za pas zakłada.

W dzielnym narodzie, wiedzą to starzy,
 Że być powinni wzorem młodzieży;
 I znają dobrze, co im do twarzy,
 Co dostojności ich przynależy.
 Czy kord bojowy, czy puhar w dłoni,
 Starzec ochoczo réj u nas wiedzie;
 Czy biesiadnicza muzyka dzwoni,
 U nas starcowie zawsze po przedzie.

II.

Muzyka dzwoni, a młodzież hasa,
 I najserdeczniej szumi zabawa;
 Zagrzana tańcem dziewicza krasa
 Jeszcze się bardziej promienną zdawa.
 I jeszcze ostrzej do serca sięga
 Grot pięknych oczek błyszczący jaśnie;
 Furknie w powietrzu dziewczęcia wstęga,
 Albo splot włosów po skroni głaśnie,
 Taki dreszcz dziwny przejmie tancerza,
 Że wrazby duszę oddał dziewczynie,
 Krew mu do serca młotem uderza,
 A głowa krąży jakby po winie.
 Marcin Studziński, tancerz ochoczy,
 Do tańca córkę wiódł gospodarza:
 Iskrą goreją młodzieńca oczy,
 Iskra dziewczęce oczki rozżarza.
 Gdyby nie hucznej muzyki gwary
 Gdyby w podkówki tak nie grzmocono,
 Moznaby słyszeć u pierwszej pary,
 Jak jednym taktiem uderza łono;

Lecz choć nie słychać nie za łoskotem,
 Łatwo odgadnąć nie myśląc wiele,
 Stare matrony już szepeją o tém:
 „Będzie wesele.“

III.

Będzie... nie będzie... na dwoje wróży
 Babka wróżbiarka śledząc z ukradka:
 Bo coś pan ojciec oblicze chmurzy,
 A niespokojna coś pani matka;
 I pan wójt miejski nachmurzył lica,
 Zwrócił ku ojcu wzrok zagniewany:
 — „Pocóż ci było wwdzić szlachcica
 „Między mieszczany?“

— „Żem go wprowadził — niewielka rzecz!
 „Jak sobie przyszedł, tak pójdzie precz,
 „Jeżeli szlachcic stąpając z góry,
 „Zechce nam miejskie uwodzić córy!
 „Niechaj się każdy dzierży swych granic,
 „Nam ich wielmożność nie zda się na nic.
 „Ważność mi wielka! koń i szabelka,
 „Pustka w kieszeni i harda postać!
 „Sławetna miasta obywatelka
 „Żonę szlachcica nie może zostać!
 „Niech się tak bardzo z nami nie kuma,
 „My się na łasce szlacheckiej znamy;
 „U nas jest nasza mieszczkańska duma,
 „Z łokcia i szali, z handlu i kramy.“
 Tak mówił z gniewem Stefan Kotwica,

Trafił mieszczanom w stronę pochlebczą,
 I pan wójt miejski zachmurzył lica,
 I na młodego zucha szlachcica,
 Już znowę szepeczą.

IV.

Marcin Studziński nie wie o znowie,
 Nie zważa na nic i na nikogo;
 A taniec idzie, grzmocą grajkowie,
 A on zajęty Maryą drogą.
 Na wypoczynek usiada przy niej,
 I tysiąc grzecznych przymilień czyni,
 Pieści jój rączkę, szepce do ucha,
 A głos ma drżący — braknie mu słów...
 A ona rada, śmieje się, słucha,
 Ochłodzi oddech — i w taniec znów.

V.

Na półzegarzu już po północy!
 Już słyhać nocne wołanie stróży,
 Już w muzykantach nie stało mocy,
 Już i do tańca siła nie służy.
 Ucichły huczne skrzypce i kotły,
 Tłum się zamieszał po izbie całój;
 Już się tancerzów ręce rozplotły,
 Już się zmęczone nogi zachwiały;
 I u pań mieszczek złociste czepce
 Już po szklanicy na bakier głowa,
 Jedna do drugiej po cichu szepce:

— „Już czas do domu pani majstrowa!“
 Bezułka wina, jedna i druga
 Już pustym dźwiękiem na *finis* dzwoni;
 Niejeden mdławo oczami mruga
 I srebrny puchar wypuszcza z dłoni.
 — „No, gospodarzu! żegnać cię trzeba!
 „Daleś nam hojnie i pić i jeść,
 „Daleś nam soli, dałeś nam chleba,
 „Daleś nam wina, dałeś nam cześć.“

VI.

Goście żegnają pana Kotwicę
 I opuszczają gościnne progi.
 Tłum panów mieszczan poszedł w ulicę,
 Choć nie każdemu posłuszne nogi.
 Słysząc w ulicy pochmielne gwary
 Lub głos piosenki ostry a twardy;
 Niech sobie zrządzi stróż miejski stary,
 Niestraszne groźby ni halabardy!
 — „Czyż człek w ulicy krzyżeć nie może,
 „Gdy sobie podpił, kiedy go stanie?
 „Czy my włóczęgi jakie broń Boże?
 „Tutejsi kupcy, albo mieszczanie.
 „Pacholek miejski!!! żartuj zdrów bracie!!“
 Tak stroją śmieszki z nocnego stróża.
 A w gospodarskiej pustej komnacie
 Została gości garstka nieduża:
 Został wójt miasta i dwaj ławnicy
 Z siwemi brody, z siwemi głowy,
 Czterech przyjaciół pana Kotwicę

I magdeburgski pisarz sądowy;
 Sama starszyzna — same sensaty —
 Znaczno po wąsach, co jeżą srogo...
 A w oddalonym końcu komnaty
 Pozostał rycerz ze swą niebogą.
 Czegoś tam w tańcu nie dogadali,
 Nie dokończyli jakiejś chychotki,
 Więc od starszyzny siedli w oddali
 I wiodą z sobą rozhovor słodki, —
 Rozhowor słodki, pusty, dziecinny,
 Bez ładu, składu, jakby w pochmieli;
 Gdyby go z boku słyszał kto inny,
 Mógłby powiedzieć, że poszaleli.
 Spytaj się u nich, gadali o czém?
 To żadne z dwojga samo nie powie.
 — „Ot! my gwarzymy, ot my chychozem,
 „Bo nam tak dobrze na téj rozmowie.“
 Dobrze wam społem!... strzeżcie się młodzi:
 Starsi inaczej widzą te rzeczy!
 Pan wójt coś groźnie oczami wodzi,
 Pan ławnik szepce i ręką przeczy,
 Pan pisarz miejski nie kończy kwarty,
 A pan Kotwica czoło zachmurza.
 To zły prognostyk, nie żadne żarty:
 Ej będzie burza!

VII.

— „Panie szlacheicu! panie Marcinie!“ —
 Zawołał burmistrz najpierwszy w radzie, —
 „Czy znasz przysłowie: że zła nie minie,
 „Kto między szparę w drzwi rękę kładzie?

„Czy znasz przysłowie sowy i kruka?
 „Proszę na baczny chować je względzie.
 „Niech sobie równy równego szuka;
 „Czém czart nie orał, tém siać nie będzie.
 „A to się znaczy: że my choć prości,
 „Choć naszych przodków szereg niedługi,
 „Mieszczanie Jego Królewskiej Mości
 „Tacyśmy dobrzy jak i kto drugi.
 „A może lepsi... Co to?... na świecie
 „Niéma szlachcianek, wojewodzianek,
 „Że córki miejskie uwodzić chcecie?
 „Dość tych chychotek i pogadanek!
 „Ja wiem, szlachcicu, co tobie w głowie:
 „Że się odurzy biedna niewiasta.
 „Wara tych myśli! — ja ci to mówię,
 „Wójt wileńskiego sławnego miasta.“

VIII.

Marcin Studziński powstał zdumiony,
 Krew mu do twarzy warem nabiegła.
 Wtém pisarz miejski wpadł z drugiej strony,
 Groźny jak Jowisz, krasny jak cegła.
 Szeroko o tém gadano w mieście,
 Że k'pięknój Maryi miał affekt rzewny;
 Prawda czy kłamstwo — kto to wie wreszcie?
 Ale pan pisarz bardzo był gniewny.
 Poprawia pasa, czuprynę muska,
 A pogładziwszy ręką po głowie,
 Stylem statutu, po polsku z ruska,
 Tak się odzowie:

— „Wszak król jegomość, Jagiello stary,
 „Dał nam statuta i pergaminy;
 „Ktoby niedobre knował zamiary,
 „Ma być ukaran wédle swéj winy.
 „A waść kto taki! Héj panie bracie,
 „Co na nas wszystkich poglądasz z góry?
 „Na miejskim gruncie, przy magistracie
 „Do córki miejskiéj stroisz konkury.
 „Przecz się szlachejce tutaj panoszą
 „Pustą kieszenią i tarczą biedną?
 „Możesz tańcować, kiedy cię proszą,
 „Ale nie z jedną!...
 „Ale nie z jedną... bo to zniewaga.
 „Patrz jak mu piękne smakują lica!...
 „To przyzwoitéj kary wymaga!
 „Precz ztąd szlachcica!
 „Precz ztąd szlachcica — wszyseśmy równi,
 „Nam niepotrzeba szlachty widoku!“

Pan Marcin k'mieczą porwał się główni,
 Pan pisarz szukał czegoś u boku.
 Przyszłaby walka słowo po słowie,
 Lecz pan Kotwica huknął jak z beczi:
 — „Co to się znaczy? Mości panowie!
 „Wara w mym domu klótnie i sprzeczkil
 „Ja was prosiłem, panie Studziński,
 „Podzielać z nami chleb i zabawy,
 „Bom siła liczył na wasz duch męzki,
 „Bo byłem pewien, żeś rycerz prawy.
 „A waść się znęcasz nad moim progiem,
 „Czyhasz na cnotę mojego dziecka:
 „Jakeś tu przyszedł, idź z panem Bogiem!

„Nam niepotrzebna łaska szlachecka.
 „Idź i nie wracaj— albo bądź gotów,
 „Że cię niegrzecznie za drzwi wywiode.
 „Ty panno córko!... dość tych zalotów,
 „Bo cię zasadzę na chleb, na wodę.“

IX.

Tak mówił stary groźnie i żwawo,
 Aż mu źrenice iskrami gorą.
 Marcin Studziński z godną postawą
 Poszedł ku niemu i rzekł z pokorą;
 — „Sławetny rajco! nie w złym zamiarze
 „Próg waszych komnat przestępowałem.
 „Moje sumienie wyznać mi każe,
 „Że waszą córkę kocham z zapalem.
 „Chciałem odłożyć moje wyznanie,
 „Aż przyjaźniejsza chwila posłuży;
 „Lecz mnie zmuszacie... niech się więc staniel...
 „Życ bez twój córki nie mogę dłużej.
 „Rad, że rozmowa ku temu zmierza,
 „A jój sprzyjania pewien po trosze,
 „Raczie przebaczyć śmiałość żołnierza,
 „Że o jój rękę przy świadkach proszę.“

X.

Podumał trochę Stefan Kotwica,
 Spojrzał na wójta i resztę gości:
 — „Nie, panie bracie!... nie chcę szlachezca,
 „Nam niepotrzeba Waszój Zacności.
 „My się na zięcia takiego piszem,

„Co go zrodziła matka mieszczńska,
 „Co byłby w handlu mym towarzyszem,
 „Coby po towar jeździł do Gdańska,
 „Coby miał grosza swego dostatek,
 „Nie patrząc na to, co mu zostawię,
 „A na ratuszu u sądu kratak
 „Obok mnie zasiadł na rajców ławie.
 „A waszmość szlachcic — herbu Gryf pono,
 „Cóż mi z waszego Gryfa czy Smoka?
 „Masz chudą szkapkę, szablę stępioną,
 „Ot i dostojność wasza wysoka!
 „Pójdiesz na wojnę, lub siądziesz w mieście
 „Na teściowego kawałku chleba;
 „Jeszczeby bracia rzekła nareszcie,
 „Że mi szlacheckich związków potrzeba!
 „A toż mi na co? — Nie, panie bracie!
 „Nie waż mi więcej wdzięczyc się do niej!
 „Lepszy cechowy przy swym warsztacie,
 „Niż lichy szlachcic, co wiatry goni.“
 — „Dobrze powiedział!... czyta jak z księgi!“ —
 Krzyknęli goście już podchmieleni, —
 „Wiwat Kotwica! mieszczanin tęgi,
 „Co tak dostojność mieszczką cenil!“
 Podano gościom miodu antały
 I rozpoczęto huczne wiwaty.
 Żalem i wstydem przejęty cały,
 Rycerz Studzieński wyszedł z komnaty.
 Zarzucił rysią delię na szyję,
 Hełmem płonące czoło osłania,
 I na splakaną w kącie Maryę
 Rzucił bolesny wzrok pożegnania.

CZĘŚĆ DRUGA.

Obmurowanie Wilna.

I.

Stara stolica Giedyminowa,
 Wilno, pieszczota pięknej natury,
 Pomiedzy gaje, pomiedzy góry
 To kwiat co w dzikiem zielsku się chowa...
 Gdy się na strome wdzierasza urwisko,
 Albo brniesz piaskiem drogą pochyłą,
 Nigdybys nie zgadł, że Wilno blisko,
 Gdyby twe serce silniej nie biło.
 Gdy przed twojemi mignie oczyma
 Szczyt pierwszej wieży, pierwszego krzyża,
 Czujesz dreszcz święty, ów dreszcz pielgrzymy,
 Co się ku miejscu świętemu zbliża.
 Korne kolano samo się zgina,
 Serce uderza tętnem żaloby:
 Bo tu Litwina Mekka, Medyna,
 Tu jój proroków kolebki, groby!
 Tu przed wiekami Litwini starzy
 Palili bogom ofiarne Znicze;
 Tu Przenajświętszej Panny oblicze
 U bramy miejskiej stoi na straży;
 Tu Jagiellończyk, lilia dziewic,
 Syn uświęcony litewskiej matki,
 Patron — przyczynca, książę, królewic,
 Złożył w świątyni ziemskie ostatki;
 Tu się męczeństwa pamiątka budzi,
 Trzy krzyże wieńczą górę pochyłą,

Bo gdzież jest naród, gdzie miasto ludzi,
 Coby proroków swych nie zabiło?
 Niejednokrotnie nad miastem starém
 Pan różczkę pomsty wyciągnąć raczy:
 Trapi je głodem, morem, pożarem,
 Trapi przez krwawy najazd krzyżaczy.
 To znów miłościw ku dzieciom swoim
 Daje po klęskach wytchnąć szczęśliwicz;
 Ludzi nawiedza zdrowiem, spokojem,
 A urodzaje pleni na niwie,
 Baszty ukrzepia, mury rozszerza,
 Duchem mądrości nawiedza starsze,
 Wlewa odwagę w piersi rycerza,
 I zbawcze myśli w serce monarsze.

II.

Tak wśród rozlicznych losów przemiany
 Wilno przetrwało drugie stulecie.
 Giedymin pierwsze zasnował ściany,
 Olgierd gród ojca kochał jak dziecię,
 Pod Jagiellonem w potęgę wzrasta,
 Bo czuwa nad niem łaska książećca,
 Pogańskie czoło starego miasta
 Już Chrystusowym krzyżem uświęca.
 I z wież kościelnych zagrały dzwony,
 Kiedy pogaństwa pierzchła pomroka,
 A Pan Zastępów żegna z wysoka
 Litwę, i Wilno, i Jagiellony.
 A choć krzyżackie czasem znamiona
 Zawiały tutaj w bojowym szyku, —
 Polski i Litwy dłoń zespolona

Odparła Niemca aż do Bałtyku.
 Zaprzestał ufać w zdrań swoich dzieło,
 Że nas wypłeni, że kraj nam wydrze,
 Gdy pod Grünwaldem Witold z Jagiellą,
 Rogatą głowę strzaskali hydrze.
 Tymczasem wzrastał, wzrastał gród stary
 W sławę u ludzi, w łaskę u Boga;
 Z Niemiec, od Rusi drużyna mnoga
 Szła tu osiadać, kupeżyć towary,
 Sprawiać rzemiosła dłońmi biegłemi,
 Odmierzać łokciem, ważyć na szali,
 I żyć pod prawem litewskiej ziemi,
 Co jój kniaziowie dobrzy nadali.

III.

Co ojciec począł, to syn dokona,
 Uzacni Wilno nad insze grody:
 Książę Kazimierz, syn Jagiellona,
 Dał przywileje, nowe swobody.
 A kiedy ludzie zewsząd się garną,
 Kiedy ład w mieście rodzi się nowy,
 Książę napisał ustawę karną,
 Aby bezpieczne były ich głowy.
 Dzieło ojcowskie umocnił jeszcze
 Książ Aleksander prawy nowemi.
 Tylko postrąchy jakieś złowieszcze
 Krążyć poczęły w litewskiej ziemi:
 Że się odgraża książ Michał Glinński,
 Na Illniczów coś w sercu knowa,
 Że ma ich bronić pan Zabrzeziński
 I buchnie w kraju wojna domowa.

A z drugiej strony, tam od Podola,
 Tam z Tatarszczyzny strach wieje wszędzie:
 Rycerz w zbroicy dostoi pola,
 Ale z bezbronném miastem co będzie?
 Póki mieszkańców było w niém mało,
 Za mur starczyły piersi waleczne;
 Dziś już ceglane mury konieczne,
 Baszty i bramy mieć już przystało.
 By nieprzyjaciel nie wszedł tak łatwo,
 Opasać murem konieczność zmusza:
 Świątynie Pańskie, ściany ratusza,
 Kapłanów, starców, niewiasty z dziatwą,
 To co najświętsze dla duszy człeka,
 Gdzie z jego piersi modlitwa płynie,
 Gdzie go otacza prawa opieka,
 Gdzie ma wytchnienie przy swój rodzinie.
 Może wróg przypaść niespodziewany,
 Spali, zbezczęści i pozarzyna;
 Więc rada w radę, pany, mieszczany:
 Opasać murem gród Giedymina,
 I z pięciu krańców, z pięciu stron świata,
 Gdzie pięć dróg wielkich w mieście się schodzi,
 Niech z baszty sterczy groźna armata,
 By wstrzymać wylew wrogów powodzi.

IV.

U nas wiadomo z ojców przykładu,
 Że gdzie potrzebny środek ochronczy,
 Tam gadu, gadu, a nie masz ladu,
 Do dnia sądneho rzecz się nie skończy,
 Aż myśl ognista jak promień słońca,

Ku celom bożym powoła rzesze,
 Aż dłoń potężna, wzruszeniem drżąca,
 Z zimnego glazu iskrę wykrzesze,
 Aż gorejące natchnieniem słowo
 Wybuchnie ogniem, zapłoni twarze,
 Wstrząśnie zmartwiałą deskę piersiową
 I sercu czynem zakipiść każe.
 Wtedy na Litwie żyć już nie szkoda,
 Nowych w jej dziatwie dojrzysz przymiotów,
 I ład się znajdzie, i święta zgoda,
 I duch do ofiar gorących gotów.
 Litwin zapomni uraz uprzejmie,
 Pójdzie choć w ogień w najlepszej chęci,
 Kęs chleba sobie od ust odejmie
 I krwi ostatnią kroplę poświęci.

V.

Taką ognistość w myśli i słowie,
 Taki we wzroku zapal zwycięzki,
 Taką potęgę, co k'czynom zowie,
 Miał Wojciech Tabor, biskup wileński.
 On, jako niegdys Stanisław święty,
 Królom i panom nadstawiał czoła;
 Jak Oleśnicki, równie był zdjęty
 Miłością kraju i czcią kościoła.
 Wedle pasterzy dobrych zwyczajuj,
 Po Chrystowemu do serca garnie
 I wierne owce swojej owczarnie,
 I wszystek naród swojego kraju.
 On za ich sprawę stawił się śmiało,
 Jak mu kapłańskie każe sumienie,

Chociażby za to spotkać go miało
 Prześladowanie lub umęczenie.
 On Aleksandra Jagiełły głowę
 Uwieńczył książąt litewskich mitrą;
 On wzmocnił z Polską przymierze nowe,
 Przeniknął wrogów zasadzkę chytrą.
 Za jego wpływem polska korona
 Na Aleksandra błysnęła czele;
 A jednak później nieprzyjaciele
 Wyzuli starca z pańskiego łona.
 Król się nań gniewem srogim obrusza,
 Zamyka przed nim wejście senatu,
 Że chrześcijańska Wojciecha dusza
 Za lud się wstawia do majestatu,
 Że ze swojego wręcz stanowiska
 Śmiał mu przypomnieć kraju ustawy,
 Śmiał głośno wołać, że lud uciska
 Gliški — powiernik króla nieprawy.
 Lecz się kapłańskie nie złękło serce,
 Wojciech przed sejmem stanął raz drugi,
 I śmiało palcem wskazał na zdzierce,
 Słabego pana zdradliwe sługi.
 Stawi jak pasterz groźne oblicze,
 Jako poddany przed tronem klęka,
 Ażeby tylko królewska ręka
 Ze szpon Gliškiego wydarła bicze.
 Nic nie pomogła szlachetna praca,
 Uwiedli króla chytrzy zbrodniarze;
 Król od Wojciecha oczy odwraca,
 I z przed oblicza odejść mu każe.
 I gdyby wkrótce nie śmierci prawa,
 Co Bóg na króla przedwcześnie zsyła,

Może drugiego krew Stanisława
 Kartęby dziejów naszych splamiła.
 O zasnę głowę obrońcy swego
 Litwini drżeli po całym kraju:
 Król nie ma serca karcieć Glińskiego,
 Gliński przebaczać nie ma zwyczaj.

VI.

Jeszcze za czasów łaski królewskiej,
 Błagał go Wojciech z radnemi pany,
 Aby grod święty, gród nasz litewski,
 Był krzepką ścianą obmurowany.
 Król podskarbiego przyzwał ku radzie,
 A rozważywszy środki i cele,
 Rzekł, że murować przeszkód nie kładzie,
 Ale dziś w skarbie grosza niewiele,
 Że to niepilna jeszcze robota,
 Że co ma stać się, później się stanie.
 — „Nie, miłościwy królu i panie!
 „Do Litwy zewsząd otwarte wrota:
 „Tatarzyn goni wiatr w Ukrainie,
 „Wielki książę Moskwy z wami w rozterce;
 „Gdy niespodziana chmura nadpłynie,
 „Gdy piorun w Litwy ugodzi serce,
 „Nie pora będzie murować bramy,
 „Gdy przyjdzie późno płakać nad stratą.
 „Jeżeli w skarbie grosza nie mamy,
 „Serca litewskie dał Bóg nam za to!
 „Serca ochocze, wierne krajowi,
 „Swojemu miastu i chwale bożej;
 „Każdy z nas znajdzie drobny grosz wdowi,

„Co na ofiarę ojczyźnie złożę.
 „Dłonią ubogą, dłonią bogatą,
 „Jako kto może niech się przyczyni.
 „Ja całe mienie poświęcam na to,
 „Mnie dopomogą wszyscy Litwini!“
 — „Wszyscy Litwini! — zgoda, tak zgoda!
 „Niech każdy wzniesie muru kawałek!“
 Mówił wileński pan wojewoda,
 Mówił litewski wielki marszałek,
 Żmudzki starosta, kanclerz litewski,
 Wszyscy wolali jednym wyrazem:
 Jak gdyby płomień z iskry niebieskiej
 We wszystkich sercach wybuchnął razem.

VII.

Wojewodowie, i kasztelany,
 I wszystek senat litewskiej ziemi,
 Rzucają pieniądz garściami pełnemi,
 Warować miasto tworzą już plany.
 Czy który więcej, czy mniej bogaty,
 Jeden przed drugim pośpiesza z darem,
 I Jagiellońskie w zamku komnaty
 Kipią zapalu świętym rozgwarem.
 Już Wojciech Tabor nie wyrzekł słowa,
 Przeżegnał złoto z modlitwą tkliwą,
 I iza gorąca, dyamentowa
 Spadła na jego brodę sędziwą.
 Zebrawszy pieniądz porozrzucany,
 Głosem natchnienia wyrzekł dostojnie:
 — „O! krzepkie będą baszty i ściany,
 „Bo miłość kraju nada im spojnie.“

VIII.

I stał się rozgłos między mieszczany,
 Co senatorstwo na zamku czyni:
 — „A my któż tacy? to nie Litwini,
 „Że lud do składki niepowołany?
 „Tu idzie sprawa o naszą głowę,
 „O bezpieczeństwo chat i ratusza,
 „Gdzie przywileje pergaminowe
 „Gdzie naszych swobód złożona dusza!
 „Na nasby spadły krajowe klęski,
 „Starzec, niewiasta, dziecię przyplaci.“
 Tak na ratuszu wołał do braci
 Pan Otczeńko, burmistrz wileński.
 Pan rajca miejski Stefan Kotwica,
 Między swoimi głowa nielada,
 Obywatelski zapal podsyca,
 I tak powiada:

IX.

— „Dom mój ubogi, nawet drewniany,
 „Ale mam w sklepie wiele towarów;
 „Wolę coś stracić na miejskie ściany,
 „Niż stracić wszystko z łaski Tatarów.
 „Zbierałem grosze w ciężkim mozole,
 „Bo nie tak łatwo teraz o złoto;
 „Jednak na waszym radzieckim stole
 „Dwie kopy groszy składam z ochotą.“
 Pan pisarz miejski, człowiek z natury
 Do dobrych czynów chętny i łatwy,

Dał kopę groszy na miejskie mury,
 Dla bezpieczeństwa swój przyszłej dziatwy.
 Bo choć był czlekiem nie pierwszej wiosny,
 Siwał przy aktach miejskiej ławicy,
 Jednak na córkę pana Kotwicy
 Zawsze poglądał wielce miłośnie.
 Tak jeden, drugi, wieley i mali,
 Skąpi i szczodrzy — z ochotą miłą
 Złotem radziecki stół zasypali,
 Bo o powszechną sprawę chodziło.
 Bo gdzie zagraża krajowi bieda,
 Tam są Litwini zawsze bogaci:
 Panom się nędzarz wyprzedzić nie da,
 Kto krwi nie leje—to groszem płaci;
 Pomny co zawždy od kraju bierze,
 Wszystko krajowi składa w ofierze.

X.

Stało się tedy — pieniądz już gotów,
 Kupiono cegieł, kamieni, chleba,
 Lecz nim do kielni, lecz nim do młotów,
 Wprzód do modlitwy udać się trzeba.
 Bóg po ojcowsku patrzący z góry
 Ludzkim starunkom zsyła pomoce,
 Ukrzepia w grodach bramy i mury,
 Wiekową twardość daje opoce,
 Daje natchnienie planów osnowie,
 Obrobnym basztom kształtuje czoło,
 Robotnikowi umacnia zdrowie,
 Nawiedza w pracy myślą wesolą.

XI.

Od Boga zbożne dzieło poczęto,
 Król je od siebie jeszcze uświetnia,
 I wielkie było na Litwie święto
 W dzień Wojciechowy, przy końcu kwietnia
 W rozkwitającej wiosny poranek
 Piękna na niebie była pogoda;
 Przed katedralny w Wilnie kruzganek
 Lud się litewski cisnął jak woda,
 Kolebki panów i same pany,
 Szlachta, mieszczenie, wszyscy w natłoku,
 Każdy w świąteczny ubiór przybrany,
 A z uroczystym wyrazem w oku.
 Tłum różnobarwny, gwarny, wesóły
 Po katedralnym placu się błąka;
 Rzekłbys słuchając, że huczą pszczoły,
 Rzekłbys patrząc, że kwitnie łąka.
 Rzuć tylko okiem, jak tłum się mnoży,
 Jakiem wrą życiem starzy i młodzi!
 A łączno zgadniesz, że to lud boży
 Jakies krajowe święto obchodzi.

XII.

Drzwi się otwarły. Pod baldachinem
 Dały się widzieć dwa jasne czoła:
 Pasterz z monarchą, jak ojciec z synem,
 Z katedralnego wyszli kościoła.
 Tabor schylony i siwobrody
 Niesie krzyż Pański dłońmi drżącemi;

Król Aleksander, choć jeszcze młody,
 Coś bolejąco patrzy ku ziemi.
 Wiedzie pod rękę starca pasterza
 I jasną brodę lewicą głaska;
 Lecz chorowita na twarzy kraska
 Wszystkich boleśnie w oczy uderza.
 — „Gasną powoli Jagiellonowie,
 „Lach nas zagarnia więcéj a więcéj.
 „Kto wielczy długo kołpak książęcy
 „Na téj schorzałéj zostanie głowie!“
 Taki gdzie niegdzie szmer przytłumiony
 Między wileńskim ludem się szerzy;
 Ale tymczasem zagrzmiały dzwony
 Ze starożytnéj Krywejtów wieży,
 Słychać śpiewanie, tłum coraz wzrasta,
 Dzwony wstrząsają stolicą naszą,
 A pochód idzie w około miasta
 Tak jak je murem wkrótce opaszą.

XIII.

Naprzód, na czarnych koniach trębacze
 Grają sygnały, wydawszy twarze;
 Potém, nadworna chorągiew skacze,
 A święty Krzysztof na jéj sztandarze.
 Daléj, ubrany w żupan bogaty,
 Wielki marszałek, z laską swéj cześci,
 Wiedzie za sobą wszystkie powiaty,
 Ile ich ziemia litewska mieści.
 Szlachcic jak Centaur wrosły do siodła,
 Jakby żelazny, zakuty w zbroi,
 Pod powiatowym sztandarem stoi.

A każdy sztandar insze ma godła:
 Tam dziarska Pogoń nad szlachtą wieje,
 Tam święty Michał wojuje smoka,
 Owdzie Anioła postać wysoka.
 Tam Żubr barczysty z grodzieńskiej knieje,
 Ówdzie Opatrzność, ówdzie pęk Kluczy.
 Dobrze te godła znają sąsiady!
 Gdzie Pogoń skoczy, gdzie Żubr zamruczy,
 Gdzie Anioł skinie mieczem zagłady,
 Tam nieprzyjaciół uciekać musi,
 Jakby powietrze spotkał morowe.
 O pierś skalistą Litwy i Rusi
 Niejedno plemię strzaskało głowę!

XIV.

Za powiatami, pamięć ich chwaly,
 Idzie Witolda działo armatnie,
 I sztandar stary a wypłowiały,
 Po bohaterze godło ostatnie.
 Dwanaście koni z strusiemi kity
 Obwozi działo na podziw miastu;
 A stary sztandar, ledwo rozwity,
 Niesie kolejno mężów dwunastu.
 Na święte szczątki patrzą ciekawi
 I proszą w duchu o łaskę bożą:
 „Kiedyż się drugi Witold nam zjawi,
 „Gdy Tatarowie Wilnu zagrożą?!“

XV.

Po za armatą, po za sztandarem,
 Pergaminową księgę niesiono;

I szedł wójt miasta za prawem starém,
 Za nim ławników i rajcow grono.
 Za radą miejską—wpośród kapeli,
 Pogoń litewską niesiono w górze,
 Po za Pogonią szykiem stanęli
 Strzelcy nadworni, jój wierni stróże.
 Potém kapłani — wszyscy po parze,
 Śpiewając hymny i wznosząc modły,
 Potém król, pasterz i dygnitarze,
 A tłumy ludu z dala ich wiodły.

XVI.

Wietrze litewski! gdybyś te gwary
 Zdolał pochwyć w jedną osnowę,
 I świętym hymnem przeszłości starój
 Zawiać nam w piersi, orzeźwić głowę,
 Gdybyś te dzwony, śpiewy, okrzyki,
 Rozniósł po Litwie na wszystkie strony,
 A potém zawiął—gdzieś na step dziki.
 By je usłyszał Tatar spłoszony:
 Że nie struchleje przy krymskim hanie
 Nasza stolica wielko-książęca,
 Że mur obronny, co tutaj stanie,
 Naród buduje, a król poświęca...
 Że pasterz Pański, przodkując rzeszy,
 Natchnione z Nieba słowa ogłasza,
 A lud je słuchać skwapliwie śpieszy,
 Że tu jest niczém potęga wasza!
 Pędź już na Litwę, hordo zbójecka,
 Puszczaj zagony z blizka, z daleka!

Wkrótce dolecisz na pola Klecka,
Gdzie anioł pomsty z mieczem cię czeka!

XVII.

Fundament muru już okopany,
Okop na baszty już oznaczony;
Sędziwy biskup poświęca ściany,
Błaga nad niemi bożej obrony.
A chór kapłanów, w pięknej gromadzie,
Do każdej bramy z królem się zbliża,
Pod każdą basztę fundament kładzie
I żegna kamień znamieniem krzyża.
Pasterz kraj żegna życzliwą dłonią
Na cztery strony bożego świata;
A lud się modli, a dzwony dzwonią,
A z wałów zamku grzmoce armata.

XVIII.

Tak kiedy przeszli kres obwodowy,
Cały się pochód pod ratusz zwraca;
I Wojciech Tabor śpiewa hymn nowy,
Aby szczęśliwie wiodła się praca.
Kiedy wezwano Świętego Ducha,
Zadrżały ściany grodu Jagielly,
I Witoldowskie działa ryknęły,
I w serce Litwy weszła otucha:
Że przez te murów święconych głązy
Nie przejdzie żadna do miasta kłęska,
Ani morowej powiew zarazy,
Ani Tatarów stopa zwycięzka.

XIX.

O! nieraz przeszły przez miejskie bramy
 I krwawa wojna, i mór wybladły;
 Bo w sercu Litwy duch nie ten samy,
 Bo na kościołach krzyże opadły.
 Ale nad jedną basztą obronną
 Musiał się Tabor modlić najdłużej;
 Bo jego modła była nieplonna,
 Bo dziś ta baszta za twierdzą służy!
 Twierdza to święta, twierdza potężna,
 Której piekielna siła nie złamie:
 Bo tam króluje litewska księżna—
 Bogarodzica na Ostrój Bramie!
 Tam codzień ucho łaskawe daje
 Na swych poddanych korne pacierze,
 I Palemona szerokie kraje
 Od głodu, moru i wojny strzeże.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tatarowie pod Kleckiem,

I.

Wiatr ciągle wieje od stron południa,
 Przez Ukrainę i przez Polesie;
 Z wiatrem zaraza wioski wyludnia,
 Wiatr piorunowe obłoki niesie.
 W piaskach i górach Litwy szczęśliwój,

Po nad miastami wicher się kręci,
 Grady zną kłosy dojrzałej niwy
 I szarpią kwiaty na sianożęci.

II.

To nie wiatr wieje od stron południa
 Przez Ukrainę i przez Polesie,
 To nie zaraza wioski wyludnia:
 To Tatar nóż swój morderczy niesie.
 W piaskach i górach Litwy szczęśliwój
 To nie huragan szalony hasa:
 Tatar pustoszy złociste niwy,
 Tatar kwieciste łąki wypasa.
 Ludzka się praca w niwecz obraca,
 Krew chrześcijańska płynie jak fala,
 Co dnia a co dnia smolna pochodnia
 Insze słomiane dachy zapala.
 Dalej a dalej chmura się wali,
 Wiatr ją zaledwie wyprzedzić zdoła,
 Gwizdnie na dachy biednego sioła,
 Aby się ludzie w lasy chowali.
 Gwizdnie, uderzy o baszty wieży,
 Ażeby strzelbę miano w odwodzie,
 Sygnał baczości da dla rycerzy,
 A serce niewiast strachem przebodzie.
 Daremna, wietrze, twoja usługa!
 Zaledwie kmiotek przestrogę zgadnie,
 Zaledwie woły wyprzagnał z pluga,
 Już go tatarska horda opadnie.
 Jaskółki skore, niezawsze w porę
 Zdołają zemknąć z strzechy rolnika;

Szczęka krzesiwo i strzecha gore,
I dym i płomień odlot zamyka,
I ginie ptaszę.

Ledwie w poddasze
Zawionie, wietrze, twoja przestroga,
Zaledwie rycerz pałasz przypasze,
Już go krępują powrozy wroga.
Ledwie niewiasta wieścią strwożona,
Zdoła wykrzyknąć, włożyć krzyż Pański
Na biedne czoło, piersi, ramiona,
A już ją wloką w jassyr pogański.
Próżno rycerstwo po stepie hasa,
Zbiera podsłuchy, sledzi oczyma,
Z gór się przygląda, tropi wśród lasa:
Wczoraj tu byli, a dzisiaj niéma.
Tatar co chwila szlaki omyła,
Z każdej przystani albo noclega,
Albo rozsypką czwajuje szybko,
To w niezliczony hufiec się zbiega.
Lecą — jak leci szarańcza mnoga,
Z kraju do kraju, z niwy na niwę,
Za hordą ślady — krew i pożoga,
Przed hordą gońce — wieści trwożliwe.

III.

Król Aleksander złożon niemocą,
Do snu wiecznego ma zamknąć oczy.
Wtém jeden goniec przyleciał nocą,
Że już Podole we krwi się broczy;
Przyleciał drugi od Ukrainy
Z wieścią o wojsku nieprzyjaciela,

Że Achmet Gerej ze swemi syny
 Na cztery części hordeę rozdziela:
 Jedna część w środek litewskiej Rusi
 Pod starą Mińska poszła warownię,
 Druga w Polesiu plondrować musi,
 Do twierdzy słuckiej drze się gwałtownie,
 A trzecia pewna dobrego skutku
 Poszła na Połock z tysiącem koni,
 A czwarta horda już w Nowogródku,
 Którego Gasztold walecznie broni.
 Przyleciał goniec trzeci i czwarty,
 A wszyscy bladzi i przerażeni;
 Bo pożar wszędzie już rozpostarty,
 Bo Litwa gore w dziesięć płomieni.
 Struchlało Wilno. Radni panowie
 Do boku króla zbiegli się trwożnie.
 Król konający odzyskał zdrowie,
 Swoją powinność uczuł pobożnie.
 Próżno królowa do stop się ściele,
 Próżno się senat odradzić stara:
 Król chce sam stanąć na wojska czele,
 Chrobre rycerstwo wieść na Tatara.
 Rada senatu długo się wlecze,
 Lecz od zamiaru go nie odwiodła.
 Młodzież rycerska brząknęła w miecze,
 Przywdziała zbroje i konie siodła.
 Książ Gliński wozdem! a każdy z panów
 Gotuje hufce swoich żołnierzy.
 Skreślono kartę wojennych planów,
 Kto, dokąd pójdzie i jak uderzy?
 Już nie pochmurne myślmi trwożnemi,
 Ale zapalem błysnęły czola:

Święte kochanie rodzinnój ziemi
 Swych bohaterów do czynu woła.
 I lecą z miasta oddziały chyże,
 Stawić wrogowi rękę odporną.
 Szczęsny Illinicz, hrabia na Mirze,
 Powiódł chorągiew pierwszą nadworną.
 Splonęły jego włości bogate,
 Wróg nie przepuścił żadnemu siolu:
 Hrabia pośpiesza dać mu odpłatę
 Jeszcze na świeżym stosie popiołu,
 Odbić z niewoli niewiasty, dzieci,
 Wzmocnić na duchu tych, co upadli,
 I w ciepłej jeszcze krwi swoich kmieci
 Miecz zahartować, by rąbał zjadlój.

IV.

Sprawa ojezysta, sprawa wiadoma:
 Syn winien czuwać, gdy cierpi matka;
 Gdy idą bracia, wstyd zostać doma,
 Albo oszczędzać krwi swój ostatka!
 Ze śmiałą głową, z duszą gotową,
 Trzeba iść dla niej na śmierć i klęski;
 Więc pod chorągiew Illiniczową
 Stawił się rycerz, *Marcin Studziński*.

V.

Jutro o świcie wojsko wyruszy,
 Wygnąć z pod Mira nieprzyjaciela.
 Do bolejącej kochanka duszy
 Zajrzał jaśniejszy promyk wesela:

Bo zawždy serce zbywa kamienia,
 Gdy powinności przed oczy staną;
 Święty ich rozkaz wyrwał z uspienia,
 Pana Marcina myśl rozkochaną
 Nie czas o pięknej myśleć Maryi,
 Albo rozważać, że serce boli,
 Gdy na schylonój braterskiej szyi,
 Cięży haniebny powróż niewoli.
 Więc rzekł do siebie: — „Miecza nie złożę,
 „Póki Tatarzyn w Litwie zostanie!
 „Mogliby miasto napaść, broń Boże!
 „Och! a w tém mieście moje kochanie.
 „Hój na Tatary, moja szabelko!
 „Mój siwy koniu, do mnie co żywo!
 „Mamy przed sobą drogę tak wielką,
 „Szerokie pole i piękne żniwo!
 „Do mnie, stalowa przyłbico stara!
 „Do mnie, mój piękny rycerski pasie!
 „Kiedy powrócę zbiwszy Tatara,
 „Może pan ojciec ubłagać da się...“
 W takich nadziejach serce skąpawszy,
 Westchnął modlitwą, pomyślał o niéj,
 Uronił leżkę, — weselszy, żwawszy
 Już śni jak w polu Tatary goni.

VI.

Piękny poranek na niebie świta,
 Rzeźwo tchnie wietrzyk w cieniu gaika,
 Młoda niewiasta płaszczem okryta,
 Z murów się miejskich z wolna wymyka,

W około siebie patrzy nieśmiało,
 I czegoś słucha, na kogoś czeka.
 Wtém za galkiem coś zatętniało,
 I konny rycerz pędzi z daleka.
 Przybiegł, i dziarsko zeskoczył z siodła,
 Podali sobie ręce oboje,
 Niewiasta miłém okiem obwiodła
 Jego sowito błyszczącą zbroję,
 I białą rączką konia popieści,
 Gęstą zasłonę z twarzy odwinie,
 I rzecze głosem cichéj boleści:
 „Już nas odjeżdżasz, panie Marcinie!“
 To była Marya — pierwszy raz w życiu
 Przyszła w ten piękny lasek przy drodze:
 Z domu rodziców wyszła w ukryciu,
 Ach! bo też ciężko było niebodze!
 Chciała zobaczyć swego młodziana,
 Na pożegnanie rzec mu: Szczęść Boże!
 Chciała powiedzieć, że żadna zmiana
 Nigdy w jój sercu postać nie może...
 A przecież milczy, jakby się sroma,
 Jak gdyby sama z siebie nierada;
 Stoi niepewna i nieruchoma,
 Na oczach uśmiech, a twarz jój błada.
 Tak się gdy grzmiące chmurzysko sunie,
 Płynie po przedzie obłoczek bledszy,
 Nim łzawym deszczem na ziemię lunie,
 Najprzód się w jasne słoneczko patrzy,
 To się w cień schowa — to wymknie z cieni,
 To poblednieje, to zarumieni!
 Rycerz przywiązał konia do brzożki,
 Tarczę przewiesił na siodła lęku,

Wbił w ziemię ciężki oszczep dziadowski
I rysią skórę zwiesił na ręku.

VII.

Piękni w téj chwili byli oboje.

Ona do niego troskliwie rzekła:

— „Panie Marcinie! och! ja się boję!

„Chociaż całego stal cię oblekła.

„Czyż twoja pawęż dosyć jest zwinna?

„I czy twój pancierz dosyć jest gruby?

„Przebacz, żem śmiała, żem tak dziecinna,

„Ale się lękam twojej zaguby.

„Twojej zaguby... nie, to nad siły,

„Nie mogę myśleć o twoim grobie!

„Ciebieby w boju wrogi zabiły,

„Mnieby zabiła tęskność po tobie.

„Panie Marcinie! wracaj nieboże!

„A piers sklepście okrywaj zbroją,

„Rodzice moi zgodzą się może,

„Będę szczęśliwą — bo będę twoją.“

— „Maryo dobra!“ — rycerz odpowie —

„Pancerz mój twardy, miecz mój niekruchy;

„Niosę me życie, niosę me zdrowie,

„Alem najlepszej pełen otuchy.

„Gdy syn kościoła walczy z pogany,

„Nad głową jego anioł stróż lata,

„A jego piersi strzeże od rany

„Bogarodzicy promienna szata.

„Czuję, że w ostrzu mego brzeszczota

„Jest bezpieczeństwo i pomsta braci;

„Z tą myślą ręka potężniej grzmota,

„A brzeszczot hartu swego nie traci.
 „Nie zdoła przebić serca w mém łonie,
 „Niech się Tatarzyn jak chce rozhula,
 „Kiedy pomyszę, że ciebie bronię,
 „Naszych kościołów, ludu i króla.
 „Zdrową mi zostań! ja wrócę zdrowo,
 „Może Bóg spełni nasze nadzieje:
 „Zamiast pancerza szatę godową
 „Z łupów tatarskich szytą przywdzieję;
 „Perł, brylantów sznurek bogaty
 „Twój pięknej twarzy blasku przyczyni,
 „Z lamy złocistej będą ornaty
 „Do katedralnej naszej świątyni.
 „Sam Wojciech Tabor, wielki mąż boży,
 „Choć go nie bawią złota ponęty,
 „Będzie wyglądał jak jaki święty,
 „Kiedy je włoży.
 „Bywaj mi zdrowa! żywym zostanę;
 „A nie zawstydzę mego oręża!“
 I ucałował oczy splakane,
 I sam zapłakał... cichą łzą męża, —
 I wskoczył na koń, i ręką skinął,
 Och! bo się trudno rozstać z niebogą!
 I koniem zręcznie w polu wywinął,
 I pędem wiatru puścił się drogą.

VIII.

Ona została — z tłumioném łkaniem,
 W cichój nadziei, w cichój obawie;
 Krzyż na powietrzu skreśliła za nim
 I do modlitwy klękała na trawie.

Nie było zaklęć ani rozpaczy,
 Jeno kochanie, jeno tęsknota,
 Bo rycerz wiedział, co słowo znaczy,
 A więc mu zazdrość sercem nie miota.
 I dziewic u nas serce dostojne,—
 Choć o kochanka truchleje trwogą,
 Nigdy nie rzekła: Nie jedź na wojnę,
 Bo tam na wojnie zabić cię mogą!
 Harcuje w polu młodzież pancerna,
 Dziewice po niej tęsknią kryjomu,
 Została modła i pamięć wierna
 I tam w obozie, i tutaj w domu.

IX.

Na dzielnych koniach, w błyszczącej stali
 Z iskrzącą bronią, z odwagą w oku,
 Lidzkim gościńcem rycerstwo wali,
 Na wpół przyémione w pyłów obłoku.
 Książ Michał Gliński z Wilna je wiedzie,
 By w różne strony puścić gonitwy.
 Chorego króla wiozą po przedzie,
 Walczyć lub umrzeć chce w pośród Litwy.
 Porozsyłano królewskie wici
 Do wszystkiój szlachty litewskiój rzeszy:
 Kto jeno pocziw, niech oręż chwyci,
 I na obronę ojczyzny śpieszy.
 Rosną chorągwie obrońców wiary,
 Litwa grzmi echem wojennój nóty,
 Gliński rozesłał swoje rajtary,
 Aby tatarskie zbadać obróty.

X.

Od Nowogródka wieść niezbyt trwoźna:
Zbiega się szlachta, blizcy, dalecy,
Pan Marcin Gasztold czyni co można,
Gromi Tatarą z murów fortecy.
Pan Iwan Tryzna i Pan Niemira,
Biją ich w polu, po za murami,
Illnicz mści się za klęski Mira,
Gdzie wyginęli bezbronni sami.
Radziwiłłowi Nieśwież spalili,
Wioski spalili—lecz czynszownicy
Wnet siedli na koń, i w jednej chwili
Łeb im strzaskali w Dorohowicy.
Na zamku słuckim dzielna niewiasta,
Wdowa po mężnym kniaziu Siemionie,
Stała w obronie swojego miasta,
Jako orlica w piskłat obronie.
Tam głowa rodu, mały kniaź Jerzy,
Pod okiem matki dziarsko się chowa;
Cóż jeśli Tatar z nienacka wbieży
I lube dziecię w więzy zakowa!?...
Lecz król i Gliński spokojni o nią,
Bo księstwo słuckie wojska ma dużo,
A bojarowie kniahini bronią,
Zaścianki szlachty wiernie jój służą.
Sama kniahini sercem nietrwoźna,
Na zamku armat, prochu dostatki:
Więc co do Słucka, spuścić się można:
Na wierność bojar i rozpacz matki.

XI.

Ale Glińskiego insze rajtary
 Wpadły w sam środek tatarskiej dziczy,
 I bój był krwawy, mnogich bez miary
 Tatarów zbito. Zamiast zdobyczy,
 Przyniesli wodzom straszne trofeja:
 Dziesięć głów wroga wbitych na dzidy,
 I wieść straszliwą, że dziec Gereja
 We sześć tysięcy śpieszy do Lidy.

XII.

Padła jak piorun myśl bojaźliwa
 O Jagiellońską latorośl drogą:
 Na zamku lidzkim król dogorywa,
 Na koń nie wsiądzie, porwać go mogą!
 Więc rada w radę: kanclerz Jan Łaski,
 Jan Zabrzeziński i Jan Sobotka
 Króla do miękkięj kładą kolaski,
 A Wojciech Tabor siadł z nim do środka,
 Królowa u nóg, i do stolicy
 Wyruszył pochód. Wszyscy truchleli.
 Senatorowie jako woźnicy,
 Siedli na kozieł, cugle ujęli.
 A król co chwila w boleściach stęka,
 Marzy Tatarów, do bronii wola.
 Drżąca, troskliwa, a wierna ręka
 Pot mu śmiertelny ociera z czoła.
 Dwie doby jadąc noga za nogą,
 Ledwie stanęli w wileńskiej bramie;

Wszędzie wieśniactwo przejęte trwogą
 Patrzy na pochód i ręce łamie.
 Czapkę przed pańską schyla karocą
 I do zamkniętych okien się kłania,
 Uczuwa swoją dolę sierocą,
 Bo pęknął puklerz, co ją osłania.
 Stanęli wreszcie już w murach Wilna,
 Lud się dowiedział, upadł w otusze,
 Miasto zaległa cisza mogilna,
 Mogilna trwoga zaległa dusze.
 Każdy kto może, umknąć się stara,
 Każdy przedśmiertne mówi pacierze:
 „Wybaw nas Boże z mocy Tatarów!
 „Bronście głów naszych dzielni rycerze!“

XIII.

Już Tatar w Lidzie — o milę w koło,
 Puszcza zagony na każdą stronę:
 Czy dwór, czy kościół, czy ciche siolo,
 Wszystko zniszczone, wszystko spalone;
 Z lidzkiej warowni widać pożary,
 Słysząc ich wrzaski, słysząc płacz ludu:
 Boże zastępów! broń twojej wiary!
 Zeszlęj nad hufce anioła cudu!
 Polski ochotnik zbliża się z wolna,
 Klóci się w twierdzy szlachta gwałtowna;
 Jeśli tak dłużej — horda swawolna
 Całą krainę z ziemią nam zrówna.

XIV.

Nakoniec jakoś zbiegło do Lidy
 Rycerskiej szlachty dziesięć tysięcy.
 — „Héj czas już zrzucić jarzmo ohydy!
 „Czas do roboty wziąć się goręcéj!“
 Krzyknął książę Gliński — i w jedną stronę,
 Wysłał pancernych zastęp niemały,
 W drugą rajtary swe wywieszzone,
 W trzecią puszkarzów z dobrymi działami.
 I w Imię Boże począł się taniec.
 Szlachta się bardziej, bardziej ośmiela,
 Odetchnął nieco wiejski mieszkaniec,
 Bo już obrońcę, bo ma mściciela.
 Codziennie przewagi nowe nad zgrają,
 Polskiego męstwa nowe popisy,
 Codziennie jeńców przyprowadzają
 Lub niosą głowy wbite na spisy.
 Nakoniec nocą, trzecią czy czwartą,
 Chlubnym się plonem uwieńcza praca:
 Mehmed Gereja z Lidy odparto,
 Znow w nowogródzkie strony powraca.

XV.

Hejże ha za nim! — kręci się żmija
 Nie prostą drogą, ale rozsypką, —
 Niechaj nam sprzyja Jezus Maryja!
 Ścigać ich wszędzie, doganiać szybko!
 Ale zbójectwo wichrem się błąka,
 Błędniemi szlaki lecają jak wściekli,

Gdzie jest Ostaszyn, Cyryn, Połonka,
 Byli — spalili i w lot uciekli.
 Litwa ich tropi — horda zbójcka,
 Umie pogoni zmykać nielada;
 Wreszcie przylata pod mury Klecka
 I tam swój wielki tabór zakłada.
 Tam krwawych łupów czyni podziały,
 Z krwi myje ręce, umacnia siły,
 Tam wszystkie hordy zebrać się miały,
 Co w dziesięć szlaków Litwę niszczyły.

XVI.

Nad grzązkim stawem, dwoma obozy,
 Synowie hana, dwóch mężnych braci,
 Kując łańcuchy, wijąc powrozy,
 Czekają Litwy w groźnej postaci;
 Ostrzą na głazach krzywe szabliska,
 Sprawiają w łukach cięciwy, grotty,
 Czynią przechwałki i pośmiewiska,
 I rozbijają białe namioty.
 Białe namioty w polu rozbili,
 Konie puścili na grzązką paszę,
 Gdy niespodzianie, o rannéj chwili,
 Nadbiegło chobre rycerstwo nasze.
 Najprzód Glińskiego rajtaryya wpada,
 Zabiera szatry w polu rzucone,
 I co się pasły ich koni stada,
 Zgania tabunem na polską stronę.
 Tatarzy szkodę odbijać lecą,
 Wśród rozpaczliwych krzyków i wrzawy,
 I hufiec pieszy, i konnych nieco,

Przez wrzącą rzeczkę bronią przeprawy.
Gdzie był bród płytki w miejscu piaszczystém,
Napięli łuki, puścili strzały,
Żelazne groty ze szczęką, świstem,
W litewskie hufce jak grad leciały.
Tak gdy niebaczny bartnik podrażni
Na rój lecące gromady pszczole,
Z brzękotem groźby i nieprzyjaźni
Tysiące żudeł twarz jego kole.
Celnie strzelają z łuków Tatarzy!
Strzał wyleciały mnogie tysiące,
Że za ich cieniem, jak mówią starzy,
Jakby za chmurą skryło się słońce.
Niejednym pocisk przestrzelił głowę,
I niejednego powalił z siodła,
Strzała przebiła blachy stalowe,
Albo rumaka ciężko dobodła.
Litwa się cofa,—ale po chwili
Śmielój się pocznie brać ku przeprawie;
Radziwiłłowscy z rusznic strzelili,
A broń to była nieznana prawie.
—„Héj w Imię Boże! przebrnąć te brody!“
A była gęsta zarośl u brzegu;
Więc Litwa rąbie chrósty i kłody,
Rzuca do rzeki i po nich wbiega.
Gliński jak orzeł, jak błyskawica,
Chróścianym mostem rzekę przebywa,
Na kark tatarski wpada konnica,
I rzeź nastaje krwawa, straszliwa.
Grzmot od wystrzałów, twardy zgrzyt blachy,
Tętnienie koni, rżenie, kurzawa,
Ciężkie w powietrzu mieczów zamachy.

Tam wódz rycerstwu ducha dodawa,
 Tam konający: „Dobij mię!“ błaga,
 A sznurem płynąc warczy posoka,
 Z piersi hordyńców pierzełła odwaga.
 Proszą o wsparcie swego proroka.

XVII.

Pod kniazem Glińskim konia zabito,
 Ale się rumak nadarzył świeży,
 Wskoczył nań: — „*Za mną!*“ — grzmiące kopyto
 Znów daje hasło, gdzie iść należy.
 Wśród żądeł mieczów, strzał i bardyszy,
 Kurz pokrył wojsku oczy i twarze;
 A jednak widzi, a jednak słyszy,
 Gdzie mu kniaź Gliński uderzyć każe.
 Szlachta się waha, słabnie w natłoku,
 Przed liczną hordą wytrwać nie zdoła.
 Wtém nowogródźka chorągiew z boku
 Idzie na pomoc jak miecz aniola.
 Wściekły pohaniec znów ruszył w taniec,
 Wzmógł się na siłach, tabór zamyka.
 Ale grodzieńskich puszczy wychowaniec
 Wziął go na oszczep jak bierze dzika.
 Mostem padł Tatar zbity zwyciężko,
 Konie swych jeźdźców dławia i tłoczą.
 Chorągiew mińska współ z grodzieńską
 Po stosach trupów krąży ochoczo.

XVIII.

Lecz nowy sygnał do boju dzwoni,—
 Nowy zasilek pomocy bożkiój: —

Hufiec koronny we trzysta koni,
 Lekko, z hussarska wiedzie Czarnkowski.
 Z dała rozstawił hufce na górze,
 Od trąb, od bębnow zagrzmiała niwa,
 Aż wróg się zdumiał—wojsko tak duże
 Zkąd na obronę Litwie przybywa?
 Znowu Tatarzyn szyki rozeprze,
 Chce się orzeźwić, a tu już zmierzcha;
 Lecz sparł go Gliński przy rzece Ceprze,
 Położył trupem—a reszta pierzcha.
 Wrogów dwadzieścia padło tysięcy,
 A któż policzy konie poległe?
 A trzy tysiące tatarskich jeńcy
 Przy murach Wilna dźwigało cegłę.
 Uszli tatarscy obaj książęta
 Przez grzązkie błota, przez ciemne lasy.
 A Litwa długo ten dzień pamięta,
 Pamiętać będzie na wieczne czasy!

XIX.

Od krwi wylanéj staw po za Kleckiem
 Dziś *Krasnym-Stawem* naród nazywa;
 Tarcze i hełmy z godłem zbojeckim
 Rolnik na polach dziś wyorywa;
 A kurhan jeden, drugi i trzeci,
Kopcem tatarskim dotąd się zowie;
 Idzie pamiątka z ojców na dzieci,
 Że tu pobici są Tatarowie.
 A choć od owéj wielkiéj zagłady
 Cztery stulecia mija bez mała,
 Dziś jeszcze mówią swym wnukom dziady

O wielkich czynach kniazia Michała.
 Książ był wybawcą dla Litwy całej,
 Był bohaterem pomiędzy braćmi:
 Któżby odgadnął, że blask swój chwały
 Podlém zabójstwem i zdradą zaćmi?

XX.

Modła serdeczna niebo przebija,
 Ale wyroków zmienić nie zdoła.
 Prosząc za lubym tęskna Marya
 Odwiedza święte progi kościoła.
 Próżno bolesną dzieląc się troską,
 Do krat pokuty uczęszcza rada;
 Przed Zbawicielem i Matką Bożką
 Stan swojej duszy kornie spowiada.
 Ale Niebiosa próżno zaklina:
 Niebo nie chciało przyjąć ofiary,
 Nie ocaliło zdrowia Marcina.
 Podczas morderczej bitwy z Tatory
 Oszczep mongolski strzaskał mu ramię;
 Strzała puszczone z twardój cięciwy
 Oстрым się grotem w piersiach załame.
 Rycerz się zachwiał, — padł jak nieżywy.
 Wśród bojowiska nikt nań nie zważa.
 Ledwie po bitwie ciemną już nocą
 Jakieś życzliwe serce hussarza
 Towarzyszowi przyszło z pomocą.
 Ocalił brata, co krwią obłany
 Już dogorywać w mdłości p... ia;
 Omył, przewiązał, zasklepił y,

Na tatarskiego wsadził mierzyna,
 I zaprowadził na wieś pobliską,
 I tam wypytał aż do ostatka:
 — „Jak herb waszmościń? jakie nazwisko?
 „W jakim powiecie ojciec i matka?“
 — „Jestem Studzieński — Marcin mi imię —
 „Gryf jest herbowym moim klejnotem.
 „Ród mój w Poznańskim bywał w estymie,
 „Aleśmy jakoś zbiednieli potem.
 „Ojciec i matka dawno już w grobie,
 „A mnie tu nędza po świecie pędza.
 „Ale jak mogę przypomnieć sobie,
 „Że mam w Oszmianie krewnego księdza.
 „Tam chciałbym dobrnąć, gdy będą siły;
 „A jeśli umrę między obcemi,
 „Wszakże tu kopać będą mogiły,
 „Będzie i dla mnie trzy łokcie ziemi!
 „Umrzeć dla kraju, dla Pana Boga,
 „Nie żal polskiemu bojownikowi!
 „A już tam droga moja nieboga
 „Zgadnie, żem umarł i pacierz zmówi.“

XXI.

— „Ej bredzisz waszmość!“ — hussarz odpowie: —
 „Rany waszmości goją się prawie;
 „Za tydzień, drugi, da Pan Bóg zdrowie,
 „Ja do Oszmiany sam cię dostawię.
 „Moi rodzice żyją tam blisko;
 „I ja mam krasny cel mych zalotów,
 „A jak jój imię, a jak nazwisko,
 „Nie powiem waści, boś odbić gotów.“
Poezycze Kondrat, Tom IV.

Dzięki staraniom bratniej opieki
 Od ran tatarskich boleść nie taka:
 Marcin Studziński, chory, kaleki,
 Został pod Kleckiem w chacie wieśniaka.

CZĘŚĆ CZWARTA.

Zgon Wojciecha Tabora.

I.

Król Aleksander już w Wilnie złożył
 Na łonie śmierci znękaną głowę;
 Nawet téj pięknej chwili nie dożył,
 Aż mury miejskie były gotowe.
 Postrach tatarski grzał do roboty,
 By się zasłonić prędej od klęski;
 Ale najwięcej dawał ochoty,
 Wielki mąż boży, biskup wileński.
 Grosz szczodroblivy sypał w ofierze
 Miłemu miastu w jego potrzebie,
 Otworzył w wioskach mnogie śpichlerze
 I robotników garnął do siebie.

II.

We dnie i w nocy zwożono cegły, —
 Dźwigane ludu wielkimi siły,
 Już się w obronne ściany uległy,
 Już się w wysokie baszty spiętrzyły.

A każda wieża głowę piętrzącą
 Chlubnie podnosi na Litwę całą,
 I Giedyminą odwieczne miasto
 Piękną a groźną postać przybrało.
 Snadź duch Jagiellów czuł radość nową,
 Z wysokich niebios gdy spojrział na nie;
 Przez Giedyminą pierś granitową
 Przebiegło ciepło w zimnym kurhanie.
 Do swój wzniesiona już wysokości,
 Kiedy ostatnia baszta stanęła,
 Sędziwy biskup płakał z radości,
 Widząc owoce swojego dzieła.
 I drżące ręce wznosi ku ścianie,
 I do modlitwy kolana chyli:
 — „Teraz w pokoju puść mię już Panie!
 „Bo upragnionój dożyłem chwili!
 „Zabezpieczenie w potomne wieki
 „Twojego ludu widzą me oczy:
 „Niechże mur drugi, mur Twój opieki,
 „To chrześcijańskie miasto otoczy.“

III.

Zatém rozkazał uderzyć w dzwony,
 A krzyż Chrystusa niosąc po przedzie,
 Ze wsi i z miasta lud zgromadzony
 Dokoła murów z obrzędem wiedzie.
 Pokrapia ściany święconą wodą,
 Przy każdej baszcie dłużej przystanie,
 A zacne dłonie wznosząc nad trzodą,
 Z Miednickiej bramy dał przeżegnanie.
 Z uszanowaniem głowy uchyla,

Pada na klęczki orszak narodu.
 Wielka to była a święta chwila
 W życiu past rza i w życiu grodu.

IV.

Och! bo chwil wielkich w życiu tak mało,
 Radość bez ofiar stać się nie może.
 Wkrótce stroskane Wilno płakało
 Po swoim ojcu, po swym Taborze.
 Złaman chorobą, pracą i laty,
 Czuje, że stanął w wieczności progu.
 Pójdźmy zobaczyć w jego komnaty,
 Jak sprawiedliwy umiera w Bogu.

V.

Z białą rzesistą do pasa brodą,
 Z obliczem piękném, suchém, schorzałym,
 Siadł starzec w krześle. Czoło pogodą,
 Oczy się jego iskrzą zapałem.
 Habit świętego Franciszka gruby
 Na zwiędłych członkach fałdami leży,
 Bo Wojciech Tabor uczynił śluby
 Dać się pochować w mniszéj odzieży.

Przy nim oprawna w dębowe deski,
 W mosiężne klamry, spoczywa księga.
 To Pismo Święte — pokarm niebieski,
 Wierzącéj duszy moc i potęga.
 Na starcu znaczne cierpień ostatki,
 Lecz się już dusza Niebem nasycą;

Wyswobodzona z kościanej klatki,
 Chciałaby lecieć jak gołębica
 W górę... wysoko!... i wnet uleci,
 Lecz jeszcze miłość ku ziemi zowie:
 Ojciec pożegnać musi swe dzieci,
 Bo tu splakani stoją synowie.

VI.

Najprzód — król Zygmunt, wiedząc, że chory,
 Chce uczcić starca ostatnie chwile,
 Przysłał do niego swe senatory.
 Pasterz ich przyjął — wysłuchał mile,
 I głosem cichym jako brzęk pszczoły
 Przemówił do nich w następane słowa:
 — „Nie płaczcie waszmość, gdym ja wesoly,
 „Nas nie rozdzieli deska grobowa.
 „Jeśli oglądam Pańskie Oblicze,
 „Jeśli wysokie Niebo posiędę,
 „Wiecie jak ziemi ojczystej życzę,
 „Tam modlitwami służyć jój będę!
 „Za króla, za was i za rycerze,
 „Za stany miejskie, za stan poddańczy,
 „Będę się modlił. Niech Bóg was strzeże
 „Od głodu, moru, ognia, szarańczy!
 „Niechaj wam Niebo męztwa przyczyni,
 „Od pól oddala grady i susze!
 „Będę strzegł Litwy, a wy Litwini
 „Módlcie się tutaj za grzeszną duszę!

VII.

Przeżegnał panów skostniałą ręką;
Wyszli ze łzami senatorowie,—
Wszedł burmistrz miasta, pan Otoczeńko,
Padł na kolana i tak doń powie:
—„Panie! wy ojcem naszym jesteście!
„Tyleście miastu dali opieki,
„Raczie zezwolić, by w naszym mieście
„Stanął twój pomnik w potomne wieki!
„Niech go wyrobją nasi rzeźbiarze!
„Niech go wykują nasi kowale!
„A my magistrat, jak dług nam każe,
„Sami ustawim na miejskim wale!“
—„Panie burmistrzu! praca za długa,
„Mnie za ten pomnik nie kupisz nieba.
„Jakaż tu była moja zasługa?
„Żem ja was kochał? bo tak potrzeba!
„Te wasze baszty, te wasze ściany,
„Ta łza, co u was w oczach się kręci,
„To będzie pomnik mój wykowany!
„On moją pamięć trwałej uswięcił
„Czy nieprzyjaciel, czy czas go zburzy,
„Wy się nie leńcie kielni i młota.
„Niech waszój głowy strzeże najdłużej,
„Aby nie poszła marnie robota.
„W bramie Miednickiej postawcie strażę,
„A gdy zadzwonią, że już mnie niéma,
„Pierwszy, kto w niej się jutro ukaże,
„Pięćset kop groszy niechaj otrzyma!
„Grosz na to w mojej znajdziecie skrzyni,
„Opieczętowan wielce starannie.

O piątą z rana bramę otwarto:
 Ktoś idzie pieszo z Miednickiej drogi...
 I w miejskiej bramie stanął przed wartą
 Pokaleczony żołnierz ubogi.
 Twarz ma i postać jeszcze młodzieńczą,
 Stąpa szykownie, zbudowan składnie,
 Lecz głuchym kaszlem piersi mu brzęczą
 I skaleczoną ręką nie władnie.
 Skłonił się warcie, wstrzymał się w bramie,
 Spojrzał na nowe żelazne wrota,
 I rzekł z boleścią, co łez nie kłamic:
 — „Gdzież się ja udam biedny sierota?“
 — „O! ja waszmości drogę pokażę!
 „Pójdiesz na ratusz, sąd cię opisze.“
 Rzecz mu żoldak, co pełnił strażę,
 Ze śmiechem patrząc na towarzysze.
 — „Na ratusz!“ — krzykną. — „Kto waszmość taki?
 „I z kąd przychodzisz w tak ranną chwilę!“
 Rozswawolone miejskie żoldaki
 Halabardami go otoczyli.
 — „Po co na ratusz? Héj, hola! hola!
 „Albom ja zbrodzień?“ — rzekł żołnierz śmiecie. —
 „Ja wracam z boju, z kleckiego pola,
 „Tatarskie rany noszę w mém ciele!
 „Szanujecie rany! bo jak Bóg miły,
 „Jeszcze choć szcudłem bronić się mogę!“
 Ale żoldaki go ostąpiły,
 Wejścia do miasta przecięły drogę.
 — „Wasz ratusz żadną nie jest mi władzą!
 „Ja jestem szlachcie!“ — wołał kaleka;
 Lecz go żoldaki gwałtem prowadzą,
 Gdzie na ratuszu obrada czeka.

X.

Poustrajani w szuby sobole,
 W bogate pasy, w błyskotek wiele,
 Panowie radni siedzą przy stole:
 Pan burmistrz miasta siedzi na czele,
 A obok niego radni, ławnicy,
 Z krętymi wąsy, z butnemi głowy,
 A obok pana Piotra Kotwicy
 Siedzi poważny pisarz sądowy.
 Kunsztownie tkaną perską makatą
 Pozaścielano stoły i ławy.
 Pan burmistrz trzyma księgę bogatą:
 To magdeburskie miasta ustawy.
 Jeden ma w czapce kité pierzastą,
 Drugi ma spinkę z drogich kamieni.
 Świetneż być musi wileńskie miasto,
 Gdy jego rajcy tak przystrojeni.

XI.

Straż do ratusza wiedzie żołnierza,
 Kędy zasiada rajców drużyna.
 Każdy ciekawém okiem go zmierza,
 Oblicze jego coś przypomina.

Ten, co miał zwierzchność nad miejską wartą,
 Tak przed urzędem rzecz swoją czyni:
 — „Ledwie Miednicką bramę otwarto,
 „Ten pierwszy człowiek zjawił się przy niej.
 „Kto on? ja pytać nie miałem prawa;
 „A resztę czyńcie, jak się wam zdawa.“

—,„Marcin Studziński! znamy go, znamy!“
 Wykrzyknął burmistrz i rajców grono,
 I wnet za przejście Miednickiej bramy
 Pięćset kop groszy mu wypłacono.
 Biedny kalęka patrzy się, dziwi
 Swemu bogactwu, i sam nie wierzy;
 Lecz go oblegli rajcy życzliwi,
 Jak przyjaciele, jak bracia szczerzy:
 —,„Bozka nad tobą czuwa opieka!
 „Co było, nie jest — w regestr nie piszem,
 „Boś ty wybrańcem świętego człeka,
 „Bądź naszym bratem i towarzyszem.
 „Powiedz nam, z jakiej przybywasz strony?
 „Czemu z twych oczu łza bujna płynie?
 „Czemu powracasz pokaleczony?
 „Wszystko nam powiedz, panie Marcinie!“

XII.

—,„Krótkie me dzieje, sławetne pany!“—
 Odpowie żołnierz — „powieść niemila:
 „W bitwie pod Kleckiem byłem zrabany,
 „Strzała tatarska pierś mi przebiła.
 „Dobry towarzysz przybył z pomocą,
 „Ratował, leczyl jak brat jedyny,
 „A tuląc moją dolę sierocą,
 „Zawiódł w Oszmiańskie, do swój rodziny.
 „I ja tam miałem krewnego księdza
 „U Franciszkanów na Mieście Starém;
 „Ale w klasztorze zwyczajnie nędza, —
 „Czułem, że jestem księdzu ciężarem.
 „Ramię mam chore, szablą nie władnę,

„Żołdem rycerskim żyć już nie mogę,
 „Nie umiem wdać się w rzemiosło żadne...
 „Więc kij żebraczy... i dalej w drogę.
 „Tedy z Oszmiany pieszo wychodzę,
 „Ale zaledwiem uszedł pół mili,
 „Jacys mię zbójcy napadli w drodze
 „I towarzysza mego zabili.
 „Pokaleczony, z grosza odarty,
 „Inaczéj radzić gdy było próżno,
 „Wlokłem się tutaj, ot dzień już czwarty,
 „Z wioski do wioski żyjąc jałmużną.
 „Szedłem nie wiedząc gdzie głowę złożę;
 „Ujął mię żołdak przy bramnej warcie...
 „Gdy miłosierdzie cudowne boże
 „Przez wasze ręce dało mi wsparcie.“

XIII.

— „Snadz ci nadeszła nagrody pora,
 „Żeś mężnie walczył w kleckiej potrzebie;
 „Błogosławiona dusza Tabora,
 „W ostatniej chwili przeczuła ciebie.
 „Ciebie wybrały boże wyroki,
 „Narzędzie cudu widzimy w tobie.
 „Pójdźże nawiedzić pasterza zwłoki,
 „Na dobroczyńcy pomódl się grobie.“
 Tak doń mówili miejscy rajcowie,
 A pan Kotwica grzecznie i skromnie
 Wziął go na stronę i cicho powie:
 — „A na wieczorek przyjdź waszmość do mnie!“

XIV.

W dworcu biskupim smutne dziś rano:
 Litwa straciła swego pasterza,
 Dzwon katedralny głucho uderza,
 Niosąc po kraju wieść oplakaną.
 Na prostej ławie, prostym kobiercu,
 W izbie gdzie światła iskrzy się siła,
 Leży mąż boży — z ręką na sercu;
 Już dusza jego... tam gdzie tęskniła;
 Już z wysokości krainy górnej
 Może się patrzy na Litwę drogą!
 Księża żalobne pieją nokturny,
 Tłumy się ludu cisną jak mogą.
 Żalność rozlana w modlitwie, w śpiewie,
 Po wszystkich twarzach łzy bujne biega;
 Każdy się modli — ale sam nie wie:
 Modlić się za nim, albo do niego?

XV.

Marcin Studzieński, współ z drugimi,
 Gdy się docisnął wsparty na kuli,
 U nóg pasterskich klęknął na ziemi,
 Wdzięczną modlitwę lejąc najczuliej.
 A między ludźmi już rozgłos lata,
 Że to jest rycerz, że to ten samy,
 Co do Miednickiej pierwszy wszedł bramy,
 Że mu sądzona kwota bogata.
 Marcin się modli... Czy dusza wrząca
 Dawne mu w sercu wspomnienia budzi?
 Czy od zbytniego natłoku ludzi,

Czy z niezliczonych światel gorąca
 Głowa się mroczy?.. Chwieje się, bladnie,
 Ledwie przez ciżbę wyszedł do sieni,
 I na podłogę pada bezwładnie,
 Jak upadają gromem rażeni.
 Długą czy krótką przeleżał chwilę,
 On nie pamiętał a nikt nie zważa.
 Ciało obwite w łachman nędzarza,
 A dusza strojna w skrzydła motyle,
 Przez wspomnień kwiaty, przez wspomnień ciernie,
 Leci... o kwiatek, o cierń zahaczy...
 To — uśmiech lubéj, co kocha wiernie,
 To — krwawa bitwa, to — strój żebraczy,
 To — napad zbójców, to — rzewna modła
 Przy zacnych zwłokach ojca Tabora.
 Wtém go chrapliwa mowa ubodła:
 — „A powstań waszmość! spać tu nie pora!
 „Spać tu nie miejsce—wynos się skoro!“
 Żołdak, co w sieniach odprawiał strażę,
 Szarpnął go silnie za rękę chorą,
 I z progów pańskich wynieść się każe.

XVI.

Powstał Studziński — ale o dziwa!
 Strzaskana ręka już go nie boli,
 Rana, co w piersiach, już nie narywa;
 Odrzucił szczudła — przeszedł powoli,
 I sam nie wierzy, sam siebie bada,
 Czy jest w istocie zdrowym i hożym?
 A więc ludowi cud opowiada,
 Co mu się trafił przy mężu bożym.

Tłoczy się naród blizki, daleki,
 Słucha powieści, cudom zawierza:
 Bo sam oglądał rany kaleki,
 I wierzył w świętość ojca pasterza...
 Dzisiaj powiecie: Bajka to stara!
 Anachroniczna ta powieść cała:
 Ojczyzna cudu, kruchciana wiara,
 Dziś z chrześcijańskich serc uleciała.
 A czyż ja mówię, że ona żyje,
 Lub że dziś nasze czyny okrasza?
 Ze starych kronik powtarzam chryję,—
 Wierzcie, nie wierzcie, jak łaska wasza.
 Dzisiaj nie nęcą anioły boże,
 Dzisiaj nie straszni piekielni czarci.
 Czy cud być może, albo nie może?
 Czyśmy go warci? albo nie warci?
 Czyśmy już w naszej rozumnej pysze
 Wydarli Panu berło z koroną?
 Ja w to nie wchodzę, lecz powieść piszę
 Z czasów, gdy jeszcze w cuda wierzono.
 Marcin Studziński zeznanie cudu
 Do katedralnej zaniósł świątyni:
 Stało się jawném w obliczu ludu,
 Jak Pan małuczkiem swe łaski czyni.

E P I L O G.

Dał pan Kotwica wieczór wspaniałą,
 Powrót obchodzić chciał Marcinowy,

Pięset kop groszy — to grosz niemały,
 Więc go do spółki ciągnął handlowej.
 Marcin zezwolił, bo z jego chatą
 Spółkę *serdeczną* miał z dawnych czasów;
 Więc uradzono na przyszłe lato
 Wspólnie nakupić pereł, hatłasów,
 Po drogie wina posłać do Gdańska,
 Kupić złotogłów, futra sobole:
 „A co do reszty... w tém łaska Pańska,
 „Spuścimy się całkiem na Jego wolę!“
 Odwiódł na stronę pana pisarza:
 — „Stary kolego!“ — rzekł mu do ucha —
 „Czy widzisz waszmość, co mi Bóg zdarza?
 „Miłoś mieć zięciem takiego zucha!“
 Pan pisarz miejski pojął te słowa,
 Że się z nierównym spotkał szermierzem;
 Ale co wyrzekł — milczenie chowa
 Kronika stara, z której to bierzem.
 Musiał pomyśleć: — „Niech kat naruszy,
 „Trzeba odkosza zgryźć pokryjomu!“
 Potém wziął czapkę, przytulił uszy,
 I powędrował cicho do domu.
 A tam na uczcie czy pito wiele?
 Wiele zjedzono soli i chleba?
 I czy na końcu było wesele?
 O tém i mówić zda się nietrzeba.

DZIEWICZY WIECZÓR.

Z CZĘŚCI I.

Jak na wiosnę rój,
Szli pancerni w bój;
Błyszcą miecze i dziiryty,
Ziemia stęka pod kopyty,
Grzmi żelazny strój!

Każdy żołnierz zuch,
Zwalczy najmniej dwóch;
Choć wążacze i brodacze,
Młode serce w piersiach skacze,
Młody kipi duch!

Dalój młodszy huf,
Każdy piękny, zdrów,
Na osłodę w tęsknej drodze
Śpiewa piosnkę o niebodze
Z kordyalnych słów.

Aż się kurzy pył,
Wiatr w chorągiew bił;
Pod proporcem naprzód dąży
Siwobrody pan chorąży
Jeszcze pełen sił.

Pod słoneczny skwar
 Przyjechali w jar;
 Tu przystanek dla żołnierza,
 Dla koników woda świeża —
 I zakapiał gwar.

Hetman krzyknął:— „Stój!
 „Orzeźwijmy znój!“
 I z rumaka skoczył żwawo,
 I pod brzozą kędzierzawą
 Płaszcz rozesłał swój.

Na hetmański ład
 Szlachta poszła w ślad;
 Zsiedli z koni w jednej chwili,
 I do ziemi kopie wbili,
 Prychnął konik rad.

Nim zeń zejdzie pot,
 Nim owieje chłód,
 Pancernicy siadłszy w wianek,
 Wychylają z swych blaszanek
 Smakowity miód.

U polowych miedz,
 By wróg nie mógł zbiedz,
 Na pagórkach i przy jarze
 Postawiono gęste straże
 Bezpieczności strzedz.

Jeden podał wzór,
 Drugi zapiał wtór,
 I płaczliwie i boleśnie

Zaśpiewali starą pieśnię
W stogłosowy chór.

„Co będzie jadł, co będzie pił
„Moj koń chudzina?
„Gdy przyjdzie mnie legnąć bez sił
„Z rąk Tatarzyna?

„Mnie wpośród pól wykopią grób
„Rycerze mili;
„A smutny koń nad pusty żłób
„Głowę pochyli!

„Gdy wszystek duch wysącę z ran
„Pod mieczem wroga,
„Co będzie śnić, z kim pójdzie w tan
„Moja nieboga?

„Znajdzie się pan, jeśli jest koń,
„Weźmie ochotnie;
„Dziewczyna mknie innemu dłoń,
„Gdy skrzypca grzmotnie!

„Gorzój gdy żwir rzucony w dół
„Zasypie oczy, —
„Że przez mój grób do naszych siół
„Pohaniec wkroczy.“

—„Cicho z tą pieśnią!“—hetman zakrzyczy—
„Niech idą wróżby na suchy las;

„Gdy zajrzym w ślepie tatarskiej dzicy,
 „Taniec z dziewczęty znajdzie swój czas.

„Człek się rycerski laurów spodziewa,
 „Orzeł pod chmurą żartuje z burz,
 „Kto sam po sobie *requiem* śpiewa
 „Idąc na bitwę—to pewno tchórz.

„Wstyd wam, pancerni, takowych treli,
 „Bo w nich pieszczoty mieści się jad:
 „Niech białogłowa przy swój kądzieli,
 „Niechaj przy kruchcie śpiewa ją dziad.

„Inaksza była piosenka nasza,
 „Którój w obozie uczono mnie:
 „Ton jój był ostry jak zgrzyt pałasza,
 „Gdy po pancerzu żelaznym tnie.

„Krew rozgrzewała, krzepiła zdrowie,
 „I hartowała na ciężki trud:
 „Nie dziw, że święci nasi ojcowie
 „Niejeden chrobry zdziałali cud.

„Dziś insi ludzie, insze koleje:
 „W słowach piosenki krzewi się chwast:
 „Nie dziw, że oręż w rękach tępieje,
 „Pieśń wasza szturmem nie weźmie miast!“

Więc rycerstwo już nie śpiewa, —
 Stary hetman dziś się gniewa.
 Niech się gniewa, niechaj zrzędzi,
 On na wrogach złości spędzi.

Nie nie nada refleksya,
 Bo przed bitwą zły jak żmija,
 I nie ujrzysz w nim dobroci,
 Póki wroga nie wygrzmoci.

Ot ze złości siadł na stronie,
 Że popasać trzeba konie,
 Że pancernym dać potrzeba
 Choć przekąsić kawał chleba.

Onby w boje leciał strzałą,
 Onby nie spał przez noc całą,
 Onby samém żył powietrzem,
 Póki węża nie rozetrzem.

Lecz po boju,—choć do rany:
 Gotów pierwszy ruszyć w tany,
 I przypomnieć z czarką miodu,
 Jak to śpiewał sam za młodu.

Bo to, slysze, w dawniej porze
 I dziewczęta lubił hoże,
 Krotochwilę przy obiedzie,
 I kielicha nie zawiedzie.

Dziś w hetmaństwie, częściej bywa
 Pańska głowa frasośliwa:
 Aby nasza dziatwa mała
 W bezpieczeństwie usypiała,—

By odpędził pałasz krzepki
 Sny trwożliwe z nad kolebki,
 Aby śpiących swemi krzyki
 Nie rozbudził zbójca dziki,—

Aby król nasz na swym tronie,
 W senatorskiem zacnym gronie,
 Mógł swobodnie radę radzić,
 Jak do szczęścia nas prowadzić,—

By w kościołach boża chwała
 Pohańbienia nie doznała,
 Ostry brzeszczot w jego dłoni
 I ołtarzów naszych broni.

Bez wielkiego serca ludzie
 Omdlewają w takim trudzie,
 Choć buławę mają godłem,
 Choć im rumak rzy pod siodłem.

Fraszka — mądrość wojownika,
 Co obozy sam wytyka,
 Fraszka nawet duch ochoczy,
 Co na dziesięć jeden skoczy.

Prawy hetman zwraca oko
 Na dostojność swą wysoką;
 Bo w hetmanie, jak w kapłanie,
 Grunt jest — święte powołanie.

Trzeba w sercu ul mieć pszczelny,
 I rój pszczołek stworzyć dzielny,
 Coby żądłem pełnym jadu
 Bronił kwiatów swego sadu.

Trzeba w sercu, jak plastr miodu,
 Mieć kochanie dla narodu:
 I dla panów, i dla kmieci,
 I dla starych, i dla dzieci,—

I dla żytniej ziemi swojej,
 I dla wody, co nas poi,
 I dla lasów pełnych zwierza,
 I dla wiatru, co odświeża.

Bo kochanie tylko w stanie
 Zahartować duch w hetmanie,
 I umocnić jego ramię,
 Że go piekło nie przełamie.

Patrz na ptaszka lub na zwierzę,
 Kiedy piskląt swoich strzeże:
 Zkąd ta mądrość w ich obronie?
 Zkąd to męztwo w jego łonie?

Tu mistrzyni jest wyborna —
 Jedna miłość cudotworna:
 Nierozumnym rozum wleje,
 Od niej słaby spotężnieje.

Taka miłość gdy przenika
 I hetmana walecznika,
 Już walecznik — jak duch z nieba,
 Bohaterem zwać go trzeba.

Już możecie zostać śmieie
 I kapłani w swym kościele,
 I królowie na swym tronie,
 I rolnicy na zagonie.

Zieleniejcie lasy świetnie,
 Wróg siekierą was nie zetnie;
 Płynicie rzeki w kraj daleki,
 Nie jesteście bez opieki.

Już was żaden ze złych ludzi
 Swemi usty nie zabrudzi;
 A hetmańskiej wierzcie stali,
 Bo kto kocha, ten ocali.

Taki hetman — nasze zdrowie,
 Do zwycięstwa on nas zowie;
 Do zwycięstwa i do chwały,
 By nas wieki pamiętały.

Z CZĘŚCI II.

Po prostu była litewskich dzieci
 Chata wzniesiona;
 Prosty *dajlide* jak umie kleci
 Z dębów bierwiona.

Między bierwiona mech ściele sporo,
 Otula ściany,
 Krokwie obija dębową korą
 Pod dach słomiany.

Długa, szeroka chata Litwina
 Z dwóch stron się składa:
 Po jednej żyje chatnia drużyna,
 Po drugiej stada.

Koniki silne, czy do roboty,
 Czy to do boju,
 I karmicielki — krówki pieszczoty,
 Pełne udoju.

I wielkorogich woliców para,
 Co skibę kraje,
 I kędzierzawa owieczka szara,
 Co odzież daje.

Tam, gdzie się w chacie ludzie gromadzą,
 Okienko świta,
 A czarna ściana dymem i sadzą
 Wiecznie pokryta.

Zamiast podłogi, tok z gliny bity
 Mularze dali.

Na środku izby ogień sowity
 W jamie się pali.

Pali się zawsze — bo tu jest Znicza
 Głównia ofiarna.

Przy nim teze krosna ręka dziewicza
 Lub kręci żarna.

Przy nim starcowie swą staroświecką
 Gawędę plotą;

Słucha jój młodzian, słucha jój dziecko
 Z pilną ochotą.

Gdy piękną młodzież widząc przed sobą,
 Staruszek baje,

On dawnym latom z jutrzejszą dobą
 Święty ślub daje.

Przy tych gawędach bogowie stoją
 Na pilnej straży;

Nie umrze dziadek, aż przeszłość swoją
 Wnukom wygwarzy.

Przy huku żaren, przy stuku w krosna,
 Przy grzmocie cewki,
 Płynie po chacie piosnka żałosna
 Młodój Litewki.

Młodziuchna Erma jest narzeczoną
 Do bliżkij wioski;
 Wkrótce porzuci domowe grono
 I dom ojcowski.

Wkrótce złocisty splot jój warkoczy
 Czepiec okryje,
 A czarodziejskie błękitne oczy
 Łezka omyje.

Biedna Litwinka! O szczęściu nie śni
 W marzeniu lubém;
 Obyczaj każe żalosne pieśni
 Śpiewać przed ślubem.

Więc rówiennice schodzą się do niój
 Z przyjaźnią tkliwą;
 A każda jęki bolesne roni
 Jak nad nieżywą!

Stare przysłowie dobrze powiada:
 Ślub jest żałobą;
 A jednak każda co prędkiej rada
 Płakać nad sobą.

Zaszczebotały jakby jaskółki
 Na niepogodę;
 Podobierały głosy do współki
 Dziewczęta młode.

Obsiadły wkoło z pustej swawoli
 Ermy krosienka,
 I zaśpiewały, aż serce boli,
 Aż ściana stęka:

* * *

„Do siostry naszej ruta się wdzięczy,
 „Dla niej lilia wytryska z pęczy,
 „A przecież siostrę tęsknota dręczy.

„Czego się, siostró, twa dusza trwoży?
 „Wszak twoja młodość to ranek boży,
 „Wszak narzeczony piękny i hoży!“

— „Prawda, że wiosna jak ranek świeży,
 „Mój narzeczony pierwszy z młodzieży,
 „A przecież kamień na sercu leży!

„Muszę się żegnać z domową stroną,
 „Muszę się żegnać z matką rodzoną,
 „Z moim ogródkiem, z rutą zieloną.

„Wy czarne kury nie piejcie rano,
 „Przedłużcie moją nockę niespaną,
 „Niech się nagadam z matką kochaną!

„Kury nie pieją, śpi wioska cała,
 „I ciemna nocka godzin przybrała,
 „A jam się z matką nie nagadała!“

* * *

— „Słuchajcie“ — rzekła jedna dziewczyna —
 „Czy nie piękniejsza piosenka moja?
 „Był sobie chłopak, sierota szczerą,
 „Co u stop dębu serce otwiera:

- „Tam przy morzu u przystani
 „Wyszła góra z ziemi,
 „Dąb szeroki wyrósł na niéj
 „Z gałęzmi krętymi.
- „Wypląnałem wraz z jutrzenką
 „Zwiać myśli sieroce,
 „I przybiłem me czółenko
 „W przygórnéj zatoce.
- „I objąłem dąb chropawy,
 „Ile mogłem dostać:
 „Zmień się, dębie, bądź łaskawy,
 „W mego ojca postać!
- „Wznies gałęzie uroczyście,
 „Jak ręka ojcowa;
 „Zmień szumiące twoje liście
 „Na serdeczne słowa!
- „Lecz sierota w poniewierce,
 „Próżno lzy me biega:
 „Nie zabiło w dębie serce
 „Ojca rodzzonego.
- „Nie wznosił ramion uroczyście,
 „Jak ręka ojcowa;
 „Nie szumiały jego liście
 „Serdecznego słowa!“

*

*

*

Druga dziewczica rzekła koleją:

- „Czyż tylko chłopcy boleć umieją?
 „Ich łza jak ogień rozpala oko,
 „Nasza do ziemi idzie głęboko;

„Ich jęk do nieba trafić ma siłę,
 „A nasz się głębiej wbija w mogilę;
 „Oni śpiewają szczęśliwą chwilką,
 „A my i myślim pieśniami tylko.
 „Ja takąż pieśnię umiem inaczej,
 „Jak to po matce córka w rozpaczy:

„Posyłali mię niebożę,
 „Szukać jagód w ciemnym borze;
 „Lecz ja w borze nic nie robię,
 „Bo na matki byłam grobie.

„Poszłam w góry ścieżką znaną,
 „Gdzie jęk kopiec usypano;
 „Gdym płakała — drzewa jękły,
 „Aż w mogilę lzy zasiękły.

„Matka pyta w swojej trumnie:
 — „Kto tam z płaczem przyszedł ku mnie,
 „Że aż jęczy piasek z gliną,
 „Lzy gorące w piersi mi płyną?“

— „To ja, córka... matko miła!
 „Coś sierotą zostawiła.
 „Kto rozczesze włos mój złoty?
 „Kto omyje twarz sieroty?
 „Kto strzedz będzie moje zdrowie?
 „Dobre słówko kto mi powie?“

— „Idź do domu, córko miła,
 „Jam ci dolę wymodliła;
 „Już w tej chwili przysłał swaty
 „Rycerz zacny i bogaty.

„On rozczesze warkocz złoty,
 „On omyje twarz sieroty,
 „On strzedz będzie twoje zdrowie,
 „Dobre słowo on ci powie.“

* * *

—„Ej wy, dziewczęta! to nie wypada,
 „Łzy wywoływać na oczy dziada!“
 Tak mówił Warpas, starzec brodaty,
 Zakuty Litwin dawniejszej daty,
 Starych obrzędów postrzegacz ścisły,
 Siwy jak jawór szronem nawisły.
 Ale dla niego była pokutą
 Pieśnia weselna z grobową nutą.
 Stary był wesół jak rzadko starzy,
 Lubił śmiech widzieć na każdej twarzy,
 Zwłaszcza gdy miodek lub chmielne piwo
 Na twarzy kraszę wywoła żywą.
 Aż się od śmiechu kładą przytomni,
 Dawną pustotę kiedy przypomni.
 I teraz mówił:—„Będzie wesele...
 „A wy choć piosnek umiecie wiele,
 „Nie znacie jednej. Za mój młodości,
 „W chacie litewskiej, gdy pełno gości,
 „Chórem śpiewali, chórem się śmieli;
 „Dzisiaj i śmiać się już zapomnieli,
 „I żaden nie wie, co wtedy było,
 „Gdy się wilczysko w lesie żeniło?
 „Dajcie mi żarna—niech je pokręcę,
 „Niech odprostuję zgrzybiałe ręce,
 „I puszczę myśli w weselszą drogę,
 „Bo bez roboty śpiewać nie mogę.“

Więc do kamienia nasypał ziarna,
 Odrzucił głowę, zahuczał w żarna,
 Jak dobry gęslarz, co w pierwszej probie
 Najprzód przygrywkę dobiera sobie;
 I głosem takim jakby ze studni,
 Jak wóz skrzypiący po moście dudni,
 Zaśpiewał pieśnię z dawniejszój chwili,
 Kiedy wilezycę z wilkiem żenili:

„Przywędrował niedźwiedz kudłaty, kudłaty,
 „Do wilezycy z piwem we swaty, we swaty;

„Tėj jesieni wilk się żeni,

„Idą goście zaproszeni

„Do lasu, do lasu!

„U jeża pod kluczem gorzałka, gorzałka,
 „Lis sprawuje urząd marszałka, marszałka,

„Zajac zda się, w trudnym czasie

„Państwo młodych wieźć w kolasie

„Do ślubu, do ślubu!

„Tchórz szumiące piwo wypienia, wypienia,
 „Wróbel robi słody z jęczmienia, z jęczmienia,

„A kukułki^{im} do wespółki

„Śpieszą chmielne nieść^{szypułki}

„Z ogrodu, z ogrodu!

„Drwa piłuje rydlem byk łysy, byk łysy,

„Pies wymywa garnki i misy, i misy,

„Warchlak gładki, dla gromadki

„Nakupował mięsa z jatki

„Po groszu, po groszu!

„Niedźwiedz spoczywając po trudzie, po trudzie,

„Gra niemiec^{kie} marsze na dudzie, na dudzie,

„Wilk ssał czarę, przebrał miarę,

„Prosi kozę w pierwszą parę

„Do tańca, do tańca!

„Jestem dzisiaj w dobrym humorze, humorze,

„Niech mi kuma w tańcu pomoże, pomoże!

„Wróg widocznie, kto dziś spocznie:

„Héj niedźwiedziu! zagraj skocznie

„Walczyka, Niemczyka!

„Jak odmówi kuma w zabawie, w zabawie,

„To ja panią kumę zadławię, zadławię,

„A ze skóry, dla wilczury

„Będzie kołpak jasno-pióry,

„Od święta, od święta!“

*

*

*

Zachychotały dziewczki chychotki,
 Jaki to z wilka tanecznik słodki,
 I jak mu kozi kołpak do twarzy,
 Jak na weselu lis gospodarzy,
 Jak tam pod wozem zajączek stęka,
 Aż do rozpuku śmieszna piosenka!
 — „A co? czy śmieszna? powiedcie szczerze!“
 Staruszek sam się za boki bierze;
 Rad, że zabawił garstkę domową,
 Zahuczał w żarna, pokiwał głową,
 I chciał ich śmieszyć i śpiewać dalej,
 Gdy trwożny okrzyk wszysej wydali!
 Wśród nocy, z okna tam od podwórza
 Dwoje się z ciemna oczu wynurza,
 Przez szybę błyszczą twarz jakąś dzika

I ryża broda jak rozbójnika,
 Rząd białych zębów świeci z pod wąsa,
 A straszne widmo głową potrząsa.
 — „Kto tam?!“ krzyknęli wszyscy strwożeni,
 I wyleciała młodzież do sieni.
 Jeden pochwycił bardysz ze ściany,
 Drugi swój topór grubo kowany,
 Dziewki za starca tulą się z trwogą;
 Lecz już na dworze niema nikogo.
 Tylko posłyszał jeden z młodzieży,
 Że ziemia tętni, jak gdy kto bieży;
 Tylko zobaczył drugi z za drzewa,
 Że widmo białym płaszczem powiewa,
 Że się coś iskrzy nad jego głową,
 Jakby nosiło czapkę stalową.

Starzec żartował z trwogi dziecięcój,
 Ale już pieśni nie śpiewał więcéj.
 Na twarzy jego z dziwnym wyrazem
 Strach i szyderstwo zbiegły się razem.
 Lecz przerażenia nie dając znaku:
 „To wilk“—powiadał—„w kozim kołpaku!“

.

DOKUMENTA.

GAWĘDA BABY LULKI.

I.

Na wiosce, w chacie rolnika,
Żyje staruszka sędziwa;
Że czasem luleczkę pyka,
Baba się Lulką nazywa.

Prześliczny obraz, choć w ramy,
Nasz z nią wieczorek w gawędzie;
My przy kominku słuchamy,
A baba gwarzy i przędzie.

Stare podania pamięta...
Raz nam mówiła te słowa:
Że dawniej wszystkie zwierzęta
To była szlachta herbowa.

Lew już z przed wieków miał sobie
Prawa królewskie uznane:
W konstytucyjnym sposobie
Pożerał swoje poddane.

Niedźwiedź był baron, wilk hrabia,
 A lis to szambelan stary;
 A co tam który wyrabia,
 Lew na to patrzył przez szpary.

I zwierząt inszych niemało
 Stan szlachty rycerskiej składa,
 I jak na szlachtę przystało,
 Próżnuje, pije, zajada.

Głowy nosili do góry
 Wolni panowie swych domów;
 Z osielków zdzierano skóry
 Na pergaminy dyplomów.

Tylko się biedna mysz w norze
 Lub zasklepiona w stodole,
 Legitymować nie może—
 Zwyczajnie chude pacholę.

Lecz nie zna podatku z duszy
 I na pańszczyznę nie idzie;
 Więc głowy wielce nie suszy,
 Że w chłopskiej musi żyć biédzie.

A rządząc się gospodarnie,
 Ma pokarm smaczny i zdrowy,
 Ma śpichrz, stodołę, spiżarnię,
 Jak jaki szlachcic czynszowy.

II.

Raz niedźwiedź tak się rozgada,
 W swoich przyjaciół drużynie:

—„Piękna to rzecz, kto posiada
„Dyplom na pergaminie!

„Lecz zimą, jak będę we śnie,
„Choć go pod głowę położę,
„Z wilgoci wkradną się pleśnie,
„Jeszcze dyplom zgnieć może!

„Wilku! przyjacielu szczerzy,
„Przyjaźń usłużnym być każe:
„Wszak ty masz własne papiery,
„Weź dyplom pod swoją strażę.“

—„Nie mogę“—wilk mu odpowie:—
„Ja zawsze jestem za domem,
„Sam rady nie znajdę w głowie,
„Co zrobić z własnym dyplomem.

„Muszę pilnować baranów,
„Co się tam pastwią nad zbożem;
„Więc sam się, *mon cher*, zastanów,
„Że nie mam czasu być stróżem.

„Ot lis, co siedzi na stronie,
„Niechaj tém zajmie się szczerze:
„Daj mu swój dyplom baronie,
„A ja mój własny powierzę.

—„Dajcie mi pokój!“—lis wrzaśnie—
„Mnie myśleć o pergaminach!
„Wszak do mnie należy właśnie
„Sąd sporów w kokoszych gminach.

„Muszę od wioski do wioski
 „Biegać i słuchać ich gwarów:
 „Och, urząd... urząd sędziowski
 „Ileż ma w sobie ciężarów!“

— „Ha! jeśli tak“ — wilk mu rzecze—
 „W psiej budzie złożym archiwa:
 „Pies weźmie dyplomy w pieczę,
 „On się stróż wierny nazywa!“

Więc oddał psu swoich braci
 Rodowitości dyplomy.
 Pies przyrzekł, że ich nie straci,
 A już psi honor wiadomy.

Ale po krótkiej rozwadze
 Zadrzał o papiery w budzie:
 — „A cóż ja biedny poradzę,
 „Jeśli ukradną je ludzie!

„Bo takie rzeczy ich wabią:
 „Niebardo wierzę w ich cnotę,
 „Zostać baronem lub hrabią
 „Każdy z nich miałby ochotę.

„Psie nawet szlachectwo moje
 „Skusiłoby niejednego;
 „Sam się o własny skarb boję,
 „Jakże się inne ustrzegą?

„Ot, pójdę do kota lepij:
 „Jego troskliwa opieka

„Niech gdzieś w zapiecku zasklepi,
„Z dała od oka człowieka.“

Szedł i powiada rzecz całą:

— „Składam w twe ręce skarb wielki,
„Przodków pamiątkę wspaniałą,
„Żeśmy nie *hetki-petelki*.

„Pamiętaj czuwać przykładnie,
„By ten skarb nie był zepsuty;
„Bo jak szlachectwo przypadnie,
„Wszyscy pójdziemy w rekruty.“

Kot, pełniąc sercem gotowém
Co każe bracia życzliwa,
Złożył pod strychem domowym
Rodowitości archiwa.

Lecz gdzież pieszczonemu dziecku
Ślęczyć jako archiwista?
Trzeba się wygrzać w zapiecku,
Trzeba się umyć do czysta.

Trzeba wskoczyć na ramiona
Panienki, co go tak kocha;
Owdzie go rybka smażona,
Tam słońce nęci pieszczocha.

Tam trzeba poigrać skocznie,
Tam przyszła pora obiadu...
Czasu — brak czasu widocznie,
Że ani zajrzał do składu.

Tak przeszło lato, tak zima;
 Mysz, co siedziała po cichu,
 Gdy zboża w śpichrze już niéma,
 Poczęła wietrzyć po strychu.

I aż z radości podrosła,
 Do heraldyki dopadłszy.
 Choć twarda skóra w niej osła,
 Ale głód smaku nie patrzy.

Zwołała braci i siostry
 Na te przysmaki jedyne,
 I wzięły na ząbek ostry
 Średniowiekową łacinę.

Nigdy tak krytyk w gazecie
 Nie pastwi się w żywe oczy,
 Gdy autor nieznany w świecie
 Tom poezyjek wytłoczy,—

Jak one wszystkie pospołu
 Strzygły, gryzły, darły w szmaty...
 Stały się kupą popiołu
 Hrabiofstwa i baronaty,—

I psie szlachectwo zginęło,
 Figurujące tak dumnie.
 Na takie wandalstwa dzieło
 Paprocki aż stęknął w trumnie.

Lecz można w obronie myszy
 Użyć retoryki całej:
 Zkąd one, w swojej zaciszy,
 O dyplomatach wiedziały?

Do takiej rozmyslnej psoty
 Syn tylko zdolen człowieczy:
 To dzieło chłopskiej roboty,
 Co nie zna wartości rzeczy.

III.

Wtém niebo cisnęło głazem,
 Kazano na łeb, na szyję,
 Wszystkim zwierzętom zarazem
 Składać legitymację: —

Kto jesteś zacz? kto cię rodzi?
 Kto pradziad świętej pomieci?
 Zkąd się twój klejnot wywodzi,
 Co go używasz w pieczęci?

Gdy każą, to trudna rada,
 Potrzeba słuchać w tej chwili;
 Więc każdy do psa powiada:
 — „Oddaj mi waszmość przywilėj!”

Pies idzie i kota pyta
 Swoich współbraci imieniem,
 Co miękki jak sybaryta
 Bawił się własnym swym cieniem.

Pod strych pobiegli co żywo:
 Obaj krzyknęli z rozpaczą,
 Kiedy ruinę straszliwą
 Zamiast dyplomów obaczą!

W zału załamali pięście...
 Kot już ze strachu na strzesie;
 Pies poszedł wspólne nieszczęście
 Zwiastować braciom co w lesie.

Niedźwiedź rwał kudły, gryzł ziemię
 Na wiadomości bolesne,
 Rycząc przeklinał psie plemię,
 Aż głusze zadrżały leśne.

Porwał psa w silne pazury,
 Chcąc mu rozszarpać jelita;
 Lecz pies skoczywszy do góry,
 Silnie za gardło go chytya.

Krew obryzgała murawę,
 Pies już w godzinie ostatniej
 Na bok dwa susy dał żwawe
 I umknął z niedźwiedziej matni.

Bieży — wtém wilk go napada,
 Który plondrował po niwie:
 Całą mu rzecz opowiada,—
 Wilk tylko zawył straszliwie.

Głos tak okropne miał zmiany,
 Rozpacz tak wielka rozdrażni,
 Że w siódmj wiosce barany
 Beczeć poczęły z bojaźni.

I przyjaciele najszczerzi
 Poczęli gryźć się jak wrogci,

Paszcz z paszczą, piersi do piersi,
Pies zdusił wilka i w nogi.

Co dalej? przewidzieć łatwo:
Spisano zwierzęce głowy,
Wszyscy z żonami i z dziatwą
Poszli w okład podatkowy.

Poczęto ścigać zwierzęta,
Czy gdzie las gęsty, czy pole;
Pies z wolnego rezydenta
Poszedł do człeka w niewolę.

Został na łańcuch przykutym,
Gdy dawniej na taki przymus
Mógł się zastawić statutem:
„*Neminem captivabimus.*“

Schłopiały zwierzęta z laty
Pod człeka władzą i strażą;
Wkrótce, dla większej intraty,
Jeszcze im wódkę pić każą.

Pies się na sfotę utroczy
I idzie na polowania,
Z wilkiem, z niedźwiedziem bój toczy,
Lub się za lisem ugania.

A gdy się walka rozjada,
Każdy o krzywdzie pamięta
I każdy do psa powiada:
— „Oddaj moje dokumenta!“

Pies czuje, że to sromota —
I szkoda mu leśnych dzieci;
Za to gdy ujrzy gdzie kota,
Heżha za nim! aż pył leci.

Kot przed nim na dach ucieka,
Albo do drzewa gdzie dotrze.
Pies tylko gniewliwie szczeka:
— „Oddaj papiery nam łotrze!”

Kot czmycha, parska ze drzeniem,
Nudzi się taką zabawą;
Za to nad myszém plemieniem
Mści się codziennie i krwawo.

Odtąd w zwierzęcój zaciszy
Zmienił się porządek błogi:
Niedźwiedź, wilk, pies, kot i myszy
Są sobie śmiertelne wrogi.

Ktoś chciał ich jednać powoli,
Lecz to zaliczmy do baśni:
Niezgoda — cecha niewoli —
Na wieki wieków ich waśni.

1861. *Borejkowszczyzna.*

SZKOŁA WIEJSKA.

G A W Ę D A.

I.

Na końcu naszej wioski stała się nowina;
Starzy nie wiedzą: płakać czy śmiać się należy?
Pobudowano chatę, jeszcze bez komina,
Jeszcze bierwion sosnowych nie przykrył tynk świeży,
Jeszcze okna nie wbite złożono pod ścianą,
A już wniesiono ławki, coś nakształt kościoła.
Jak świat światem tych dziwów u nas nie słyszano:
Tu będzie szkoła!...

II.

A może to i dobra, może zła nowina:
Kazał chłopców posyłać do tego tam czarta;
Kazał pan, kazał pleban, kazał pan starszyna,
To niech sobie i chodzą — rzecz kłótni niewarta.

III.

Sprowadzili jakiegoś jegomości z miasta,
Broda mu jak miotelka żółtawa wyrasta,

Chodzi w krótkim kozuchu, kapeluszu dużym,
 Pali krótkie papierki, jak my lulkę kurzym.
 Pan... nie pan, bo nie hardy; chłop... nie chłop, bo czyta;
 Nie ekonom, bo dziewcząt w objęcia nie chwyta;
 Pójdzie czasem do księdza, a czasem do dwora,
 A z ludźmi by gawędził z rana do wieczora.
 Najął chatę u chłopą, je co Pan Bóg zdarzy,
 I pędza do roboty mularzy i szklarzy.
 Sam pomaga w robocie, choć mało co zna się:
 Chce szkołę w jak najprędszym pobudować czasie.

IV.

Pobudowano szkołę, — ksiądz w komżę ubrany
 Przyszedł do niej z kropidłem, poświęcił jęj ściany,
 Ponapędzano chłopców, z nimi starsi przyszli,
 I ksiądz mowę powiedział bardzo pięknej myśli:
 O jutrzni, która kiedyś nad ziemią zaświeci,
 O świętym Kalasantym, co sam uczył dzieci.
 Dobrze nie rozumiała wszystkiego gromada,
 A baby to aż płaczą, że tak pięknie gada.
 Lecz samo zakończenie już spamiętać łatwo:
 „Przyjdź Duchu Przenajświętszy! A ty ucz się dziatwo!“

V.

Ot i szkoła!... aż dziwo!... czysto jak w miasteczku.
 Na ganku spory dzwonek przybili na ćwieczku,
 Dzieciom rozdali książki, tablice, seksterna.
 Patrzym... co z tego będzie... Matko miłosierna!

A co z miasta przyjechał ten jegomość nowy,
 Dzieciom przykazał myć się i poczesać głowy.
 Czyste skończenie świata! szaleją panowie!
 Ksiądz pleban z katechizmem, daj mu Boże zdrowie!
 A tamten różne rzeczy prawi na przemiany,
 Czytają, piszą, krzyczą, aż trzęsą się ściany.
 Szkoła jak targowisko o wieczorniej dobie,
 Kiedy to naród boży podchmiela się sobie.

VI.

Ot! od czego rozpoczął swe światu przysługi
 Tysięczny osiemsetny sześćdziesiąty drugi.
 Wielki Twórco wszechświata! w jakież dalsze pole
 Pchniesz jego dolę?...

VII.

Wraca pacholę wiejskie ze szkoły:
 Musiał się uczyć, bo jest wesoly,
 Musiał za pilność pochwałę dostać,
 Bo zuchowato najeżył postać,
 I tak sam w sobie odwagę nieci:
 —„Mówił ksiądz pleban: „Chłopskie wy dzieci,
 „Chłopskie wy dzieci, ale przez księgę
 „Rozwielmożnicie waszą potęgę.“
 Jeśli to prawda!... mocny mój Boże,
 To ja do książki tak się przyłożę,
 I w dzień i w nocy, w wieczór i rano,
 Aż zgłębię wszystko, co napisano;

I wyrozumiem dwa a dwa cztery,
 I będę pisał jak sztych litery.
 Bylebym zechciał, dotrwam w zamiarze,
 I być wielmożnym sam sobie każę.
 Lecz czémże będę na bożym świecie?
 Pozostać chłopem nie można przecię;
 Tylko nauka poszłaby marnie,
 Te co mój ojciec znosząc męczarnie,
 Wypasać woły nago i boso,
 Chodzić z toporem, sochą i kosą,
 Żyć łusną chleba czarną i twardą
 I nierozumnych ludzi pogardą!
 Tego nie warto...

VIII.

„Ot tak na zmianę

Ja ekonomem sobie zostanę;
 Będę bił ludzi... brzydko bić ludzi!
 Będę za bracię znał ich kochaną,
 Jak w katechizmie wydrukowano;
 Będę miał dla nich i miód i piwo,
 Jak to śpiewają w pieśniach we żniwo;
 Zapuszczę wasy jak miotły duże,
 Sprawię czapczkę z kutasem w górze,
 I tabakierkę ze srebrnej cyny,
 I cztery konie, tłuste mierzyny,
 I kupię brykę, i wezmę żonę,
 Co nosić będzie suknie czerwone,
 Bogaty czepiec z białych koronek,
 I łajać męża przez cały dzionek.

Pan łaje sobie, a żona sobie,
 Trudno przenosić jednej osobie...
 Nie... ekonomstwo dla mnie nie w porę,
 Inne rzemiosło sobie obiorę.

IX.

„Będę malarzem, jak ten pan Jerzy,
 Co do kościoła robił żołnierzy.
 Tacy wasacze!! przy Pańskim grobie
 Stoją z mieczami i drzemią sobie.
 Mają kaftany robotą cudną,
 Z płótna czy z blachy, odgadnąć trudno;
 Lecz za to pióra, co zdobią głowę,
 Jedno błękitne, drugie różowe.
 Malarz im za to dał nogi krzywe,
 Że mieli serca nielitościwe,
 Pań Jezusa męczyli srodze,
 Za to dziś stoją na jednej nodze.
 Dobrze im za to... Będę malarzem,
 I co umiemy, wtedy pokażem.
 Nakupię pędzli i farb niemało:
 Czerwoną, żółtą, błękitną, białą,
 I odmaluję wiosieczkę naszą
 Z chatami, z groblą, z rzeczką i paszą.
 Będzie kościółek, będą mogiły,
 I organisty domek pochyły,
 Gołąbki latać będą nad wieżą,
 A brzoszka wonią oddychać świeżą,
 Rzeczka szczebiotać swoje paciorki
 I szumieć będą jodłowe wzgórkki.

I będzie słyhać z mojego plótka
 Starój żebraczki piosenka smutna;
 Szczekają kundle, klóca się baby,
 I stęka idąc dziadulko słaby.
 A nad tém wszystkiém oblok poranny,
 I widać postać Najświętszój Panny:
 Pana Jezusa mając na łonie,
 Ku naszój wiosce wyciąga dłonie,
 I błogosławi te nasze ściany,
 I nasz kościółek stary, drewniany,
 I naszą szkółkę, i nasze żyto,
 I naszą łąkę kwiatem pokrytą,
 I błogosławi każdego człeka,
 Czy który z blizka albo z daleka.

X.

„Bo tam z za góry ledwie widzianój
 Z chorągiewkami jadą hułany.
 Boże mój, Boże! co za koniska!
 Każdemu z nozdrzy ogień wypryska...
 Sam będę zuchem, rada nie służy,
 Już ja malarzem nie będę dłużój!
 Jak tylko obraz namalowany,
 Siadam na konia i marsz w hułany!
 Strój będzie złoty,—lecz mniejsza o to,
 Tu mi nie idzie o jasne złoto;
 Wąs będzie duży,—co mi wąsiska!
 Lecz żołnierz, mówią, sławę pozyska;
 Jak wróci z krzyżem ku swojój strzesie,
 Toż to rodzicom radość przyniesie!

Ojciec się splacze, a matka powie:
 — „Toż to jest syn mój! to moje zdrowie!“
 Zbierze sąsiadki i gospodarzy,
 I mnie uściskną dziadowie starzy,
 Wartoż dać życie za taką chwilę!...
 A jak się czasem w musztrze pomylę,
 Albo mi szablą zgruchoczą ramię,
 Albo mi kula głowę odłamie,
 Albo co gorsza, nie dopuść Boże,
 Na bojowisku strach mię przemoże,
 I szarpnę z placu gdzieś w gęste jodły,
 A ludzie krzykną: — „Podłyż ty, podły!“
 Toż dla rodziców z piasku przykrycie,
 A dla mnie hańba na całe życie.
 Niel... choć w hułanach dobrze się zdawa,
 I piękny mundur, i głośna sława,
 Ale tymczasem to blask zwodniczy,
 Jeśli sam siebie kto nie obliczy.

XI.

„Gdzież mi obliczać? nie z moim wiekiem, —
 A mnie tak pilno zostać człowiekiem!
 Człowiekiem trudno... trudno hułanem,
 A więc... cóż robić? zostanę panem.

Najprzód sprowadzę gromadę chłopią,
 Niech mi na pałac gliny nakopią;
 Za to odpiszę wszystkie szarwarki
 I dam każdemu wódki dwie czarki.
 Potém przyjedzie architekt biegły,
 Każe nazwozić czerwonej cegły,

I pobuduje pałac wysoki,
 Co będzie wieżą straszyl obłoki,
 Jako straszdyłło, co na wsi chłopi
 Straszą w ogrodach wróble z konopi.
 Gdy matka pańskie młóciła zboże,
 Niosąc jój obiad byłem we dworze;
 Jak dziś pamiętam, obiad był taki:
 Wodna polewka i trzy ziemniaki.
 Pan, co pilnował młocków w stodole,
 Jakos polubił biedne pachole,
 Wziął mię za rękę, popieścił, gładził,
 I do pałacu swego prowadził.
 Cóż tam za rozkosz! jak miękkie ławy!
 Na każdej błyszczy tyftyk złotawy.
 Jakie zwierciadła! coś jakby w niebie!
 Zdaje się człowiek drażni sam siebie.
 A na obrazie, co aż mur łamie,
 Panny w kąpielu w złocistój ramie.
 A jakie okna!... jaka podłoga!
 Co to za przepych na miłość Boga!...
 Tak samo wszystko u mnie urządę,
 Będą i sługi, będą pieniądze,
 Będą i konie, będą powozy,
 I lulka długa jak gałąź brzozy,
 I będę gadał po europejsku,
 Ani po polsku, ani po chłopsku,
 Będę pił wino, co strzela korkiem,
 Jeść marcypany z kwaśnym ogórkiem.
 A jak mi matka w starój siermiędze
 Przyjdzie żałośnie płakać na nędzę,
 Albo brat młodszy wejłzie mi w drogę:
 — „Daj mi, panoczku, daj zapomogę!“

Mnie zarumienią ich smutne twarze,
To z mego domu wypchnąć ich każę.

XII.

„Och, co ja bluźnię!... Jezusie Chryste!
Oddal odemnie myśli nieczyste!
Matko i bracie! Dziwne narowy!
Myśl nieczłowiecza przysła do głowy,
Grzesznik przed wami na klęczki pada,
Niech mię ksiądz pleban jutro spowiada;
Jam grzech mój ciężki, pogardę z wami,
Gotów oplakać krwawemi łzami.
Niech rówiennicy a swawolnicy
Błotem obrzuca mnie na ulicy!
Na tę myśl ciężką lichu mnie wniosło...
Ej, grzeszne, grzeszne dumne rzemiosło!
Jeszczeby w piekle śpiewać wśród płaczu
Pieśń o Łazarzu i o bogaczu...
I przez nauki wzięte korzystnie,
Toż to się silnie bracie uściśnie!
Toż to nakupię elementarzy,
Toż mnie uściskiem pleban obdarzy!
A nie otarłszy łzy jeszcze z powiek,
Rzecz:—„Mój mały, *widać, żeś człowiek!*
„Idź uczyłowieczać rodzinną wioskę!
„Idź gładko orać skibę ojcowską!
„Idź z ciężkim rydlem, choć mędrzec taki,
„Ze starą matką sadzić buraki,
„A wśród buraków wrzuc jój nieznacznie
„Nasienie słońca, co rodzić zacznie.

„Ja cię przeżegnam, niech Bóg wysłucha:
„Idź w Imię Ojca, Syna i Ducha!“

„Otoż polecę, toż będą radzi!
Nasienie słońca proboszcz sprowadzi,
Ja siał je będę na naszej niwie,
Pan Bóg nie Rymsza, wzrosną szczęśliwie!
Nie zbędzie deszczu, nie zbędzie rosy,
Wyrosną kłosa aż pod niebiosy,
A Pan Bóg niwę tutejszej włości
Nakarmi chlebem aż do sytości!
Mnie to zawdzięczy cała gromadka.
Splacze się ojciec, splacze się matka;
Taka łza w sercu perłą powraca...
Toż moja książka!... toż moja praca!

„Chciało mnie zrobić zachcenie wieszce
Panem, hułanem i czémś tam jeszcze;
Ja, choć bić będę głową o ścianę,
Chłopem zostanę!“

1862. *Borejkowszczyzna.*

PIEŚŃ O ŚWIĘTOSŁAWIE.

(U Ł A M E K).

Czy są na świecie cudowne rzeczy?
Pytasz z uśmiechem synu człowieczy,
I odpowiadasz chłodnemi słowy:
Że cud jest brednią schorzałej głowy,
Że się wylęga w myśli prostaczéj
Lub że nauka go wytłómaczy.
Ale nauka w niejednej chwili
Głowę przed cudem pokornie chyli,
Wyznaje swoje siły bezwładne:
Ja nie rozumiem — ja nie odgadnę..
Wiek nasz uczony z cyrklem i z wagą
Niby już prawdę odsłonił nagą,
Niby już przeznał w całym przestworze
I drogi ludzkie, i sądy boże,
I zmierzył cuda rozumu próbą,
Jasnowidzenie nazwał chorobą.
Pragnąc, by ludzie zostali zdrowi,
Szyderezą walkę wydał duchowi!
Wreszcie nad sercem zwycięstwa dopiał,
W niém wulkan życia spalił na popiół,
I klaszcząc w ręce pogląda z dala,
Jak się ostatnia iskra dopala.

Nie zgaśnie iskra ostatnia ducha:
 Pańskie ją tchnienie znowu rozdmucha,
 A jój płomyki znowu zaświecą
 Nad wiekiem inszym, mniej mądrym nieco.
 Gdy znowu przyjdzie ziemskiemu dziecku
 Być prawowierném po staroświecku,
 Gdy ludzkość uzna cudu znamiona,
 Cuda zobaczy, cudów dokona!

Na cześć, na chwałę Bogu niech będzie,
 Nakłońcie ucha k'starój legendzie,
 Którój osnowa nasza, domowa,
 A żebrak z kruchty podał mi słowa.
 A że to było za owój chwili,
 Gdy starzy ludzie w cuda wierzyli,
 Więc poszanujecie nierozum stary,
 Więc pohamujecie uśmiech niewiary.

* * *

Za Jagiellona w stołecznym Krakowie
 Żył człek pobożny Świętosław się zowie.
 Na chleb powszedni pracując jak może,
 Szewckie rzemiosło sprawował w pokorze;
 Ciągłe modlitwą i pracą zajęty,
 W ludzkiem mniemaniu za życia był święty:
 Bo przy warsztacie lichego rzemiosła
 Hartowna dusza do potęgi wzrosła.
 W oczach miał zapal i błogosławieństwo,

.
 A siwą brodą i powagą czola
 Stał się podobien twarzy apostoła
 A w sercu swoim wypieścił od młodu
 Tyle miłości do ludzkiego rodu,

Tyle miłości do rodzinnej strony
 Jakby miał serce Litwy i Korony,
 Serce senatu, kmieci i rycerzy,
 Wszystkich, co matkę kochali najszczerzej.
 Puls jego piersi był wiernym odbiciem,
 Gdy kraj był chory lub żył pełnym życiem:
 Czy Bóg wygraną do ręki nam poda,
 Czy w radzie państwa zgoda czy niezgoda,
 Czy kogo z mężów śmierć Polsce odejmie,
 Czy piękne prawo uchwałą na sejmie,
 Poznasz po smutku albo po uśmiechu
 Na twarzy majstra szewieckiego cechu.
 Nikogo z ludzi o nic nie zapyta,
 Co czyni senat? co Rzeczpospolita?
 Nie dawał ucha szlacheckim obradom,
 A przecież zawsze i wszystkiego świadom.
 Bo doń schodziła niebieska przestroga,
 Bo miał już taki dar od Pana Boga,
 Że przeczuł losy pospolitej doli,
 Gdy mu wesoło lub serce zaboli;
 A w oczach jego nieustannie gości
 To łza boleści, to wdzięcznej radości.

Piękny był obraz, gdy z dumką ukrytą
 Uderzał młodzian w obuwia kopyto,
 A w jego oczach jaśniał promień złoty,
 Jaśniała godność wśród podłej roboty;
 Kiedy w kościele przypadłszy do ziemi,
 Najpogardzeński między wzgardzonemi,
 Ronił przed Panem łez gorących zdroje,
 Przekładał prośby lub grzechy nie swoje,
 Albo modlitwy za szczęście krainy,

Lub rzewną spowiedź za społeczne winy;
 Gdy świętą wiarę pojmując po prostu,
 Obezsilony z czuwania i postu,
 Lub włosienicą mając ręce skute,
 Za grzechy ziomków odprowadził pokutę;
 Lub gdy pracując całe dni i noce,
 Zwiedzał szpitale i domy sieroce,
 A tam oddawszy zarobek swych groszy,
 Omdlewał z głodu w nadziejskiej rozkoszy.
 Dziś my w naukę i rozum bogaci,
 I śmiech nam tylko z podobnej postaci,
 A taką marę dziwnego zjawiska
 Uliczna dziatwa kamieniami zaciska,
 Błotem zabryzga, szyderstwem zasyczy
 Ale wśród stariej pradziadowskiej dziczy,
 Choć biegła za nim drużyna ciekawa,
 Cześć otaczała kroki Świętosława.
 Nie był wymownym, bo gdzież u warsztatu
 Nabrać wymowy królującej światu?
 Wyrobnikowi nieznane imiona
 Ni Demostena ani Cycerona.
 Jednak Świętosław w cudownej wymowie
 Łzę umiał otrzeć sierocie lub wdowie;
 A gdy za nędzą przemówił otwarcie,
 Zawsze uzyskał pożądane wsparcie.
 Bo nad prostakiem, chociaż niewidomie,
 Ducha Świętego ulatało płomień.

Byli i wówczas ludzie i ludziska,
 Były i wówczas różne pomówiska;
 U mieszczan, kmiotków, u panów bogaczy
 O Świętosławie mawiano inaczej:

Mówili kmiecie, że on tworzy cuda;
Mówili księża, że to jest obluda;
Mówiła szlachta z wejrzeniem wyniosłóm:
— „Szkoda, że podlém trudni się rzemiosłém!“
Mówili mędracy: — „Nie pójdzie do nieba,
Wprzód po łacinie nauczyć się trzeba!“
Lecz w głębi serca każdy mu zazdrości,
Tyla natchnienia i tyla świętości.
Gdzie wielkość czynu, gdzie potęga w słowie,
Każdy ją uzna, choć nie każdy powie...

.
1862. Borejkwoszczyzna.

UŁAMEK POWIEŚCI.

Była już późna jesień — ponurym wieczorem,
Zwisła błotnista chmura nad wioską i dworem;
Nie płynie po błękanie, lecz zdaje się drzemie,
Pluchoce zgniłym deszczem na błotnistą ziemię;
Wiatr nie szumi w gałęziach, ale ziewa z nudy,
Pies... tak sobie zaszczekał i skrył się do budy;
Rozespana natura rada czy nierada,
Pod czarnym kirem nocy do snu się układa.

Niewiększe widać życie i z pańskich pokoi:
Okna świecą jak oczy, gdy łąa w rzęsach stoi,
Świecekka nawisła knotem jakby zadumana,
Lamentują w kominie wilgotne polana,
Obraz Najświętszej Panny wygląda coś smutnie,
Wymalowany złotem i farbą na płótnie.
Obok w obrazie szlachcic w żelaznej odzieży,
W jednej ręce ma pałasz, drugą wasy jeży;
Najeżył tak coś straszno, jak nie pamiętali,
Chociaż lat ze czterdzieści już wisiał w tej sali.
A zegar królewiecki, co u drugiej ściany,
Z kaszającą kukulką, sznurkami związany,

W niedobrym dziś humorze—czy gniewny, czy chory
Stukał coś takie słowa, jak *memento mori*.

Pani przy wielkim stole z kart układa dziwy,
Pan siedzi przy kominie jak gołąbek siwy,
I wiąże sieć rybacką — aby z pierwszym lodem
Ze swojej wiązanimy wystąpić niewodem.
To już jego natura, to już przekonanie,
Że nikt zrzęcniej niewodu wywiązać nie w stanie:
Oko w oko tak równe, jakby w plastrze wosku,
Któraż panna tak odda swój haft po mistrzowsku?
W komnacie jakoś cicho, tajemnicza chwila,
Słychać lot koło świecy nocnego motyla;
Pani karta nie idzie, pana sieć coś nudzi —
Wtém dało się coś słyszeć jakby rozgwar ludzi,
Przez kałużę w dziedzińcu grzązką a przestronną
Ktoś zatętnił z pluchotem, jakby jechał konno.
Pan ze swego krzeselka zerwał się co żywo,
Włożył swoją codzienną taratatkę siwą,
Podpasał pas rzemienny — spuściznę pradziada,
I pogłaskał wąs biały, co na piersi spada.
Drzwi skrzypnęły — i w błocie od stop aż głowy
Wpadł z pakietem wąsaty posłaniec sądowy,
A mruknawszy:— „To pilno—przy pieczęci pióro!“—
Grzał ręce przy kominie i patrzył ponuro.

Pan włożył okulary i jak płótno zbladnął,
Czyż z samego pozoru treść pisma odgadnął?
Złamał pieczęć, przeczytał — przetaił szkło i oko,
Przeczytał po raz drugi i westchnął głęboko.
Ujął kartkę ze stołu i ręką zachwianą
Napisał poświadczenie, że list otrzymano.

Posłaniec wziął i wyszedł, nie wyrzekłszy słowa,
I znowu na dziedzińcu zagrzmiała podkova.

Stary pan niespokojnie to siądzie, to wstanie,
Jejmość nie śmie się spytać, od kogo pisanie?
Bo jako przywoita dawniej białogłowie,
To tylko mogła wiedzieć, co małżonek powie.
Widząc go frasobliwym, chciała wyjść z komnaty,
Gdy rzekł: — „Posłać mi zaraz do Prokopa chaty,
„Niech stary nie uważa, że słota i ciemno,
„A pośpiesza natychmiast rozmówić się zemną,
„Bo jeśli się zapóźni — to nie myśląc wiele,
„Wsadzę go do armaty i w pole wystrzelę!“
Przyczém pokręcił wąsy — w dobroci czy w złości,
To bywała zwyczajna groźba jegomości.

Stary Prokop był duszą i poradą wioski,
Spełniał od lat trzydziestu swój urząd wójtowski,
Posiadał w głowie statek, a w chacie dostatek,
Byłto pana przyjaciel, nawet jednolatek,
W kosciele pierwszy bratczyk, a nawet podskarbi,
W gospodzie pierwszy tancerz — kiedy plecy zgarbi,
Kiedy tupnie w podkówkę, gdy podwinie odzież,
Dziewczęta ani patrzą na dzisiejszą młodzież,
— „Dziaduniu! ty nam dumkę zaśpiewaj kozaczą!“
— „Dziaduniu! ty nam pokaż, jak w Krakowskiem ska-
Bo z lancą i szabelką w swoje lata hoże [czą!“
Zwiedził ziemię krakowską, zwiedził Zaporozę,
Był w Egipcie, gdzie ryżu dojrzewają kłosy,
Był tam gdzie żyje w śniegach soból drogowłosy.
Czasem jak poczną z panem wspominać swe drogi,
To się oba popłaczą, — och! bo sen był błogi!

Dzisiaj co?... lat sześćdziesiąt zawisło nad głową,
 Wnuk przekuł na siekierę szablęcę bojową.
 Ej dożyli, dożyli dobrych czasów młodzi!
 I niebo spochmurniało, i ziemia nie rodzi,
 I co gorsza nad wszystko, to choroba ducha,
 Nieurodzaj na myśli i w sercu posucha.

Pochwalili Chrystusa dwaj dziadowie starzy.
 Pan chodził po komnacie z frasunkiem na twarzy,
 Prokop stojąc u progu z wyrazem pokory,
 Kręcił w kościstych palcach tabakierkę z kory.
 Pan siedzieć nie poprosił—snadź myśli ma nawal,—
 Bo starym chłopskim kościom ten przywilój dawał.
 Zbliżył się do Prokopa przejętego trwogą.
 —„Źle słyhać braciszenu! źle!“ i tupnął nogą,
 I do ucha Prokopa wyszeptał ponuro:
 „Otrzymałem list z sądu... na pieczęci pióro!...
 „Jest numer, jest pogróżka... wszystkie formalności,
 „Że potrzeba rekruta dać z tutejszój włości,
 „Że w sąsiedztwie brać będą dziś nocy tój samój...
 „Radź co ja biedny pocznę—kogoż my oddamy!“

Prokop zbladł, a brwi jego żałośnie się chmurzą:
 — „Powiadają, że u nas młodzieży jest dużo,
 „A jak przyjdzie wybierać... Ot i ja mam syna,
 „Ale sam jeden w chacie, wnuk jeszcze dziecina.
 „Filip ma aż trzech chłopców, i wiek i uroda,
 „Lecz jeden dobry cieśla, do pracy go szkoda,
 „Drugi z sochą czy z kosą już się nie zaleni,
 „A trzeci ma się żenić jeszcze tój jesieni.
 „Tomasz ma aż dwóch synów, oba jeszcze młodzi,
 „Jeden nawet za często do karczemki chodzi;

„Ale Tomasz owdowiał, sam wątle ma zdrowie,
 „Koniecznie mu potrzebni obadwaj synowie.
 „U Jakóba aż czterech — ale dwaj żonaci,
 „Trzeci chodzi z wiciną i podatek płaci,
 „Czwarty dobry pasiecznik będzie w swoim czasie,
 „W wiosce taki potrzebny, co na pszczołach zna się.
 „Marcin wziął półwłócz gruntu, szkoda gubić człeka,
 „Jeden chłopak w rzemiośle, a drugi kaleka;
 „Gdybyż który co ukradł albo był w nałogu!
 „Lecz u nas takich ludzi nie ma dzięki Bogu...
 „Bóg w niebie, pan na ziemi ma nad nami władzę:
 „Czyń jegomość jak umiesz, bo ja nie poradzę.“

— „Gadaj! bo cię samego postawię na czele,
 „Albo wsadzę w armatę i w pole wystrzelę!
 „Trzeba spełnić, to z sądu a nie z mojej woli!“

Prokop mu odpowiedział zimno i powoli:
 — „Panie! ja stary sługa, ja towarzysz broni,
 „Dotąd karność wojskowa w moich uszach dzwoni“...

.

TANDECIARZ.

W rogu ulicy przy bramie,
Stoi z koszykiem Żyd stary;
Jak Icek w warszawskiej bramie
Zachwala swoje towary.
I nie przepuści nikogo,
Aż się nawrzeszczy do syta:
— „Ja wszystko przedam niedrogo,
„Niech tylko jegomość spyta!”
„Niech jasne państwo pozwoli
„Obaczyć towar wszelaki;
„Mydło co bez brzytwę goli,
„Jak gdyby piśmiennik jaki;
„Karty, co zmieniać się mogą,
„To bardzo rzecz wyśmienita!
„Och! ja sprzedaję niedrogo,
„Niech tylko jegomość spyta.
„ Ot cybuch! bursztyn jak jaje,
„Nie włożyć w usta, tak duży;
„Wnet jasnym panem się zdaje,
„Kto tylko z niego zakurzy.
„Można na szlachtę ubogą
„Dym puścić, gdy się z nią wita.

„Och ja sprzedaję niedrogo,
„Niech tylko jegomość spyta!

„Mam dzwonek—u tego dzwonka
„Serduszko takie jest przednie:
„Jak pan w salonie zabrząka,
„Służba ze strachu poblednie.
„Lecz trzeba trzymać ją srogo,
„Bo z dzwonka może być kwita.
„Och! ja sprzedaję niedrogo,
„Niech tylko jegomość spyta!

„Mam wodę na różne plamy:
„Gdy nikt naprzykład wdzięki,
„Lub gdy się czasem zbrukamy
„Dotknięciem niegodnej ręki;
„I takie wymyć się mogą,
„Co się od *wziątków* nachwyta.
„Och! ja sprzedaję niedrogo,
„Niech tylko jegomość spyta.

„Co! przestarzałe towary?
„Jegomość! czy mówisz szczerze?
„Ej stary jestem! ja stary,
„W gruszki na wierzbie nie wierzę!
„Pocziwość z biczem, z ostrogą
„Na krótki popas zawita!
„Ja sprzedam towar niedrogo,
„Niech tylko jegomość spyta“.

BŁOGOSŁAWIONY SZEWC

ŚWIĘTOSŁAW.

1480 r.

Ledwie świta jutrznia dniowa
W mglistej niebios ustroni;
Dzwon Zygmunta wśród Krakowa
Na pacierze nie dzwoni.

Sennym taktem zegar stary
Ściele głos swój po ziemi;
Ulatują senne mary
Nad głowami ludzkiemi.

Tylko widać lampę skrytą
W oddalonej gdzieś chacie;
Bije młotem o kopyto
W lichym szewckim warsztacie.

Tam Świętosław—prostak boży,
Całą noc się mozoli:
By sieroty albo chorzy
Mieli ulgę w swój doli.

Z jego pracy—biednych plony;
Żył wyrobnik jak święty:

Skarb miłości niezmierny
W jego sercu zamknięty.

Zapracować co się zdarzy —
To on wszystko, co zyska,
Zaraz niesie do nędzarzy
Gdzieś w podziemne sklepiska.

Na poddaszu—wiecznym kołem
Nędzy ciągnie się proba;
Starość jęczy pod kościołem,
A w podziemiu choroba.

Przed trybunał lichwiarz wlecze
Nieszczęsnego dłużnika;
Biedne syny wy człowiecze,
Ileż plag was dotyka!

Lecz Pan męże swoje budzi
Ku cierpiących ochronie;
Wszystkie bole wszystkich ludzi
Czuł Świętosław w swém łonie.

Stary kubrak go obleka,
Pas rzemienny zwykł nosić,
Twardy kołacz, puhar mleka,
To dla niego i dosyć!

Ale inni? nieszczęśliwi!
Jakaż dni ich osnowa?
Czém ta matka dzieci żywi,
Kiedy chora i wdowa?

Zkąd to zdrowie tak wyborne,
 U odartych tragarzy?
 Zkąd rzemieślnik ma komorne,
 Gdy się praca nie zdarzy?

Wszedł Świętosław w imię boże,
 Zaraz w chacie już lepij;
 Kopą groszy zapomoże,
 Dobrém słówkiem pokrzepi.

Gdy dla bliźnich wszystko traci,
 Z uległością powinna,
 Kochał matkę, swoich braci,
 Swoją ziemię rodzinną,

Króla, senat, mniejsze stany,
 Pola, góry i drzewa;
 Nieraz klęcząc, łzami zlany,
 Modły za nie wylewa:

Za powagę majestatu,
 Za hetmańską buławę,
 Za szykowność rad senatu,
 Za sejmową ustawę.

Takie czyny wielkiej duszy
 Przebijają mur nieba;
 Taka modła skały kruszy,
 Takić krajom potrzeba.

Świętosława zapal szczery
 Ma u Boga zapłatę:

Widzeniami z wyższej sfery
Opromienia mu chatę.

* * *

Raz, jak zwykle, przy kaganku
Pukał młotkiem przed świtem,
Dusza jego bez ustanku
Wirowała zachwytem.

A modlitwa szła radośnie
Do podnoża Jehowy,
Każde słowo w obraz rośnie,
Promienisty, tęczowy.

Wtém przez okno widzi rzesze
W uroczystym pochodzie,
Hufce konne, półki piesze,
Pierwszych mężów w narodzie.

Strój uroczy oko dziwi
W piękném gronie kobieciém,—
Z koszturami starcy siwi,
Dzieci z palmą i kwieciem.

Mąż wspaniały, z długa brodą,
Wiedzie orszak ludowy,—
Dwaj kapłani starca wiodą,
Uchyliwszy swe głowy.

Strój biskupi go obłoczy,
Od brylantów i złota;
Zachwyceniem płoną oczy,
W ustach święta szczerota.

Kler młodzieży niezliczony
 Śpiewa pieśnię „Hozanna!“
 Cały Kraków bije w dzwony,
 Płonie jutrznia poranna.

Biskup w świata cztery strony
 Przeżegnania udziela;
 Klęka przed nim lud wzruszony,
 Płacząc łzami wesela.

Ku katedrze Zbawiciela
 W górę Wawel lud płynie,
 Tylko biskup się oddziela
 K'Świętosława mieścinnie.

Skrył się w cieniu mąż pobożny —
 Wtém głos słyszy za sobą:
 — „Przyjacielu! nie bądź trwożny
 „Przed tą świętą osobą!

„To Stanisław Szczepanowski,
 „To męczennik wślawiony,
 „Ulubiony sługa bozki,
 „Dawny biskup téj strony.

„On za lud swój walczył długo,
 „Przelał własnej krwi zdroje,
 „On te tłumy swą zasługą
 „Wiedzie w niebios podwoje.

„Kogo przemoc uciemieża,
 „W kim się duch już osłabił,

„Do świętego módl się męża,
 „Co Bolesław go zabił.

„Kiedy grozi wam ruina,
 „Bądźcie w modłach wytrwali;
 „Ten, co wskrzesił Piotrowina,
 „I wam życie ocali.

„Jeszcze innych sześciu męży
 „Niebo z Polski posiada;
 „Tój potęgę nie zwycięży
 „Ziemskich hufców gromada.

„To krew ze krwi, kości z kości,
 „W nich zastępców znajdziecie;
 „Poglądają z wysokości,
 „Czy wam dobrze na świecie.

„Tam, w klasztorze Dominika
 „Mieszka Ojciec Wincenty;
 „W celi wiecznie się zamyka,
 „Modlitwami zajęty.

„Nad książkami wiecznie siedzi,
 „Ssąc z nich zdrowie dla ducha
 „Idź do niego do spowiedzi—
 „On cię wdzięcznie wysłucha.

„A zebrawszy lud z ulicy,
 „W imię Pańskie pozdrowi,
 „I rozpowie z kazalnicy,
 „Jak Bóg sprzyja ludowi!...“

Gdy Świętosław trwożne oczy
 Wszędzie rzuca nieśmiało,
 Zmilknął nad nim głos proroczy
 I widzenie ustało.

Szedł i czynił co głos każe,
 A sprzedawszy swe mienie.
 Pieniądz oddał na nędzarze,
 Włożył grube odzienie.

W pokutników idąc ślady,
 Ślub ubóstwa uczyni,
 I siadł w kruhcie między dziady
 W Maryackiej świątyni.

Szła jałmużna dosyć sporo,
 Lecz co przyszele mu doba,
 To wieczorem biedni biorą
 Albo świątyn ozdoba.

Wreszcie poszedł w świat nieznany,
 A gdy w grób się położy,
 Wołał naród i kapłany:
 „Błogosławion człek boży!“

* * *

Wszystkie stany bez różnicy,
 Pan przytuła do łona:
 I wy polsey wyrobnicy,
 Macie w niebie patrona.

Wrzesień 1862. Wilno.

DWA OBRAZY.

OPOWIADANIE O PROMIENNÉJ CHWILI W NIEBIE
I NA ZIEMI.

I.

Był sobie malarz w niebie Rafaela,
Błogosławieństwa Pan Bóg mu udziela,
Młodość gdy ognia w piersiach mu przyczynia,
W Auzuńskim kraju ślubował paletrze,
Gdzie cała ziemia — arcydzieł świątynia,
Gdzie przepelnione ich wonią powietrze.

Ze starożytnych świątyn rumowiska
Grzmią wulkaniczne wielkie epopeje:
Z obrazu, z rzeźby, z wody pieśń wytryska,
Z przed wieków wieczne opowiada dzieje.
A nad tém wszystkiém złoty lazur nieba
Ochładza głowę rozegrzaną znojem:
Niczego więcej duszy niepotrzeba,
Jak żyć tu z chwałą, umrzeć ze spokojem!
Gdzie cuda sztuki, majestat przyrody,
Tam duch człowieka szlachetnieje młody;
Prawda promieńmi mocniej go przesięknie,
Źrenica trzykroć spotężnieje w oku,

Jak orzeł w słońcu roztopi się w Pięknie,
 Zakrążon wirem słodkiego uroku;
 Wzniosłość do serca gdy mu wrośnie z wiekiem,
 Już on nie zdoła być powszednim człkiem.

II.

Sławnych Teutonów zwiedziwszy pracownie,
 Malarz w przedwiecznym zagnieżdżony Rzymie, —
 Do sztuk przybytku pukał tak gwałtownie,
 Aż mu otwarto podwoje olbrzymie.
 Ujrzał Królową, co włada tym światem,
 I upadł na twarz przed jój majestatem.

Ujrzał Najświętsze oblicze Madonny,
 Krew z Przenajświętszój Zbawiciela męki:
 Stanąwszy martwy i unicestwiony,
 Przysiągł, że pędzla nie weźmie do ręki.
 Bo ktoby z młodych zamarzył choć we śnie,
 Że dlań dostępna starych mistrzów droga,
 Ten geniuszom zbluźniłby boleśnie
 I ciężko zgrzeszył przed obliczem Boga.

Lecz piękna sztuka macierzyńskiem okiem
 Ku swój wybranój gdy spojrzy dziecinie,
 Tak ją otuli kochania urokiem,
 Że się obawa jako śnieg rozplynie;
 I śmiałem skrzydłem jak orły żeglarze
 Pójdą w obłoki jak im Pani każe.
 Ona im rzecze:—, Wznieście wzrok do góry,
 Na latające promienie purpury,
 Na słupy ognia i te mgły poranne,

Przeiękłe wonią i grzmiące *Hozannę!*
 To niebo ducha—bezbrzeżna kraina,
 To tryumf Boga, Człowieczego Syna.
 Chcesz? ja uklęknę i Boga poproszę,
 On z twoim pędzlem tam wpuścić cię każe:
 Płacz, módl się, maluj, pij wyższe rozkosze.

„Oto Chrystusa i Maryi twarze;
 U stop rodziców krąży grono dzieci,
 Z krzyżami, z palmy, bez stanów różnicy,
 Święci wyznawcy i anachoreci,
 I najliczniejsi Pańscy męczennicy.
 Zadrży ci ręka, to bardzo być może:
 Chcąc oddać niebo, zbyt świętych rąk trzeba.
 To rozściel oczy po ziemskim przestworze,
 Nie maluj ziemi inaczej jak z nieba;
 A ten świat ziemski, podśloneczny, boży
 Swe tajemnice zaraz ci otworzy.
 Gdy myśl zrozumiesz, co z tych wód wytrysła,
 One na płótnie tak życia nabiorą,
 Że każdy powie:—To Wilia, to Wisła
 To nadkruszwickie, to trockie jezioro.
 Wsłuchaj się, co tam biją na pacierze
 Żelazném sercem twojej ziemi dzwony:
 Z ram ci wyrosną maryackie wieże,
 Baszty Kiejstutów i Wawel zgarbiony.
 Przyjdą oglądać widzowie nieśmieli:
 —„Jeszcześmy takich cudów nie widzieli!“
 Z dymami wiosek, z aromatem lasu
 Zrośnij się w jedno, pobrataj swe płuca:
 A mądrość wyższa od czasu do czasu
 Twe płótno swemi barwy poobrzuca.

Zrozumiesz, dziecko gdy ołówek bierze,
 Czemu wprzód kreśli domki i kościoły,
 I nieopodal wąsate rycerze,
 Na górze bitwy, tu nakryte stoły.
 Myśl zda się prosta, a niekażdy powie....
 Przyczyna prosta nawija się snadnie,
 Lecz mędrzec ziemski niekażdy ją zgadnie.
 W niebo kunsztmistrzu, w niebo coraz bystrzej!
 Tędy szły drogi wiekuistych mistrzy!“

Rozkołysany tą mową gwałtownie,
 Rzymskich wybrańców obiegał pracownie;
 Co który umie, myśli, co wyłoży,
 Braterskie serce każdy mu otworzy.
 Postęp olbrzymiał—wykrzyknął z zapalem:
 —„Nawet papieża skreślę z pastorałem!“
 Było to dawno... Najpiękniejsze oczy
 Posiadał w Rzymie tylko Ojciec Święty.
 W nich mieszkał spokój chrześcian uroczy,
 Czy duch swobodny, czy bolem ściśnięty,
 Temi oczami, gdy je w ludy wciskał,
 Niejedną trzodę dla Pana pozyskał.
 Na uściech miłość i piorun był razem,
 Lecz tak poważnie skojarzone z sobą,
 Że tym czy owym chciał walczyć wyrazem,
 Ojciec Najświętszy był jedną osobą.
 Po całym świecie potężni i mali
 Mieli źrenicę im tylko zabawną,
 Czuli, że straszny, lecz silniej kochali,
 Było to dawno, och! bardzo już dawno.
 Przelać się duszą w wiekowego męża,
 Uczuć go w sobie, to nie nasza siła!

Ale syn kunsztu wiele przewycięża
 I postać Ojca Świętego odżyła;
 Na lud z kruzganku patrząc łaskawie,
 Zdawał się wołać: Ja was błogosławię!
 Obraz papieża stanął na wystawie
 Pomiędzy wodzów, cesarów i króli;
 Tłum do galeryi zebrał się ciekawie,
 Bracia po pędzlu, towarzysze czuli,
 Przyszli zażółcić utwór znakomity,
 Wielcy mistrzowie i ich satellity.
 A chociaż czasem ujrzyć się nadarzy
 Jak się wąż przemknie po ich pięknej twarzy,
 Ciche syczenie otchłani aniola
 Wyższych uwielbień zagłuszyć nie zdoła.
 Papież zakupił swe wzniosłe oblicze
 I monarchicznie wsparł geniusz młody,
 I w Watykanu mury tajemnicze
 Kazał mu stanąć dla droższej nagrody.
 I błogosławił, i pytał go długo
 O nasze pola pokryte szarugą,
 O nasze wonne balsamy w pustyni,
 O nasze sosny, czego one jęczą?
 Słowem jak ojciec zapytania czyni,
 Biorąc w opiekę gromadę młodzieńczą;
 A chwając śmiałość mistrzowskięj roboty,
 Dał mu w nagrodę medal szczerozłoty.
 Och! w Rzymie medal, nagroda malarza,
 Którą go Ojciec Najświętszy obdarza,
 Jest godłem chluby wśród patrycyuszy,
 Pomiędzy swymi rodzi zawiść skrytą,
 Warzy cykute, a z wendettą w duszy
 Poi sztylety, pianą jadowitą.

Polak znał zwyczaj swojej rzymskiej braci,
 Przejrzał, ułożył i związał na pasy
 Kilka obrazów wznioslejszej postaci,
 Widoków zdjętych najpierwszemi czasy,
 I trzy poważnych, niepodległych twarzy,
 Dwie z nich jagody, a jedna krew warzy.
 I w kalabryjskim kapeluszu z kitą,
 Z włoskimi sakwy przybysz z Europy,
 Dążył na nocleg pod pszeniczne kopy
 Lub jak w las w polskie zanurzał się żyta;
 Górą i jarem jak wąż się przeciska
 Przez pińskie piaski i drżące bagniska.

Stary Lubieszów ze swemi Piary,
 Gościniec znany jakby własna ręka,
 Czas sosnowemi oplół go konary;
 Wreszcie zasłona rozszerza się, pęka,
 I od stron Klecka czysty wiatr połowy
 Oblewa piersi i uzdrawia głowy.
 Nocleg wędrowca wczoraj w gęstém życie,
 Dzisiaj pod jodłą szumiącą widzicie.
 Ocknął się ... poszedł — i już się przybliża
 Do ruin Klecka i murów Nieświeża.
 Przebiegł te pańskie staroświeckie grody,
 I cóż mu do nich? widział — i zobaczy!
 W kopki oczeret poskładano młody,
 Tamby na nocleg zakopać się raczój.
 Jest na wieczerzę woda, chleb i wino,
 I wiatr przyjaciół, co wionie rodziną,
 Tłomok pod głową jak zwykle w podróży,
 Łaska przy boku pielgrzymkim zwyczajem;
 Ciało złamane na niewiele służy,

Lecz jutro... z lubym gdy spotka się krajem,
 Czy będzie takiej żałował podróży?!
 Chaty koniecznie, chaty mu potrzeba,
 Co król Batory dał jego dziadowi;
 Zobaczyć ojca ciekawszy niż nieba,
 A tam sąsiedzi! czy żywi? czy zdrowi?
 Po krótkiej drzemce jak przelotna mara,
 Ubrał się prędko i biegł w topielisko;
 Bo mgła, jak szkocka — to czarna, to szara,
 Zakryła przed nim jego śmierć tak blizką.
 Nie zważał pełen pośpiesznego ducha,
 Jak żółta ruda z pod stop mu wybucha.
 Wtém głos znajomy co jak z Etny bucha:
 — „Stój zapaleńcze!” — wrzasnął mu do ucha, —
 „Pod tobą przepaść!” — i ręką jak kleszczem
 Ścisnął malarza i przerzucił w górę,
 Przez chybkie torfy, przez oczeret gruby.
 Podróżny spojrział mimo mgły ponure,
 I krzyknął głośno: — „Ach! ojciec mój luby!”
 Był to staruszek, wysoki w pół sosny,
 W lisowej czapce i w dwóch kurtach z lisa;
 Nosił przez plecy karabin donośny,
 Wąs miał sumiasty, spojrzenie tygrysa, —
 A co tam w sercu??

Nie wiem dzięki Bogu!...

— „Kto mię tam ojcem z oczeretów woła?
 „Szablą mi swoje przyczyny wyluszczy.
 „Ja nigdy synem nie miałem gawrona. . . .
 „A waćpan — gawron z Białowieżkiej puszczy.
 „Nie znając drogi, w sam środek czeluści
 „Idziesz szalony, gdzie twój zgon pewniutki!

„Skrzypiące mszary obszedłszy powoli,
 „Chodź waćpan do mnie!—napijem się wódki!“
 Głośne wołanie i krwi odgłos błogi
 Syna przywiodły przed ojcowskie nogi.

—„Co z tobą Marku, żeś się przesztatanil?
 „Włóczyś się w bagnach zamiast siedzieć w Rzymie.
 „Pędzel twój będzie pudłował nie ranil:
 „Tu ledwie znane Chrystusowe Imię,
 „Tutaj za obraz tyle ci zapłacą,
 „Co za chudego konia bronowłokę.
 „Zmarniejesz chłopcze — zmarniejesz z twą pracą,
 „Ty wiesz, jam biedak, nędzy nie wywlokę.
 „Ja oto dzisiaj rankiem, myślę sobie
 „Zmówić paciorek i obiedz me łany.
 „Pan Bóg ku inszej odłożył to dobie,
 „Pójdźmy do chaty, synu ukochany!“

Przy starym miodku, przy ciepłym kominie,
 Na wiązkach słomy układli się oba.
 Aż do poranku gawęda ich płynie;
 Ojca niejedna zachwyciła proba.
 Przeglądał płótna, szkice i kartony:
 —„Marku! mój Marku! tyś nieoceniony!
 „I tutaj z głodu nie umrzesz, jak sądzę.
 „Są dobrzy ludzie, są dobre pieniądze.
 „Ale chorągiew Świętego Michała
 „Lub włócznia Jerzych tobie nie przystała.
 „Ubożsi bracia krzykną na waszeci,
 „Żeś po to przybył z dalekiego wschodu,

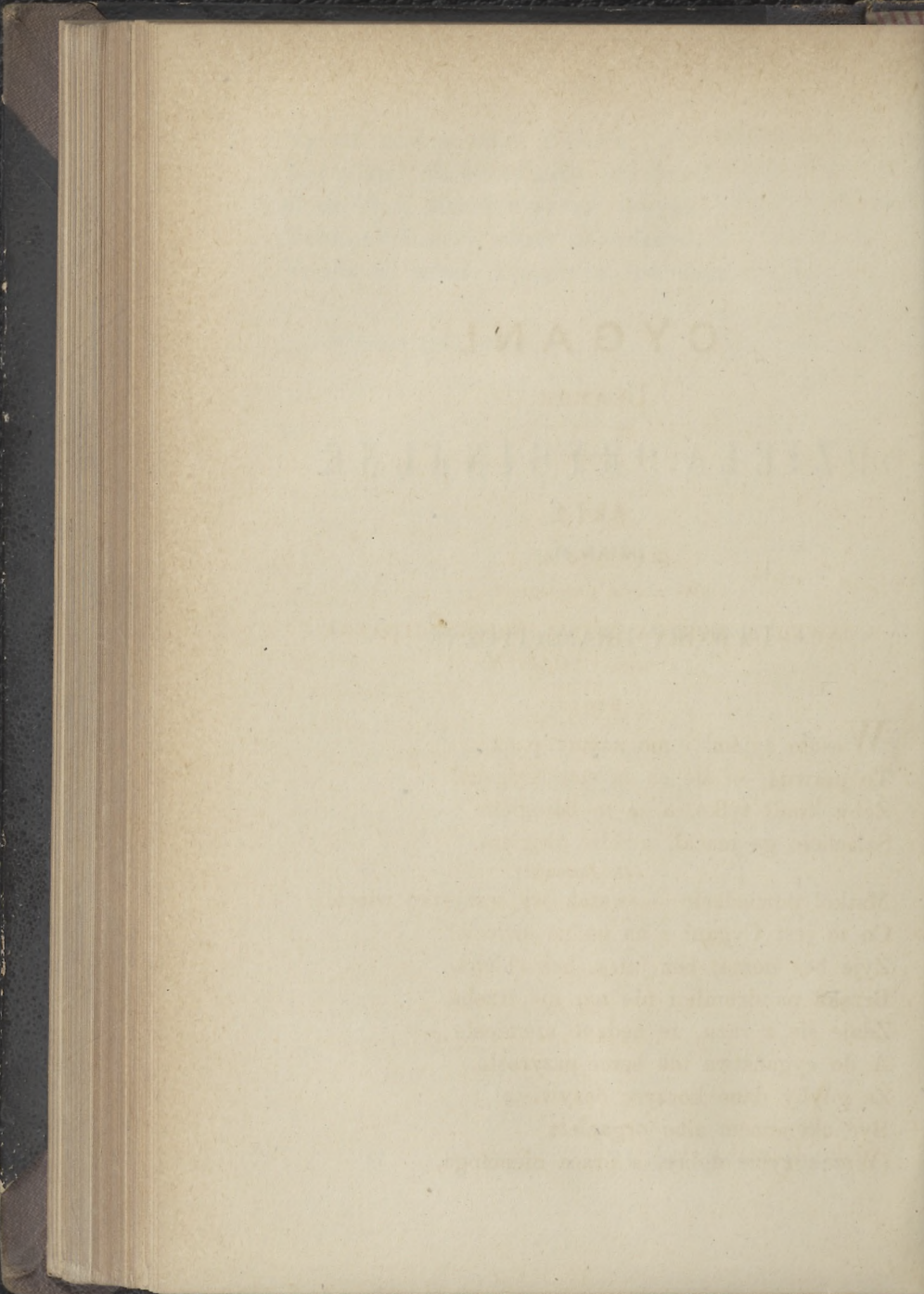
„By oni sami umierali z głodu,
„Byś pożarł placek owsiany ich dzieci.
„O nie! mój Marek tego nie uczyni,
„Dziesięć-łokciowy obraz do świątyni,
„Freska na ścianie z frędzlami od złota...

.....
Wrzesień 1862. Wilno.

DZIEŁA ORYGINALNE.

DZIAŁ II.

UTWORY DRAMATYCZNE.



CYGANI.

PLAMEK.

Akt I.

SCENA I.

(W taborze przy ognisku.)

JAWNUTA, MORYGA, DŻĘGA, CHICHA, CYGANKA
i gromada CYGANÓW.

Dżęga.

Wesoło żyjem! i nie znamy pana,
To prawda — ale co za stan Cygana?
Żeby kradł tylko, a za to batogiem
Szlachcie go macał, a baba ożogiem.

(Do Jawnuty:)

Matko! powiedzcie — wszak wy wszystko wiecie:
Co to jest Cygan? i na co na świecie?
Żyje bez domu, bez jutra, bez chleba,
Brząka na drumli i nie mu nie trzeba.
Zdaje się z razu, że nędzne rzemiosło —
A do cygaństwa tak serce przyrosło,
Że gdyby dano korzyść oczywistą
Być ekonomem albo organistą
(Wszak życie dobre, a praca niemnoga,

Jedź, zbieraj grosze i chwal Pana Boga),
 Jabym i wtenczas uciekać był gotów
 Pod cień podartych cygańskich namiotów.
 Ległbym na trawie, i w starym sposobie
 Piosnkę cygańską wyciągałbym sobie,
 I karmił duszę pieśnią i włóczęgą
 W bratnim taborze.

Jawnuta.

Posłuchaj mię Dżęgo!

Ja ci podanie stare wytłómaczę:
 Bóg z wieków przeklął cygańskie gromady —
 Skazał na nędzę i życie tułacze,
 Lecz zuchy były nasze prapradziady!
 Nigdybys nie zgadł ich śmiałego celu.
 Ot... raz poczęli ciekawością zdjęci
 Murować sławną wieżycę Babelu,
 Aby obaczyć co się w niebie święci?
 I klucz mądrości i stworzenia dziwy
 Ukraść cichaczem panie miłościwy!

Dżęga (z podziwieniem).

Okraść niebios!

Jawnuta.

Cóż? śmiałe pomysły?

Hurmem do cegieł, do kielni, do młota —
 Już nad chmurami ich gzemsy zawisły,
 Już nad gwiazdami mularska robota;
 A naród zewsząd jak na dziwo bieży
 I czeka jeno owoców kradzieży.
 Pan Bóg obaczył zuchwałą budowę,
 I wnet hołyszów za ciekawość karze:
 Odjął im zgodę i pomieszał mowę,

Jęli się klócić czeladź i mularze;
 Ten mówi czarno, a ten mówi biało,
 Straciły głowę majstry i postuga,
 A gdy w robocie porządku nie stało,
 Ceglana wieża runęła jak długa.
 Kto się naówczas z karkiem nie pożegnał,
 Postrach tę resztę po świecie rozegnał.
 Jednak zdołali zapaśnicy śmieli
 Zostawić pamięć w cygańskim narodzie:
 Coś na niebiosach podpatrzeć musieli
 Lub się pokumać z gwiazdami na wschodzie.
 Bo jeszcze dotąd wróżba tajemnicza
 Słynie w cygaństwie starym obyczajem,
 A świat nam za nią opieki użycza.

D ż ę g a.

Morzy nas głodem i kropi nahajem,
 To ich opieka...

M o r y g a.

Lubię dawne dzieje,
 Lubię przypomnieć, że moi rodzice,
 To owi starzy cygańscy złodzieje,
 Co chcieli z niebios ukraść tajemnicę;
 A swym prawnukom w najpóźniejszej chwili
 Mądrość, swobodę, nędzę zostawili!

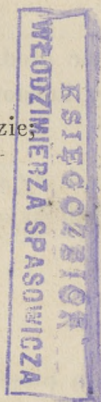
Ś P I E W.

M o r y g a.

My sobie włóczęgi, my sobie Cygany,
 Nam głodu niestraszno, nam grzbietu nie szkoda!

C h ó r.

Niech żyje wróżbiarstwo! niech żyją łachmany!
 Niech żyje wesoła cygańska swoboda.!



M o r y g a.

Żyjemy jak ptaki, nikt lotu nie ścieśni,
Chleb mamy, choć żaden nie sieje nie orze.

C h ó r.

Niech żyją torbany, brzękotki i pieśni!
Niech żyje ognisko w cygańskim taborze!

M o r y g a.

Choć głodni i chłodni, nie żyjem dla siebie,
My ludziom tłumaczym, co gwiazda ukaże.

C h ó r.

Niech żyją niebios! nam żniwo na niebie!
Niech żyją wróżbiarki! niech żyją wróżbiarze!

S C E N A I I.

C I Ź, gromada innych CYGANÓW.

R i d i o.

Górą piosenki! z daleka je słyszę,
Wesołe echo aż do wioski sięga.
Czołem, Morygo!

M o r y g a.

Czołem, towarzysze!
Cóż? jak się wasza powiodła włóczęga?...

.....

Przew. Niedz. 1852. Załącze.

ROK W PIEŚNI.

KANTATA DO MUZYKI S. MONIUSZKI.

Introdukeya.

Kto lubi znój, gdy swojskie słońce parzy,
Kto lubi pieśń żniwiarek i żniwiarzy,
Kto w pieśni rad swojskie powietrze chwyta,
Kto lubi chleb ze słowiańskiego żyta,
I ptactwa gwar wśród pola i dąbrowy,
I prosty lud wioskowy zaściankowy, —

Kto chciałby tam
Marzyć jak we śnie,
Niech przyjdzie k'nam,
Śpiewamy pieśnię,
Pieśnię rodzinnéj osnowy.

Przypomnim wam i święte kłosów żniwo
I letni skwar, i jesień szczodrobliwą,
I sosen szum, gdy chłodny gwar kołysa,
I straszny grom, co bije w dzień Borysa,
I granie trąb, i nasze gwarne łąwy,
I skrzypiec dźwięk, gdy wieczór dożynkowy.

Kto chciałby tam
Marzyć jak we śnie,
Niech przyjdzie k'nam,

Śpiewamy pieśnię,
Pieśnię rodzinnéj osnowy.

Przypomnim wam zimowych wichrów świsty,
Wieczornie gwar, i kulig uroczysty,
Pamiętkę świąt — zakoleđujem, spiejem
Na stary ład piosenkę o Bethlejem,
I rozlew rzek, i wiosny oddech nowy,
Skowronka hymn, i jasny dzień majowy.

Kto chciałby tam
Marzyć jak we śnie,
Niech przyjdzie k'nam,
Śpiewamy pieśnię,
Pieśnię rodzinnéj osnowy.

CZĘŚĆ I. LATO.

Recitative.

Jutrznia na niebie — świtać poczyna,
Nad rośną trawą błądzi mgła sina,
A po nad rzeczką ptactwo świergota —
Słownik w olszniaku, chróściel z nad błota.
Śpi wioska w mroku szarych półcieni,
Ludzie wczorajszą pracą znużeni,
Błogim spokojem zdjęci chwilowo,
Wzmacniają siły na pracę nową.
Kto umie oczy podnieść ku górze,
Widzi jak Pańscy anieli stróże
Latają chórem, śpiewają radzi
Po nad chatami sielskiej czeladzi,
I błogosławiąc jój sny poranne,
Bogu za ludzi pieją *Hozannę*.

Chór aniołów.

O święty, święty, święty
 Boże i Ojcie nasz!
 Co lud ten snem ujęty
 Zdałeś pod naszą straż!
 Oto gromada ludzi,
 Gromada bożych sług,
 Do pracy wnet się zbudzi,
 A weźmie sierp i pług.
 Błogosław prac ich znoje,
 Plonem ich ziemię darz
 I święć się Imię Twoje,
 Boże i Ojcie nasz!

Recitativo.

Lecz się różowa jutrznia rozszerza,
 Zbudził się kogut, skrzydły uderza,
 I zapiał silnie pobudki hasło,
 Że aż nad rzeczką echo zawrzasało.
 I czujne kury, jak gdyby czaty,
 Podają hasło z chaty do chaty,
 Że wstawać pora. Stary Wasili
 By zbudzić swoich czekał téj chwili.
 Już od godziny sen go nie bierze,
 Chodząc po dworze mówi pacierze.
 Jużby się z rosą napasała trzoda,
 Lecz budzić młodszych staremu szkoda:
 Syn jego Janko pracował dosyć,
 I wczora kosił, i dziś ma kosić;
 Lecz to już taki zwyczaj młodzieńczy,
 Że śpi jak kamień kiedy się zmęczy.
 Coś sobie marzy i przez sen gada



O krasnej Hannie, córce sąsiada;
 Niech sobie marzy, sercu dogodzi,
 I my starcowie byliśmy młodzi.
 Sen w biedach serca jedną pociechą!
 Lecz kiedy kogut zapał nad strzechą,
 Zapał powtóre, zapał raz trzeci:
 Wstań do roboty, wstań synu kmieci!
 Słońko pogodne, korzystaj z chwili.
 Tak sam do siebie mówi Wasili.
 Choć mu żal budzić synów i wnuka,
 W okno do chaty donośnie puka.

Wasili.

Wstawajcie dzieci! świta na dworze,
 Już od godziny krzątam się sam,
 Już z za pagórka słoneczko boże
 Brzask na dzień dobry przesyła wam.
 Otwórzcie ze snu, otwórzcie oczy,
 Leniwěj drzemki już minął czas.
 Z Bogiem pocznijcie wasz dzień roboczy,
 Krzyż Chrystusowy niech wzmocni was.
 Wstawajcie dzieci! do pracy czas!
 Już od godziny krzątam się sam,
 Słońce dzień dobry przesyła wam;
 Krzyż Chrystusowy niech wzmocni was.

Recitativo.

Już na głos starca w chacie się szerzy
 Gwar pogadanki i szmer pacierzy.
 Jak na głos matki robocze pszczoły,
 Sypie się z chaty naród wesoly;
 A komu oczy orzeźwić trudniej,
 Bieży je przemyć do chłodnej studni;

A komu chatnia przykrzy się ława,
 Chłodnym wietrzykiem piersi napawa.
 Tak pokąd światło ziemię ogarnie,
 Chatnie podwórze odżyło gwarnie;
 Odżyła wioska w rannéj pomroce,
 Starcowie gwarzą, młodzież chychoce.
 Ów idzie z kosą, drugi do żniwa,
 Wójt do roboty dwornéj zwoływa,
 I w końcu wioski naród się tłoczy,
 Wyszedł na pole orszak roboczy.
 Janek przy Hannie—lecz spuścił głowę,
 Chciałby rozpocząć słodką rozmowę;
 Lecz kędy miłość do serca wpadnie,
 Tam pogadanka idzie niesnadnie.
 Od czego począć?—niełacna rada,
 Serce już sercu resztę dogada,
 Dusza przed duszą jakoś się sprawi,
 Ale w około ludzie ciekawi,
 A więc ostrożnie, z cicha, nieznacznie,
 Niby przypadkiem, tak mówić zacznie:

J a n e k.

Dzień dobry, Hanno! droga w połowie,
 A twego głosu nic nie rozbudzi.
 Jakie ci chodzą dumki po głowie,
 Że się odezwać nie chcesz do ludzi?

H a n n a.

Dzień dobry, Janku! myśl gdzieś się błąka
 I do gadania chętką nie bierze.
 Ja sobie słucham pieśni skowronka
 I po cichutku mówię pacierze.

J a n e k.

Co ten skowronek? lata nad zbożem,
Czyniąc w powietrzu jakieś igraszki.
Ty nam zaśpiewaj, my ci pomożem,
Ty Hanno lepiej śpiewasz niż ptaszki.

H a n n a.

Nie będę śpiewać,—twoja pochwała
Do mego serca nie się nie wkradła.
Wszystkich piosenek jam zapomniała,
Poranna rosa na piersi spadła.

J a n e k.

O wiem ja dobrze, co ci się święci,
Czemu ci rosa na piersi spada!
Nie brakło piosnek twojej pamięci,
Kto inny prosi, ty śpiewasz rada.

H a n n a.

Bój się ty Boga, dziwny człowiecze!
Rad, kiedy zręczność do kłótni zyska.
Lada dla żartu coś się wyrzecze,
Już zaraz gniewy i przymówiska.

J a n e k.

Ktoby się gniewał? zgoda już, zgoda!
Przepędźmy z oczu drzemkę poranną.
Jeden drugiemu ochoty doda,
My ci pomożem, zaśpiewaj Hanno!

H a n n a.

Ktoby się gniewał? zgoda już, zgoda!
Przepędźmy z oczu drzemkę poranną.

Chór.

Jeden drugiemu ochoty doda,
 My ci pomożem, zaśpiewaj Hanno!

P I E Ś Ń.

Hanna.

Kłosku żytni, czyż nie szkoda,
 Że cię zeżniem z pola?
 Pókiś jeszcze trawka młoda,
 Póty życie i swoboda,
 Póty lepsza dola!

W pośród listków i badyli
 Rośnie kłos zielony,
 To do kwiatka się przymili,
 To wesolą głowę schyli
 W rozmaite strony.

Chór.

Deszcz dla niego to otucha,
 Wicher to swawola,
 Zda się żyje w pośród pola
 I skowronka słucha.

Hanna.

Przeszła wiosna, przeszła marno,
 Nastal miesiąc nowy;
 Kłos obciąża bujne ziarno,
 Jako myśli, co się garną
 Do poważnej głowy.
 On zesmutniał w suche lato
 Zżółkniał w czas dojrzania,
 Przeszła młodość, cóż mu za to?

Głowę plonem choć bogatą
Ku ziemi nakłania.

C h ó r.

Skwar i słońca go przeraża,
Grad i wichur troska,
A wesóły śpiew żniwiarza
Śmierci dlań pogłoska.

H a n n a.

Ej! lepiej być trawką w wiosnie,
Pieszczotą motyli,
Niżli kłoskiem, gdy wyrosnie,
Ocięższe i żałośnie
Ku ziemi się schyli.
Lepsza młodość i śmiech skory,
Choć nie ma w nim treści,
Niż późniejszej wieku pory
Mądre, suche rozhowory
Z westchnieniem boleści.

C h ó r.

Puśćmy ducha na swobodę,
Gońmy senne mary:
Lepiej nosić serce młode,
Niżli rozum stary.

P I E Ś Ń

W ó j t.

Héj, chłopcy! na łękę i kosić!
Jesteśmy przy drożnej figurze.
A dosyć tych śpiewów, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!

Kwiateczki i wiatrów igranie,
 Dobrze to w piosence pastuszej;
 To u mnie gospodarz mospanie,
 Co kwiatki na sianko wysuszy.
 Was dziewczki do żniwa mam prosić,
 A snopy zwiazywać mi duże!
 I dosyć tych pieśni, już dosyć,
 Bo ja wam inaczej zawtórzę!
 Te kłosy, to wiatrów igranie,
 Zabawka dziecinna i marna;
 To kłosek najlepszy mospanie,
 Co wyda najwięcej mi ziarna.

Hanna.

O Janku! ruszajcie już kosić,
 Daj radę wójtowskięj naturze.

W ó j t.

A dosyć tych szeptów, już dosyć,
 Bo ja wam inaczej zawtórzę!
 Ja będę przechadzał się blisko,
 Do košby, do żniwa się wtrącę;
 Niech będzie gładziutkie ściernisko
 I równe przekosy na łące.
 Ja umiem upartych poprosić,
 Zaradzić upartęj naturze.
 A dosyć tych szeptów, już dosyć,
 Bo ja wam inaczej zawtórzę!

Recitativo.

Przez długie morgi w śmiechu i gwarze
 Długim szeregiem stoją żniwarze.
 Wójt ich gromadę dzieli na części;
 Zboże dojrzałe pod sierpem chrzęści,

A kędy ostre żelazo błyska,
 Ciągną się długie pasma ścierniska.
 Słońce z niebieskiej patrząc oddali,
 Głowę zniwiarek gorącym pali;
 Ręce ich ostre kaleczą ciernie;
 Wójt w pracy nagli niemilosiernie.
 Źródlanęj wody, w gorącej chwili,
 Ostatnią konew żeńcy wypili.
 A przecież poradź z ochotą młodą!
 One się śmieją i piosnkę wiodą.
 Bo młode piersi sielskiej dziewoi
 Piosnka nakarmi, piosnka napoi,
 Piosnka umocni ustałe ręce;
 I śmiech i boleść — wszystko w piosence.
 Więc hoża Hanna, idąc po przedzie,
 Ład na zagonach i w piosnkach wiedzie.

PIEŚŃ ŻNIWIARSKA.

Przepióreczka w zbożu kwili,
 Żeśmy gniazdo jój zburzyli!
 I ze złości nieszcześliwa
 Różne rzeczy wygadywa;
 Wygadywa i przeklina,
 Ej złośliwa to ptaszyna!

— „Piejcie żeńcy! zniejcie zboże!
 „Wszak bogaty pan we dworze:
 „Choć pragnienie głos wam trudni,
 „Teraz wyschła woda w studni,
 „Ale gdy się wszystko poźnie,
 „Pan uraczy was wielmożnie.
 „Da wam miodu da wam wina!“
 Ej złośliwa to ptaszyna!

„Pijcie żeńcy, pijcie do dna,
 „Bo daleko wioska głodna.
 „Gdy wiosenne słońko wstanie
 „Ciagną zboże na przystanie,
 „Wicinami k' Niemcom gonia,
 „A po wioskach w dzwony dzwonia,
 „Śmierć swe żniwo rozpoczyna“....
 Ej złośliwa to ptaszyna!

Przepióreczka kwili w życie,
 Panie wójcie, czy słyszycie?
 Bieź do dworu, pański słuگو,
 I przynieście strzelbę długą,
 I zastrzelcie nam na dziwo
 Przepióreczkę szczebiotliwą.
 Niech nie jęczy, nie przeklina,
 Ej złośliwa to ptaszyna!

W ó j t.

Héj żwawo! czyż długo mam prosić?
 Pilnujcie porządku na sznurze!
 A dosyć tych pieśni, już dosyć,
 Bo ja wam inaczej zawtórzę!
 Czujecie, jak pali.... jak parno.....
 Zachodnia zachmurza się strona;
 Deszcz będzie... zamoknie mi ziarno...
 Robota przy snopach stracona!
 Héj żwawo! do kopy je znosić!
 Zagrzało... zbiera się na burzę....
 A dosyć tych szeptów, już dosyć,
 Bo ja wam inaczej zawtórzę!

C h ó r.

Czujecie jak pali.... jak parno...
 Zagrzało.... to Pan Bóg się gniewa.
 Wiatr chmurę napędza już czarną
 I grozi straszliwa ulewa!

H a n n a.

Jakby krwią słoneczko po ziemi
 Mignęło.... i w chmurę się chowa;
 A chmura kłębamii czarnemi
 Wije się jak chusta grobowa.
 Świat zmienia w pieczarę podziemną;
 Wiatr ustał.. to cisza złowroga...
 I straszno.... i głucho.... i ciemno...
 Módlmy się! módlmy do Boga!

C h ó r.

Deszcz bujny kroplami już spada,
 Wiatr zerwał się w czarnej pomroce,
 Co spotka uchyla, gruchoce...
 Módlmy się, bo idzie zagłada!

R e c i t a t i v o.

Wtém błyskawica, jak gdyby żmija,
 Ognistém pasmem niebo przebija;
 Piorun uderzył w rozdartą chmurę,
 Aż ziemia drgnęła raz i powtóre,
 I grom zahuczał w straszonym rozgwarze,
 Strwożeni ludzie padli na twarze.

C h ó r ż n i w i a r e k.

A Słowo jego.... a Słowo....
 A Słowo stało się Ciałem!

Nie racz nas, wielki Jehowo!
 Karać piorunnym postrzałem.
 Niech nas Twa łaska osłania
 W miłosierdzie bogata,
 W chwilę Twego zagniewania
 Nie bierz pomsty ze świata.

Czy w dobry czas
 Popieścisz nas,
 Czy w gromie drgasz,
 Tyś Ojciec nasz!
 Tyś Ojciec nasz!

(Łoskot burzy przerywany szmerem modlitwy.)

H a n n a.

O! dzięki.... dzięki Ci, Chryste!
 Snadź już się Pan Bóg nie gniewa:
 Przechodzą gromy ogniste,
 Ucichła straszna ulewa.
 Z pod chmury—dzięki Ci, Boże!
 Zachód rozwidnił się złoty;
 Ale już wieczór na dworze,
 Puśćcie nas, wójcie, z roboty!

C h ó r.

Człowiek pracować nie może,
 Przemoknął w polu od słoty;
 Oto już wieczór na dworze,
 Puśćcie nas, wójcie, z roboty!

W ó j t.

Jeszcze z daleka i z cicha
 Dochodzi nas łoskot gromu;
 Idźcie już dzieci do domu!
 Jam głodny, zmokły do licha!

Czuje, że serce mi wskrześnie,
Kiedy się człowiek posili.

C h ó r.

Hanno! zaśpiewaj nam pieśnię,
To będzie wracać nam miléj.

H a n n a.

Po nocnej rosie
Płyn dźwięczny głosie!
Niech się twe echo rozszerzy,
Gdzie nasza chatka,
Gdzie stara matka
Krząta się koło wieczerzy.

Jutro dzień święta,
Niwa niezżęta
Niechaj przez jutro dojrzewa;
Niech wiatr swawolny,
Niech konik polny,
Niechaj skowronek tu śpiewał

Blizko już, blizko
Chatnie ognisko,
Znużone serce weseli;
Tam pracowita
Matka mię spyta:
— „Ileście w polu nażęli?“
— „Matko, jam młoda,
„Rak moich szkoda,
„Szkoda na skwarze obliczał
„Żle szła robota,
„Przeszkadza słota,
„I moja dumka dziewicza.“

Recitativo.

Nie masz jak w lecie święta niedziela,
 Dzień odpoczynku, chwila wesela!
 Gdy dzwon kościelny jutrznię wydzwoni,
 I wiatr swobodniej hula po błoni,
 I trzoda rankiem weselój ryczy,
 I człek zapomni przeszłych goryczy.
 Bo porankowych marzeń u ludzi
 Wójt kołatanem w okno nie budzi.
 Wolno ci chłopcze, podniosłszy głowę,
 Nie dbać na groźne miny wójtowe,
 Wolność się lubėj słodko zalecić,
 Wolno ci, dziewczę, głowę zakwiecić,
 W świątecznej bieli wyglądać hożo,
 Idąc w gromadce na służbę bożą.

A cóż w kościele? aż spojrzeć pięknie,
 Gdy przed obrazem gromada klęknie
 I uszanuje Twe rany, Chryste!
 Spojrzy w oblicze Matki przeczyste,
 Przy biciu dzwonów śpiewając pieśnię,
 Dusza ożyje i serce wskrześnie;
 I tak umocni modlitwa święta,
 Że żadnych cierpień człek nie pamięta.

Tylko wieczorem idąc z kościoła,
 Kiedy dźwięk skrzypiec w gospodę woła,
 I miód niedzielny myśli rozmarzy,
 Starzy biadają—zwyczajnie starzy,
 Oto w gospodzie gwar, zalecanka,
 Młodzież się rażno zwija wśród tanka;
 A otoczeni poważném gronem,
 Stary Wasili z kumem Szymonem

Trącają w czarki, kiwają głową,
Zrzedzą na ciężką biedę wioskową.

S z y m o n.

Co to będzie? ciągle deszcze,
Już zamokła niwa;
Jam połowy nie zżał jeszcze,
Żal się Boże żniwa!
A gdy zboże chybi zbioru,
Będzie głód i nędza.
Miej w zapasie czynsz dla dworu,
Kolędę dla księdza.
Żona głodna, dziatwa naga,
Spocząć ani chwili,
Za niedobór wójt wysmaga...
Złe, kumie Wasili!

W a s i l i.

Ej! pamiętam lepsze czasy,
Człowiek żył w rozkoszy,
Zboża rosły gdyby lasy,
Czynsz był kilka groszy.

S z y m o n.

Ryba w koszu, a człek w biedzie
Napróżno się sili:
Ciężkie czasy mój sąsiedzie,
Złe, kumie Wasili!

W a s i l i.

Ku gorszemu wciąż się wiedzie,
W pracy krzepną dłonie:
Ciężkie czasy, mój sąsiedzie,
Złe, kumie Szymonie!

Szymon.

Prawda... prawda... źle się wiedzie,

Lichaśmy dożyli;

Ciężkie czasy, mój sąsiedzie!

Źle, kumie Wasili!

Wasili.

Prawda... prawda... źle się wiedzie,

W pracy krzepną dłonie;

Ciężkie czasy, mój sąsiedzie,

Źle, kumie Szymonie!

Janek.

Dość jęczeć na biedę i pracę kłać mozolną!
 Drzemiecie, grajkowie! a niech was Pan Bóg kocha!
 W niedzielę, w gospodzie po pracy spocząć wolno,
 I sercu dozwolić, niech sobie hula trocha.

Starcowie! ojcowie! rozkażcie miodek wnieść!

Dziewczęta! jagódki! ja będę taniec wieść!

Wyskoczym, aż w niebie zazdrościć będą nam.

Graj stary muzyku, na struny grzywnę dam!

Wasili.

Bies licho przebędzie! Chłopaki, kółko czyńcie!
 Graj stary muzyku! dostaniesz kufel miodek
 Pamiętasz? pamiętasz? jak to przy twojej kwincie,
 W tój samej gospodzie, hasałem ja za młodu?

Starcowie! ojcowie! niezgorszy był to czas!

Dziewczęta! jagódki! nie było jeszcze was!

Z waszemi babkami gdym hasał, ziemia drga!

Graj stary muzyku, bo mi się kręci ła!

Chór.

Bóg święty odgadnie, czy się zbierzemy skoro?
 Za chwilę, za dzionek, jesienne dni niezdrowe!

Starcowie zmirają, chłopców do pracy biorą,
Dziewczęta, jagódki zesmutnieć nam gotowe.
Co przeszło, co przyjdzie zapomnim póki czas.
Ojcowie! starcowie! pobłogosławcie nas!
My w tanku rześistym wzbijem gospodny pył,
Graj stary muzyku, dopóki starczy sił!

1852. Wilno (dom Müllera).

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

M A R G I E R

UŁAMEK LIBRETTA DO OPERY.

SCENA I.

Chór Krzyżaków.

O Panie Zastępów! umacniaj nam serce,
Broń twego rycerstwa i strzeż!
Niech padną przed nami Litwini bluźnierce,
Niech krzyże zabłysną z ich wież.

W. Mistrz.

Gdy w bojach morderczych poszczęścisz mój sprawie,
Ślubuję rozszerzać Twą cześć;
Na gruzach Perkuna Twój ołtarz postawię,
I tron mój potęgi dam wznieść.
Na naszych piersiach krzyż,
Przy naszym boku miecz:
Panie! zwycięztwo zbliż,
Niech Litwa pierzchnie wstecz.

(Słysząc sygnał trąby.)

Chór.

Na naszych piersiach krzyż,
Przy naszym boku miecz:
Panie! zwycięztwo zbliż,
Niech Litwa pierzchnie wstecz.

(Słysząc drugi sygnał.)

W. Mistrz.

Słyszę sygnał po sygnale,
Ktoś przynosi wieść o Litwie.
Ja na chwilę się oddalę,
Wy czuwajcie na modlitwie.
Rycierzami wszak jesteście,
Wam niewolno drzemać gnuśnie,
Na modlitwie serca wznieście —
Biada temu, który usnie!

(*Odchodzi.*)

SCENA II.

CIŻ, oprócz MISTRZA.

Chór Krzyżaków.

Na naszych piersiach krzyż,
Przy naszym boku miecz:
Panie! zwycięstwo zblíž,
Niech Litwa pierzchnie wstecz.

*Jeden z Komturów. (po odejściu mistrza
tonem modlitwy śpiewa z szyderstwem)*

My Bogu oddamy Litwinów świątnice,
Mistrzowi potęgę i gród,
A dla nas ich ruble, ich krasne dziewice
I stary kowieński ich miód.
Co miało podsycać zniczowe ogniska,
Niech puchar rycerski osusza;
A piękną pogankę gdy Krzyżak uściska,
To będzie zbawiona jój dusza.

Chór.

Na naszych piersiach krzyż,
Przy naszym boku miecz:
Prożno ze złości drzysz,
Perkunie! z Litwy precz!

K o m t u r.

Dosyć wam, bogowie, w złudzeniu zwodniczym
 Mieć z Litwy korzyści i cześć!
 My będziemy Perkunem, my będziemy jej Zniczem,—
 Héj bracia! czas toast nam wznieść!

*(Zawsze klęcząc, dobywa z pod płaszcza skózaną sakwę i róg bawoli,
 napełnia go winem i śpiewa):*

Wypijmy za zdrowie hamburskich handlarzy,
 Co ufni w krzyżackiej załodze,
 Co wino nadreńskie przewożą bez straży
 I dają się grabić na drodze.

C h ó r.

Niech żyje biały krzyż!
 Niech żyje wierny miecz!
 Panie! zwycięztwo zbliż,
 A użyć nasza rzecz!

(Wznoszą puławy i piją.)

Jeden z Krzyżaków *(smakując wino)*.

Na mój honor! niezła praca
 Trząść kupieckie karawany!

Krzyżak *(klęczący z daleka na straży)*.

Cicho bracia! mistrz powraca!

I n n y K r z y ż a k.

Kończmy śpiewać hymn przerwany!

K o m t u r *(modlitwa)*.

Tys pancerz na piersiach, Tys hełm nasz na czole,
 Tys nasze zwycięztwo, o Boże!
 Wzmocniłeś w potyczce Dawida pacholę,
 Dodałeś odwagi Deborze.

SCENA III.

CIŻ SAMI, w ciągu modlitwy wchodzi W. MISTRZ (poprzedzony przez herolda), za nim RANSDORF.

K o m t u r.

(Zawsze trwa modlitwa).

Czy zwalczym poganów, krzyżowi rycerze,
Niech Bogu przybywa ztąd cześci;
Czy topór litewski nam życie odbierze,
Pan dusze w niebiosach pomieści.

C h ó r.

Na naszych piersiach krzyż,
W rękach święcony miecz:
Panie zwycięstwo zbliż,
Niech Litwin pierzchnie wstecz.

(Mistrz z Ransdorfem zbliża się na przód sceny.)

M i s t r z.

Bóg niech będzie pochwalony!
Wróżba spełnia się szczęśliwa:
Oto Ransdorf — brat zginiony,
Z twierdzy Pullen k'nam przybywa.

J e d e n z K r z y ż a k ó w.

Z twierdzy Pullen??

D r u g i.

Jaką drogą
Wszedłeś w gród nieprzyjacieli?

T r z e c i.

Więc się mury zdobyć mogą?

I n n y.

Czemuż głowy ci nie ścięli?

Wszak Litwini swe toasty
 Krwią krzyżacką zwykli wznosić...

I n n y K r z y ż a k.

Sąż tam skarby?

I n n y (z cicha).

Są niewiasty?

K o m t u r (poważnie).

Czy żywności mają dosyć?

W. M i s t r z (wznosi rękę w górę).

Cisza! cisza! po kolei
 Niechaj Ransdorf nam opowie:
 Jak się zbłąkał w gęstej kniei,
 Jak porwali go wrogowie,
 Kędy wiedli do warowni,
 Co tam widział—niech rozważy,
 Jak uniknął od katowni?
 Jak się wymknął z pod ich straży?

R a n s d o r f (opowiadanie).

By uspokoić głód obozowy
 I coś dla bratniej przynieść gromady,
 Przez gęste puszcze, błotne parowy,
 Szedłem na zwiady...
 A pamiętałem ztąd niedaleko
 Strzechę samotnej litewskiej chaty;
 W starém pustkowiu miód albo mleko
 Może wynajdę... a nasze czaty,
 Gdybym się z dziczy spotkał gromadą,
 Na dany sygnał do mnie podjadą.
 Tak sobie myślę... a noc na dworze.

Brnę przez zarośla i trzęsawiska,
 Cień małej chaty czarnieje w borze,
 Z chaty przez okno światelko błyska.
 Ale nie dając serca obawie,
 W okno do chaty patrzę ciekawie,
 Tam u ogniska starzec się krząta,
 Harfa guślarska leży na ziemi,
 Zielone węże wylażą z kąta,
 A dziad je głaska i gwarzy z niemi.
 Chata mieszkalna... nikogo zgoła...
 Jedno okienko i jedno wnijscie;
 Dziad nim pomocy swoich zawoła,
 To go bardyszem uspię wieczyscie...
 Wchodzę z żelazem, z groźbą na twarzy,
 A starzec krzyknął, gdy mię postrzeże:
 —„Tuś mi morderco! — tuś Krucygierze!
 „Przysięgły wrogu moich ołtarzy!“
 I hańba wyznać: dziad siwobrody
 Rzucił się wściekle na piersi moje,
 Chrobry mój bardysz złamał na dwoje,
 I mimo zapał i wiek mój młody,
 Tak w krótkim boju zręcznie mię łamie,
 I z nóg obala, i ręce wiąże,
 Że zda się szatan, ciemności książe,
 Wzmacniał zgrzybiałe pohańca ramię.
 Zatkał mi usta, i w téjże chwili
 Uderzył w trąbę... Litwini wściekli,
 Klnąc Krucygierom, hurmem przybyli;
 Ci mię do twierdzy Pullen zawlekli.

W. Mistrz.

Kędyż wiedli? jaką drogą?
 Czy się twierdza podda w walce?

K o m t u r.

I czy głodem, czy pożogą
Łatwiej zgnębić bałwochwalce?

R a n s d o r f (opowiadanie).

Nie zgaǳem drogi w ciemnie, w popłochu...
Najprzód po grzązkiej szliśmy topieli,
Potém w jaskinię, potém do lochu,
I długo lochem, wreszcie stanęli
W sklepionej izbie.—Powietrze wolne,
Lecz bojaźń drgnęła mię tajemnicza.
Tam się paliły pochodnie smolne
I poświęcone ognisko Znicza.
Tam się tłoczyli w koło zebrani,
Straże, wodzowie, naród, kapłani,
A wszystko zbrojne w łuki, oszczepy,
W niedźwiedzie hełmy, w rogi bawole...
W środku przy wielkim kamiennym stole
Stał dziki Margier — poganin ślepy!!....
Ach! całe ziemskie i wieczne życie
Twarz jego dla mnie będzie pamiętną...
Posąg Perkuna kuty w granicie,
Na którym dzikość wyryla piętno—
Nie taki straszny...

C h ó r.

Tu głód nam dokucza, skwar piecze,
Marniejem wśród gnusnej odwłoki,
A nasze topory i miecze
Spragnione litewskiej posoki.

K o m t u r.

Niech dziś przed nieszporną godziną
Krzyż w Pullen zabłyśnie nad wieżą.

W. M i s t r z.

Rozkażcie niech w trąby uderzą,
Niech wielki mój sztandar rozwina;
Niech herold komturom zapowie,
Że rada wojenna poczęta;
Niech przyjdą tu wszyscy wodzowie
I mężne niemieckie książęta.

(Herold odchodzi.)

C h ó r.

Tu głód nam dokucza, skwar piecze,
Marniejem wśród gnusnej odwłoki,
A nasze topory i miecze
Spragnione litewskiej posoki.

S C E N A IV.

CIŻ SAMI—wchodzą wodzowie krzyżacy—oraz książęta niemieccy
LUDWIK BRANDEBURSKI, FILIP hrabia NAMUR
i hrabia HENNEBERG.

Przybyli (uchylając czoła).

Cześć nasza wielkiemu mistrzowi!
I pokój wam bracia rycerze!

W. M i s t r z.

Czy wszyscy na radę gotowi?
Niewiele nam czasu zabierze.

*(Mistrz i wodzowie usiadają—reszta rycerstwa stoi w głębi.
Ransdorf na przodzie sceny z założonemi na krzyż rękami.)*

W. M i s t r z.

Dobra wieść przyszła dzisiaj o swicie,
Której wam mężni udzielić mogę:

Brat Warner Ransdorf, co go widzicie,
Odkrył tajemną do Pullen drogę.

Na oblężeniu czas tylko ginie,
Zawzięty Margier trzyma nas z dala,
Pora już zdobyć dziką jaskinię,
Pora wypłenić dzieci Baala.

Więc dziś uderzyć szturmem wypada,
Zamienić mury w gruz i pustkowie.
Mówcie—czy taka i wasza rada,
Zacni książęta, mężni wodzowie?

Wodzowie (*jednogłównie*).

Szturmem uderzyć nim czas uciecze,
W gruzy spustoszyć bez żadnej zwłoki!

Chór Krzyżaków.

Nasze topory i nasze miecze
Dawno litewskiej pragną posoki.

W. Mistrz.

W twierdzy, jak slysze, narodu wiele
I naród mężny—lecz mniejsza o to:
Nasze wojennéj sztuki fortele
Zatryumfują nad ich prostotą!

(*Do hrabiego Namura:*)

Najprzód ty mężny hrabio Filipie
Z tysiącem ludzi pójdiesz na wały;
Kiedy się na was tłuszcza wysypie,
Ja zbrojny w kusze i samopały
Pośpieszę w pomoc...

(*Hrabia Namur kłania się na znak zgody.*)

W. Mistrz.

A gdy Litwini

Będą obroną zajęci szczerze,

Poezje Kondrat. Tom IV.

Z drugiej się strony napad uczyni:
Tobie to zlecam Hennenbergerze.

(Hennenberg klania się.)

W. Mistrz.

A gdy odgłosy wojennych krzyków
Z obojój strony silnie się wzmogą,
Wtenczas Ransdorfie z hufcem łuczników
Wpadniesz do twierdzy tajemną drogą.

(Ransdorf stoi nieruchomy.)

Wtedy zapalisz smolne łuczywa
I puścisz ogień po całej strzesie.
W tobie nadzieja nasza spoczywa,
Skutek ci łaskę naszą przyniesie.

(Ransdorf zawsze stoi nieruchomy.)

W. Mistrz *(do wodzów.)*

Rozwińcie sztandary—czas w drogę—
Ransdorfie, łuczników bierz straż!

Ransdorf.

Ja mistrzu iść z wami nie mogę
I drogi tajemnej nie wskażę.

W. Mistrz.

Nie pójdziesz?

Ransdorf.

Ja tu zostanę.

W. Mistrz.

Co znaczy? do czego to zmierza?

Ransdorf.

Bo moje sumienie związane
Przysięgą i słowem rycerza.

W. Mistrz.

Przysięga cię wiąże... w tój chwili...

Zbyt jesteś drażliwy z twą duszą!

(Uderzając po rękojęści miecza:)

Tam ciebie przysięgać zmusili,

Tu złamać przysięgę przymuszają.

Chór Krzyżaków.

Niech idzie, wskazuje nam drogę,

Lub oddać zuchwalca pod strażę.

Ransdorf.

Ja bracia iść z wami nie mogę

I drogi tajemnej nie wskażę.

W. Mistrz.

Idź z bracią! powinność twa święta,

Oporu nie ścierpię już dalej.

Ransdorf *(ze wzruszeniem).*

Choćbyście zakuli mię w pęta,

Choćbyście mnie na śmierć skazali!

Jeden z Krzyżaków.

On słaby... drżą pod nim kolana...

Ognisty rumieniec na twarzy...

To siła nieczysta szatana,

To czary litewskich wróżbiarzy.

Chór Krzyżaków.

To czary litewskie! to czary!

Szatani się na to uwzięli,

By zgmatwać Krzyżowców zamiary,

Ocalić Perkuna czeicieli.

Jeden z Krzyżowców *(z urąganiem).*

Już piekło co zechce uczyni,

Ciemności weseli się książę:

Poganka w litewskiej jaskini
Przysięgą rycerza nam wiąże.

W. Mistrz.

Przysięga pogańskiej niewieście
Na chrześcian braci twych głowy!
O! wielce sumienni jesteście,
Ransdorfie! rycerzu krzyżowy!

.
1853. Wilno (dom Downara).

CHATKA W LESIE.

DZIWACTWO DRAMATYCZNE

W PIĘCIU USTĘPACH.

OSOBY:

MARYA.

P. HENRYK, literat-poeta.

P. CZCIONKA, księgarz-edytor.

P. Sędzia PŁODOZMIAN.

PARĘ SŁÓW DO CZYTELNIKA.

Hoc erat in votis: modus agri non ita magnus
Hortus ubi, et tecto vicinus aquae fons
Et paululum sylvae super his foret.

Nie bez obawy przedstawiamy na sąd czytelników skromny wyskok fantazyi, występując po raz pierwszy w obecj dla nas aż dotąd formie dramatycznej, lubo właściwie mówiąc *Chatka* nasza nie pisana wedle wymagań teatralnych i niemająca żwawej akcyi, nie może się uważać ani za komedję, ani za nasz debiut w zawodzie dramatycznego pisarza. Jest to po prostu kilka dyalogowanych kartek, na traf wy-

dartych z księgi ludzkiego życia, całość sklejona bez planu, części nie dosyć pospajane, ustępy bez przechodów, charaktery bez dostatecznego rozwoju — słowem fantazyja. Taką chciał ją mieć autor. Nie raczą więc czytelnicy potępiać téj drobnostki, iż nie została tém, czém nie chciała i nie mogła zostać.

Tyle o formie. Co do rzeczy, wyznajemy: że *Chatka* nasza jest owocem chwili zwątpienia, — że my, co dotąd woleliśmy raczej kreslić dodatnie niż ujemne strony towarzystwa, pisaliśmy te kartki, nad któremi się czytelnik zaśmieje, z goryczą i ze łzą w oku. Dusza, co przeznała lub przeczuła całe nicestwo próżności świata — czegoż wymaga? Ustronia, mierności, wzajemnego serca i kęsa chleba okupionego znojem. Czyż, powiecie, można mniej i poczciwiej pożądać na ziemi? — O nie! wierzcie mi — to są żądania tak zuchwałe, tak trudne i prawie niemożliwe do spełnienia, iż przy nich skromnemi się wydają najzuchwalsze marzenia pychy: bo tamte chcą tylko upojenia, tylko pozorów szczęścia ziemskiego — a my w naszej *Chatce* pragniemy ni mniej ni więcej jak samego szczęścia, ni mniej ni więcej jak wyjątku od ogólnego prawa cierpienia — „*Spinas et tribulos germinabit tibi terra*“ (Genes. III. v. 18).

Ręka Pańska wciąż nas dotyka — niekiedy bezpośrednio, i te ciosy są łagodniejsze, bo wiarą można osłodzić ich boleść; niekiedy za narzędzie swój chłosty używa naszych bliźnich — to są razy przykrzejsze do zniesienia, bo zdolne wyziębic z serca najpiękniejszą z cnot: miłość bliźniego. Chrześcianin nie upadnie w zwątpieniu; ależ godzi mu się jęknąć — wszak i Chrystus jęknął na krzyżu.

Tęskne wrażenie, jakie się rodzi po przeczytaniu *Chatki w lesie*, tuszymy sobie, że się nam uda złagodzić w drugiej jej części, którą kiedyś napiszemy — tam dopowiemy ostatni nasz wyraz o szczęściu ziemskim.

Nie pospolitszego u nas, jak domyślanie się osób, z których pisarz brał (jak się mówi) swoje *wzorki*. Uroczyscie zapewniamy, że nasz Czcionka, Płodozmian, Henryk, nie są brane z żadnych pojedynczych wzorków, — są to typy zbiorowe — jak dalece nacechowane wyrazem prawdy? niech sądzi pobłażliwy czytelnik. Co do charakteru Maryi, lękając się, aby nas nie pomawiano o jego skrzywienie, zaraz po napisaniu czytaliśmy *Chatkę* kilku kobietom, których cenimy trafność zdania i znajomość serca — i wszystkie dały wyrok, że niema fałszu w tym charakterze. Wprawdzie żadna nie chciała się przyznać do podobieństwa z Maryą *po roku*; lecz każda ukazała nam swoją sąsiadkę, bardzo do bohaterki naszej podobną, i *zapewniała, że fakt jest możliwy*.

Po tém szczerém wypowiedaniu się przed czytelnikiem, polecamy naszą pracę jego pobłażliwej opiece.

CHATKA W LESIE.

USTĘP PIERWSZY.

(*Rzecz w ogrodzie publicznym.*)

HENRYK, CZCIONKA.

C z c i o n k a.

Raduję się, że pana napotykam wreszcie.

Ho! ho! latasz łaskawco! masz intryżki w mieście:

Czemu nie? młodzi ludzie... bardzo temu wierzę.
 Ja byłem razy ze trzy na pańskiej kwaterze,
 A zastać go nie mogłem.

Henryk.

Co chcesz, panie Czcionka?

Człowiek idąc bez myśli, łąco się zabłąka.
 Chodziłem na brzeg rzeki, splondrowałem góry.
 Śmieszna to rzecz doprawdy ta miłość natury:
 Codzieln patrząc na widok jeden i ten samy,
 Nigdy się nie napatrzym, ani nasłuchamy.
 Kolej dnia i nocy, wieczoru i ranka,
 Zdaje się już zużyta, znana powtarzanka:
 Wiosna jest córką kwietnia, jesień listopada,
 Latem słońce dopieka, a zimą śnieg pada;
 A jednak w tych kolejach niebieskiej budowy
 Codziennie i corocznie dopatrzym wdzięk nowy.
 Słuchaj jak szumią drzewa, jak pluchocą wały,
 Codzieln ci coś doszepcą, co nie doszeptały;
 Patrzaj na stare słońce — od tylu stuleci
 Jednostajnym sposobem ogrzewa i świeci,
 A jednak ile razy z po za chmury błysnie,
 Zawsze ci słodki uśmiech na twarzy wycisnie,
 Codziennie zda się piękniej wschodzi i zachodzi.

Czcionka.

Najzupełniejszą słuszność mówi pan dobrodziej:
 Natura, jasność słońca i bladeść księżycy,
 Nie spada ze swój ceny... to jest... nie przesycyca.
 Jój miłe, lubo zawsze jednostajne zmiany,
 Porównałbym do książki dobrze napisanej,
 Którój co rok edycyca dostarcza się nowa
 I z Lipska, i z Poznania, z Warszawy, ze Lwowa,

Jednak wciąż ją kupują mędrcomie i prości,
 Bo stała się potrzebą naszej publiczności;
 Zawsze będzie dla ducha pożyteczną strawą,
 Czy ją wydasz *in quarto*, albo *in octavo*.
 Otoż z powodu książek, zapytam nawiasem:
 Co pisze pan dobrodziej?

Henryk.

Próżnuję tymczasem.

Lubię pochmurną jesień, jój mgliste poranki,
 Lubię z dobrymi ludźmi się do pogadanki.
 Tak przechodząc kolejno od gwaru do ciszy,
 Czasem się coś wymarzy, czasem coś posłyszysz,
 Niekiedy dobra książka do ręki mi wpadnie,
 To wszystko w głębi duszy gromadzę bezładnie:
 Bo z owych wrażeń życia—smutno czy radośnie,
 Zawsze się treść wysączy i korzyść urosnie,
 Albo sercu pociecha, lub głowie nauka.

Czcionka.

A! teraz zrozumiałem... to pan wrażeń szuka,
 I z książki, i z natury, i z przyrody całej
 Do przyszłego utworu zbiera materyały.
 Niech mi się godzi spytać: czy ten utwór śliczny
 Będzie w guście poważnym, czy humorystyczny?
 Czy wierszem? czyli prozą?

Henryk.

A broń Panie Boże!

Ja teraz nic nie piszę, nic w myślach nie tworzę;
 Zbieram sobie bez celu wrażenia i fakta.

Czcionka.

Teraz pan nic nie pisze... chyba pod kontrakta.
 Trzeba pańskiemu pióru z czémś wystąpić chlubnie,

Na kontraktach we Lwowie, Kijowie i Dubnie.
 Co teraz mamy?... sierpień... aż mię strach ogarnia!
 Wrzesień zajmie cenzura, październik drukarnia,
 A tu jeszcze dla lepszej na oko odznaki,
 Wypadnie dać rycinę lub drzeworyt jaki;
 Na wszystko trzeba czasu... Dalej panie, dalej!
 W zasłużony kałamarz atramentu nalęj,
 Śpiesz się, śpiesz pan dobrodziej dobijać wawrzynu!
 Od abstrakcyjnych marzeń czas wziąć się do czynu!
 Co zaś do kosztów druku, pomówim w tym względzie.

Henryk.

Ja nic nie będę pisał.

Czcionka.

Pan pisać nie będzie?

Henryk.

Nie myślę.

Czcionka.

Pan nie myśli?

Henryk.

Powtarzam raz trzeci.

Czytałeś pan o czarjce bajeczkę dla dzieci?
 Ja nie chcę brać za pióro przymuszoną dłońią,
 Ja nie chcę gonić natchnień...

Czcionka.

To niech pana gonia!

Zresztą... po co te żarty?.. mnie oczy nie mylą:
 Oto w pańskim mieszkaniu, kiedyś był przed chwilą,
 Spojrzałem... broń mię Boże!... bez żadnej rachuby,
 I widziałem na stole jakiś poszyt gruby.

Henryk.

Nic z tamtego sposzytu obcy nie skorzysta:
To prosto mój pamiętnik... to rzecz osobista,
To pismo nie dla druku, nieprzedażna praca.

Czcionka (na stronie).

Hm... autobiografia... to dobrze popłaca;
Można wydać z portretem...

(Głośno:)

Pan dobrodziej mówi,
Że swój teraz poświęca czas pamiętnikowi;
O czém to proszę pana?

Henryk.

O wszystkim, mój panie.

Czcionka.

W rodzaju fantastycznym...

Henryk.

Mniejsza o nazwanie.

Skupiam wrażenia życia, rozkosze i ciernie.
Ręka drży mi gdy piszę, a maluję wiernie:
Bo tu każdy obrazek, jak się w głowie kręci,
Rys po rysie przenosząc, maluję z pamięci.
Życie, to rzecz ciekawa, kto je pilno zbada:
W powszednich jego chwilach jest dramat nielada,
A cóż w dni uroczyste lub w dni ciężkiej próby?
Oddaj je tylko wiernie, bez żadnej ozdoby,
Toć gotowi powiedzieć, że zmyślasz z przesadą—
Przy nim dramat Szekspira wyda się za błado.
Dni nasze jak cień giną, więdnieją jak trawa,
A doprawdy żal wspomnieć, bo to rzecz ciekawa!
Co tu różnych obrazów! co tu różnych ludzi!
Jedno rzewne westchnienie, drugie śmiech obudzi,

Albo dumkę wywoła, albo przeszłość cała,
Doświadczenie dawniejsze na przyszłość podziela.
Wierzaj mi panie Czcionka, uchylmy zasłonę,
W pamięci znajdziem skarby nieukorzystnione.

Czcionka.

Skarby znajdziem? No proszę! któżby ich nie chwytal?
Dla czegoż mają leżeć jak martwy kapital?
W obrót je panie, w obrót! to za krótką chwilę
Dadzą *alterum tantum*, to jest drugie tyle.

Henryk.

Wielką myśl powiedziałeś.... Tak, wzorem handlarza
Podwaja własne życie, kto przeszłość rozważa.
Weźmy pamiątki życia, spiszmy je najściślej,
Wszystko, co się przecierpi, przekocha, przemysli;
Wykreślmy wierny obraz, choćby w mniejszej skali,
Ludzi, co z nami żyli, miejsc, gdzieśmy bywali;
Wpuśćmy tu woń powietrza, promień słońca złoty, —
A potem w dzień zwątpienia, smutku czy nudoty,
Kiedy w życiu obecnym pocieszenia niéma,
Weźmy kartkę po kartce przesnuć przed oczyma.
A rozważając życia minione koleje,
Gdy się nieraz zapłacze lub szczerze zaśmieje,
Gdy się migną przed nami młodociane lata,
Gdy serce po dawnemu w piersiach zakołata,
Gdy twarze niegdyś lube zabłysną radośnie —
Toć i wrażeń przybędzie, i życia przyrośnie.
Jak żeglarz nad dziennikiem ubiegłej żeglugi,
Podróż naszego życia odprawim raz drugi.

Czcionka.

Podróż.... to bardzo pięknie.... ja sternikiem służę:
Nasza publiczność lubi ciekawe podróże.

Ale przebacz, że prawdę wyswiecę ci naga:
Turczyn wojażujący i Jakób Arago,
 Toć oba podróżnicy, oba piszą dziwa;
 Ale *Turczyn* w księgarni stosami spoczywa,
 A za *Podróż Arago naokoło świata*
 Mniej więcej... codzień prawie... oberwę dukata.
 Bo dzisiaj wiek postępu.

Henryk (*zamyślony*).

Tak.

Czcionka.

Wiek dziewiętnasty:

Dziś publiczność rozezna, co kwiat, a co chwasty
 Od rzeczy mdłych, bezbarwnych czytelnicy stronią;
 Co jest kwiatem, niech będzie z narkotyczną wonią,
 Co jest tylko pokrzywą... jest miejsce i dla niej,
 Niech tylko pali, piecze i aż do krwi rani, —
 Wszystko dobrze zapłaca, przyjmą jak najśłodziej,
 Lecz trzeba mocnych wrażeń... słyszy pan dobrodziej?
 Naprzykład, podróż pańska.

Henryk (*ocyka się z zamyślenia*).

Jaka podróż, panie?

Czcionka.

Ach, przepraszam... pamiętnik... poufne wyznanie...
 Coś w guście Lamartina...

Henryk.

W moim własnym guście.

Czcionka.

Tworzyście nowy rodzaj... a i owszem!! stwórzcie;
 Niech tylko każda postać, którą nakreślicie,
 Ma... jakby to powiedzieć?... ruch, wyraz i życie;

Niech się w każdój postaci dobitnie i rzeźwo
 Jój własne charaktery, jój słowa odezwą...
 Ja, widzi pan... w tych rzeczach nie jestem zbyt biegły
 Lecz takie wymagania jakoś się dostrzegły
 W pismach krytyków naszych... pan rozumie przecię?
 W *Dzienniku* i w *Przeglądzie*, a nawet w *Gazecie*;
 A z *Dzienników*, z *Przeglądów*, jak to w handlu widno,
 Dzisiaj się i publiczność uczy być wybrędną.
 Czy pan to uważałeś?...

Henryk (*machinalnie*).

Widzę wyśmienicie.

Czcionka.

I według tych wymagań kreśliś własne życie?
 To pięknie! bardzo pięknie! zgoda co do joty!
 Daj mi pan w kilku słowach szkic swojej roboty?

Henryk.

Chcę, widzisz panie Czcionka, moją przeszłość całą
 Owiąć takim powietrzem, jak się oddechowało
 W moje lata dziecinne. Niech z kart pamiętnika
 Wieje aromat łąki, gdzieś łapał konika;
 Chciałbym wydać ten odgłos na rzecznej zatoce,
 Jako fala pienista po żwirze pluchoce;
 Niech olcha gwarzy z olchą swych liści szelestem;
 Niech mi się zda samemu, że ja dzieckiem jestem,
 Że na kiju ojcowskim haruję ochoczo;
 Niech mię lube dzieciństwa postaci otoczą,
 Niech mię upominają, że m chłopak swawolny.
 Chcę oddać dźwiękiem słowa pierwszy dzwonek szkolny;
 Niechby moich dzisiejszych czytelników łono
 Zadręgało razem zemną radością szaloną,
 Gdy m pierwszy raz nauki skończył w imię boże,

Gdy pierwszy list pochwalny rodzicom przywożę;
 Chcę, aby w pamiętniku ów moment ocalał,
 Gdy ojciec list przeczytał i łzami się zalał.
 Chcę utrwalić piskliwe organy u fary,
 Gdym jeszcze służył do mszy, a nasz pleban stary
 Wyciągał „Święty Boże!“ całą siłą piersi;
 A ludzie w nabożeństwie gorliwsi i szczerzi,
 Uniesieni modlitwy władzą tajemniczą,
 W sto głosów niedobranych na odpowiedź krzyczą.
 Lecz Bóg nakłaniał ucha do prostego wrzasku...
 Tak to chciałbym obrazek prześnić po obrazku, —
 Choćby tu nie błyszczały kolorytu dziwy,
 Lecz każdy byłby rzewny, bo każdy prawdziwy.

C z c i o n k a (na stronie).

Hm! obrazek domowy, nakreślony z duszy,
 Będzie bujnego druku na kilka arkuszy.
 Czuję węchem wydawcy, że to niezła proba,
 Że prześwietna publiczność dziełko upodoba.
 Cóż dalej? słucham pana.

H e n r y k.

Dalej, panie Czcionka,

Kolejno moje oko w przeszłości się błąka,
 I czuję niepojęte artysty rozkosze,
 Kiedy wszystkie jój rysy na kartę przenoszę.
 Drży ręka, gdy się biorę za podobną pracę,
 Oko łzami zapływa, a serce kołace.
 A jednak wśród tych wzruszeń odżywam najśłodziej,
 A jednak obraz wierny z pod pióra wychodzi:
 Bo obraz w méj pamięci wyżył się pomału,
 Przystroił się w tęczowe barwy ideału.
 Dziś dobitniej się może niż wtenczas odsłania

Kronika mojej wiary, mego wychowania,
Koleje pierwszych wrażeń: jak? kiedy? dla czego?
Rozwój najdroższych uczuć, co mi serca strzegą,
Co mi nie dają zginąć w zwątpienia obłędzie —
Na przykład: pierwsza miłość...

C z c i o n k a.

Ho! i miłość będzie!

A przyznam się — począłem był tracić otuchę,
Bo psychiczne badania zwykły bywać suche;
Filozof je oceni, lecz ogół nie kupi.

H e n r y k.

Nie bój się!.. mój pamiętnik, to nie cmentarz trupi:
Tam na tle młodych rojeń, we właściwej szacie,
Ruszają się i żyją prawdziwe postacie.
Tam postać mojej matki, tam siostry, tam krewni,
Tam jest niejedna scena, co serce rozrzewni;
Mój dyrektor, i pleban, i włościanie z wioski,
I arendarz brodaty, faworyt ojcowski,
I szlachta, co poluje, i dziewczki, co przędą,
Jest nawet organista, co jeździ z kołędą.
Każdą postać maluję tak wiernie, tak święcie,
Że ją poznasz z oblicza, poznasz po akcencie,
Każdą łatwo odgadniesz po mowie i głowie,
Czego się nie domyślisz, serce ci dopowie.
Jedna tylko jest postać niedokładna nieco,
Bo serce nadto drżało...

C z c i o n k a (ze śmiechem).

Tę postać... kobiecą
(Widzisz pan, żem się rzeczy domyślił w tej chwili)
Jużbyśmy w edytorskim przypisku skreślili.

Henryk (z zapalem).

Ty skreślisz, panie Czcionka? tyl.. harpagon blady?!

Czcionka.

Ja, com czytał romanse, powieści, ballady;
Wszak w poetach miłości jednostajna miarka.

Henryk (z zapalem).

Choćbys serce znał Tassa, choćbys znał Petrarka,
Choćbys oczy wyslepił w łacińskim Nazonie,
Nie zdołasz oddać nieba, co w jój oczach płonie!
Słuchaj... ja byłem stary... byłem bardzo stary...
Wśród bolesnych doświadczeń, wśród cierpień bez miary,
Za życia kamień grobu już czułem nad głową, —
Ona tylko spojrziała... jam odżył na nowo!
I odrzuciłem wszystkie moich cierpień roje,
I powagę lat moich, i marzenia moje;
A wtórując szczebiotom niewinnego dziecka,
Anim poczuł jak mija godzina zdradziecka,
Jak mija cały dzionek... przyszedł zachód dzionka...
Jam przecię człek statysta — znasz mię, panie Czcionka,
I zadziwisz się pewno: zkąd mi zapal służy?
Jam biegał na wyścigi wpośród malw i róży,
Bo to było w ogrodzie — był wieczór majowy...
Wtém — Bóg wie zkąd tęsknota obwiała nam głowy,
I usiedliśmy razem pod wierzbą pochyłą,
I bolesne westchnienie dwa serca przeszło,
I nie mogliśmy zgadnąć, choć nam głowę utnij,
Dla czegośmy weseli? dla czegośmy smutni?
Dziwne serce człowieka...

Czcionka.

To dalipan dziwno!

Ja sam słysząc od pana tę powieść naiwną,

Czułem, jak dreszcz tajemny przebiegł po méj duszy...
 Co pan chcesz za pamiętnik, licząc od arkuszy?
 Proszę mieć na uwadze, że to wydać myślę
In octavo minori, nie drukując ściśle.

Henryk.

Co pan chcesz? nie rozumiem.

Czcionka.

Chcę nabyć tę pracę.

Henryk.

Ależ to nie na sprzedaż!

Czcionka.

Ja dobrze zapłacę:

Pięć talarów za arkusz... zresztą, mniejsza o to,
 Sześć talarów zapłacę i wydam z ochotą;
 Edycyjka przepyszna, okładka różowa.

Henryk.

Złe widać, panie Czcionka, pojąłeś me słowa:
 Toż moja osobistość, moja dusza przecię!
 Chcesz, abym własne serce stawiał na tandencie;
 Ja tego nie sprzedaję!

Czcionka.

Widzisz pan, żem skory:

Za jeden arkusz druku *octavo minori*
 Płacę siedem talarów—widzisz pan, że dużo.
 Dzisiaj trudno o pieniądz, dziś czasy nie służą;
 Drukujemy, sprzedajemy, a straty ponosim.

Henryk.

Lecz panie...

Czcionka.

No... pół-ósma—niech już będzie osiem;
 Dawaj prędziej rękopism!

Henryk (powstając z urazą).

Co pana ośmiela

Grać tutaj jakąś rolę ducha-kusiciela?
 To pismo ciekawości niczyjéj nie wzbudzi:
 Kresliłem je dla siebie, nie dla obcych ludzi.
 Pan myślisz, że dam spocząć dla marnego zysku
 Świętokradzkiej żrenicy na cichém ognisku?
 Że dla waszój zabawki choć w karykaturze
 Najdroższe memu sercu postaci powtórzę?
 Że dla was własne piersi i serce otworzę,
 Byście anatomiczne zatapiali noże,
 Abyście lżę bolesną, kiedy oczy gryzie,
 Mogli poddać chemicznej ścisłej analizie?
 Ja nie wyjdę na pokaz przed publiczne grono,
 Niegodzienem zaszczytu, by się mną trudniono.
 W serdeczny mój pamiętnik całą duszę włożę;
 Lecz to rzecz nie dla druku, panie edytorze!
 Ja siebie nie sprzedaję.

Czcionka.

I to mię nie dziwi:

Ile znałem poetów, wszyscy są drażliwi.
 Czyż ja panu krzywdzące przełożenia robię,
 Byś wychodził na pokaz we własnej osobie?
 Owszem . . . jeszcze rzecz sama na wartości zyska,
 Gdy się odmienia miejsca i osób nazwiska;
 A że tu pozwolona zupełna swoboda,
 Toć pan dla niepoznaki coś ujmie, coś doda.
 W przedmowie się zazwyczaj wiadomość udziela,
 Że to niby pośmiertna praca przyjaciela,
 Odszukana w papierach — zresztą moja bieda!
 Jakoś się wydrukuje, jakoś się wyprzeda.

Trzeba tylko obmyślić jakiś tytuł gładki,
 Naprzykład: *Podróż życia*, lub *Moje notatki*;
 Jak pan chcesz, bo co do mnie, byłbym za *Podróżą*.
 Widzę dobry punkt wyjścia, widzę ognia dużo;
 Gdy autor o swój pracy rozprawia z zapalem,
 Musi być rzecz niezgorsza — i czarno na białém.
 Prawdaż?!

Henryk.

Gorsza, czy lepsza, ale nie na sprzedaż.
 Nie dam panu téj książki.

Czcionka.

Jakto!! pan mi nie dasz?

Henryk.

Bo to rzecz osobista, to rzecz dla mnie święta.

Czcionka.

Pan się, widzę, zbytęcną sumiennością pęta.
 Potrzeba tylko dodać wstęp i zakończenie,
 Zmienić nazwiska osób.

Henryk.

Ja nic nie odmienię

I drukować nie myślę.

Czcionka.

Nie??

Henryk.

Za nic na świecie!

Czcionka.

Dałbym panu zadatek w brzęczącej monecie.

Henryk (z uśmiechem).

Schowaj twój pieniądz w worek, ja książkę w zacisze.

Czcionka (na stronie).

Nie przyjmuje pieniędzy . . . to pierwszy raz słyszę!

(Głośno:)

Namysł się pan na koniec — pośpieszmy z umową.

Henryk.

To książka nie dla druku.

Czcionka.

To ostatnie słowo?

Henryk.

Ostatnie i stanowcze.

Czcionka.

Nie masz z panem rady!

Bądź pan zdrow, kiedy moje odrzucasz układy.

Ja śpieszę, nie mam czasu.

(Ścisła mu rękę i odchodzi).

Henryk.

Żegnam, panie Czcionka!

Ja sobie pójdę słuchać, jak wodospad brząka;

Pójdę. . . .

Czcionka *(wraca)*.

Za pozwoleniem — jeszcze jedno słówko:

Ja chcę kupić rękopism, ja płacę gotówką.

Odmawiasz pan?

Henryk.

Odmawiam.

Czcionka.

Ha! to trudna rada!

Więc przynajmniej o jedno prosić mi wypada:

Byś tego pamiętnika, z którym tak się biedzę,

Nie odstąpił, broń Boże, mojemu koledze.

Ja, albo nikt nabywcą — daj pan słowo?..

Henryk.

Zgoda!

Przyrzekam, że się nigdy do druku nie poda.

Czcionka.

A jeśliby przypadkiem, jeśli po namyśle,
Panbyś się zdecydował na projekt, co krészę;
To wtenczas. . .

Henryk.

Obaczymy — za rok, za dwa lata.

Czcionka (*odchodząc, na stronie*).

Jak mu grosza zabraknie, to sam zakołata.

USTĘP DRUGI.

M A R Y A, H E N R Y K.

Marya.

Ty milczysz, jakbyś nierad, żem dzisiaj wesola,
Wiesza się myśl pochmurna u twojego czoła.
Czy mię kochasz?

Henryk.

Och, kocham całą duszą siłą!

A cóżby memu życiu radością świeciło?
Zkądżebym czerpał siłę na ciernistą drogę?
Na świecie duszno ... chłodno — ja tu żyć nie mogę...
Och! gdyby nie uczucie, którém żyję cały!
Tu niema dość powietrza na oddech zbolały!
Ja ciebie muszę kochać całą mą istotą.

Marya.

Kochasz z musu — dziękuję! — ale mniejsza o to!
Czy wierzysz w moją miłość? — odpowiadaj szczerze.

Henryk.

O! wierzę moja luba, jak we świętość wierzę!
Tą wiarą tylko żyję, tą wiarą się pieszczę. . .

Marya.

A przecię jesteś smutny.

Henryk.

Och! bo smutniej jeszcze
Być szczęśliwym jak w raju, i żegnać się z rajem,
I nie czuć się w możności dać szczęście nawzajem.

Marya.

Jakto?

Henryk.

Posłuchaj, luba! jam zawinił srodze,
Żem ciebie śmiał pokochać, że tutaj przychodzę,
Żem rozdmuchał w twém sercu uczucia żarzewie. .
O twojém przywiązaniu ani ojciec nie wie,
Ani świat się domyśla.

Marya.

To i cóż za bieda?

Alboż myślisz, że ojciec méj ręki ci nie da?
On, co ciebie tak ceni, szacuje i kocha!
Zresztą, jeżeli widzisz, że to zdrożność płocha,
Że się czasem widujem w tajemnym sposobie,
Mów mi . . . mów mi, mój luby, ja co zechcesz zrobię.
Pójdę zaraz do ojca, opowiem rzecz całą,
Jak to się pokochało, jak miłość wyznało;
Kto kocha pełném sercem, całą duszy mocą,
Nie ma się czego wstydzic, ani lękać o co.
Ja ci chętnie powierzam przyszłość mojej doli;
Ojciec wszystko pochwali, — na wszystko zezwoli;
Czegoż tu więcej trzeba?

Henryk.

O lube ty dziecię!
Tobie trzeba dostatku i szczęścia na świecie,
Twoja myśl taka czysta, dusza tak niewinna,
Samém szczęściem na ziemi oddychać powinna,
A ja cóż ci dać mogę?

Marya.

Czegoż trzeba jeszcze?
Dasz mi serce wzajemne, dasz mi imię wieszczę,
Toż nam duszę zapełni, próżność zadowolni.
Będziemy sobie razem weseli, swawolni,
Poprzestaniem na chlebie i na niskiej strzesie.

Henryk.

Ja nie mam własnej strzechy.

Marya.

To kup chatkę w lesie.
Małą, z niskimi okny, otoczoną sosną.
Wkoło skopiem ogródek... tam kwiatki wyrosną;
Zaprowadzim rój pszczółek w gospodarstwo nasze,
Potém parę gołębi wpuścim na poddasze;
Kupimy parę krówek — toć będzie i mleko;
A w rzece, co za domem płynie niedaleko,
Pluchotać będą rybki, pływać ptactwo wodne:
Czyż jeszcze takie życie niedosyć wygodne?
Wszak my cichój natury wychowańcy prości;
Czy nam światu zazdrościć? — niech świat nam zazdrości,

Henryk.

Lecz dola twoja świetna — rodzina zamożna...

Marya.

Czyż dostatków na szczęście zamienić nie można?
A czyż jest większe szczęście nad ustronną ścianę,

Gdzie płynie jedno życie w dwoje serc rozlane?
 W koło piękna natura, co nam oko bawi,
 Nad nami dobry Pan Bóg, co nas błogosławi.
 Słuchaj mię... w takim życiu myślami i duszą,
 Mierność... nawet ubóstwo... koniecznie być muszą;
 Będzie więcej uroku, popędu do pracy,
 Serca nam nie potoczą lenistwa robacy,
 Żwawo krzątać się będziem o wzajemnej doli,
 Jednego boleć będzie, gdy drugiego boli,
 Jedno cieszyć się będzie drugiego weselem,
 I wzajem sobie drogę kwiatami uścielem,
 Tysiącznemi drobiazgi — wzajemną przysługą...
 Obaczysz... będziem młodzi na długo, na długo!
 Marzę... ze snu raniutko wstajemy oboje,
 Ja ci kwiatki podleję i krówkę podoję,
 Nazbieram słodkich malin i poziomek w lesie,
 Ty sobie będziesz pisał co ci myśl przyniesie.

Henryk.

Albo pójdę ze strzelbą w majową pogodę.

Marya.

Przyniesiesz mi jarzábka, albo sarnię młode,
 A ja cię wyjdę spotkać... gdzieś... aż na rozdroże.

Henryk.

A ja ci za to ładną piosenkę ułożę.

Marya.

I zjemy smaczny obiad.

Henryk.

I siądziem pod brzozą.

Marya.

A ty mi coś przeczytasz wiersza mi lub prozą.

Henryk.

A ty wezmiesz rysunek lub ręczną robotę.

Marya.

Czasem z polnych stokroci wianek ci uplotę.

Henryk.

Czasem ja pójdę z sochą.

Marya.

Ej na cóż ta socha?!

Chóć zresztą nic nie ciężko, gdy kto szczerze kocha.
 Ja wezmę sierp żniwiarki — me ręce odważne,
 I całą kopę żyta za godzinę nażnę;
 I wrócimy do domu spoceni, znużeni, —
 Obaczysz, jak wesołość twarze oprómieli!
 I pobieżymy skocznie o wieczornój porze,
 I łowić żwawe rybki będziemy na jeziorze,
 Jedną wędką — nie prawdaż? jam biegła w tój sztuce;
 Wstyd ci będzie, gdy zręczniej mój haczyk zarzucę.
 I wrócimy do domu z plonem i z chychotem,
 A sen nasz będzie błogi.

Henryk.

Ani wątpić o tём!

Marya.

Czy złe życie?

Henryk.

To niebo...

Marya.

Głowa mi się pali!

Henryk.

Stworzyć niebo na ziemi... zuchwali! zuchwali!
 Czy tu takiego szczęścia doczekać się mozem?

Och! luba! z marzeniami ostrożnie jak z nożem:
Bo ci serce zakrwawia, wyssa po kropelce.

M a r y a.

A czyż nasze marzenia tak zuchwałe wielce?
Innych upaja cheiwość, albo pycha zdrożna,
A nam o chatce w lesie pomarzyć nie można?
Czyż to Boga rozgniewa, że nam będzie błogo?
Kup tylko cząstkę lasu malutką, niedrogą,
Kup ogródek do kwiatków i chatkę poziomą,
Choćby nietynkowaną, choć pokrytą słomą,
Dwie krówki, wędkę z haczkim i gołąbków dwoje, —
A już się ja o przyszłość nie a nic nie boję!
Znam ojca... on zezwoli... on pobłogosławi.
Otoż jak będą na nas patrzali ciekaw!
Jak nam zajrzą zawistni!! — lecz nie nasza wina:
A po co świat dla złota serca zapomina?
Niechże teraz zazdrości, niechaj się nam dziwi!
Jak porzucą egoizm, to będą szczęśliwi:
Wszak tacy sami ludzie jak my tak i oni,
Wszak Pan Bóg szczęścia duszy nikomu nie broni.

H e n r y k (*klęka z zapalem*).

O luba! dziecko niebios szlachetne i piękne!
Z tobą się ciernistego życia nie przełknę:
Tyś zamknęła w uczuciu wszystkie marzeń światy!
Nie straszy mię ubóstwo, bo mój duch bogaty!
Ja spełnię twoje szczęście, — o! czuję, że spełnię!
Bo kochać tak serdecznie, kochać tak zupełnie,
Kochać potęgą duszy nikt silniej nie zdoła!

M a r y a (*powstając z uśmiechem*).

Ty chciałbyś zemnie stworzyć ziemskiego anioła,
A ja prosta ziemianka — proszę cię, mój luby,

Kupując chatkę w lesie pilnuj się rachuby:
 Nie przepłacaj, to pierwsze; a twém okiem wieszczém
 Patrzej, czy dach gruntowny, by nie płynąć z deszczem;
 A ważniejszy od pierwszych, to warunek trzeci,
 Aby w lesie dość było poziomek i kwieci.
 A zresztą Bóg nad nami, dzień się boża wola.

Henryk.

Kupię ci piękną chatkę, żyzny zagon pola,
 I rzeczkę o błękitnej, kryształowej fali.

Marya.

A kiedy to nastąpi?

Henryk.

Za miesiąc najdalej.

Marya.

Miesiąc... jakież to szczęście wabi mię z daleka!
 Bądź zdrów— bądź zdrów, mój luby! bo mię ojciec czeka.

USTĘP TRZECI.

(*Mieszkanie Henryka*).

HENRYK, PAN SĘDZIA PŁODOZMIAN.

P. Sędzia (*wchodząc pogląda na Henryka, mówiąc do siebie*).

Twarcz ma pełną prostoty... lubię takie twarce.

(*Do Henryka kłaniając się:*)

Czy tu mieszka pan Henryk?

Henryk.

Co mi pan rozkaże?

Sędzia (*zawsze z ukłonem*).

Przepraszam... nie przeszkadzam.. do nóżek się ścielę...
Jestem sędzia Płodozmian... słyszałem tak wiele,
Tak wiele chlubnych rzeczy o pańskiej osobie,
Że cieszę się serdecznie i winszuję sobie
Przyjemności poznania.

Henryk.

A niechże pan siada

Sędzia (*siadając z ukłonami*).

Spotyka mię w téj chwili przyjemność nielada:
Wyczytałem w gazecie, w numerku ze środy,
Że pan szukasz nabycia wioskowej zagrody,
Majątku w stronie leśnej.

Henryk.

Majątku?? broń Boże!

Po prostu chatki w lesie, — dwa morgi na zboże,
Parę ulów na pszczoły i kawał ogródka.

Sędzia.

Majątek... mająteczek... czy chatka malutka,
To prawie wszystko jedno... Otoż...

(*Powstaje z ukłonem.*)

Co za radość,

Jego szanownym chęciom gdy uczynię zadość!
Mam właśnie mająteczek, bez gruntu, bez włości:
Mieszkali tam leśniczy, albo strzelecy prości,
Nie umieli korzystać, zwyczajnie prostacy;
Lecz tam troszeczkę gustu, a troszeczkę pracy,
Będzie złote jabłuszko opasane lasem.
Lubisz pan polowańko?

Henryk.

A poluję czasem.

Sędzia.

Tam, byle nie zbywało na dobrej ochocie,
 Są kaczechki w jeziorku, są bekasy w błocie;
 Wprawdzie błotko z jeziorkiem na gruncie sąsiada,
 Lecz to poczciwa dusza . . . będzie panu rada.
 Zresztą, pan, jak słyszałem, i wierszyki pisze,
 A nie masz dla poety jak leśne zaciszę!
 Tam wspaniałe zarośla, niebotyczne drzewa,
 Wiatery huczą w sosenkach, a słowiczek śpiewa,
 Aż dusza się rozplywa. Ale z ideału,
 Przepraszam, że na ziemię powrócę pomalutką.
 Pan tych rzeczy nie lubisz, ale trudna rada:
 Bez korzyści poziomych ideał przepada!
 Więc mówmy o korzyściach, jakie kupno niesie:
 Będziesz pan miał i grzybki, i jagódki w lesie,
 I ziółeczka lekarskie, bujne tak dalece,
 Że niezgorsze pieniążki można wziąć w aptece.
 Zresztą, dwa morgi gruntu, a łąki bez miary;
 Wprawdzie w polu piaseczek — na łące . . . wiszary,
 Zwyczajnie . . . postać lasu właściwa tym stronom.
 Ale pan masz naukę! . . . pan tęgi agronom!
 U nas kraj zaniedbany w prostocie wieśniaczęj;
 Niech nauka w pustynie zagłębić się raczy,
 A znajdzie plon szeroki, niesłychany w mieście:
 Fizyk, chemik, botanik, archeolog wreszcie,
 Ktoś jak pan, co wioseczkę rozpoznawszy trocha,
 I rozumem oceni, i sercem pokocha,
 Z cierniska stworzy róże — piękne, wonne róże.
 Jakże będę szczęśliwy, gdy panu usłużę!

(Siada.)

Henryk (z uśmiechem).

Jakaż tego obszerność?

Sędzia.

Ze trzy morgi może.

Henryk.

A czy dach nie zacieka?

Sędzia.

Chowaj Panie Boże!

Przed kilkunastu laty przeciekały deszcze,
 Więc go pokryłem słomką — ta trzyma się jeszcze.
 Ideał wiejskiej chatki! a zwłaszcza w jesieni:
 Gdy się meszek na dachu bujnie zazieleni,
 To widok malowniczy, domowy, ojczysty,
 Co się gwałtem napiera pędzla pejzażysty.
 Och! po cóż interesa ciężące na karku
 Zmuszają mię zamieszkać w podmiejskim folwarku!
 Tam, tam znalazłbym szczęście — odpoczynek, zdrowie,
 Tam, — w *Czartowej Pustyni*, — tak się chatka zowie.
 Nie zmieniałem téj nazwy — rozumiesz mię, panie!
 Bo ja kocham lud wiejski, szanuję podanie.
 W nazwie miejsca jest zawsze przeszłości oznaka,
 Musi być legendeczka, tradycyjka jaka;
 Ktoś szczęśliwszy odszuka, wybada, wyszpera:
 Długo Troja czekała na swego Homera.
 Pan to lepiej rozumiesz jako biegły w sztuce,
 Ja tylko myśl nastreczam i projekcik rzucę,
 Ziarnecko w bujnej roli, wiem, że nie przepadnie.

Henryk.

Nazwa dość malownicza, ale brzmi nieładnie.

Sędzia (*zakłopotany.*)

Jak... to można odmienić, tylko z innej temy:
Z *Czartowej* na *Czarowną* pustynię ochrzciemy,
Wszak to zmiana malutka... tylko dwie litery...

Henryk.

A dalekoż ztąd do niej?

Sędzia.

Będzie mil ze cztery.

Henryk.

Musiabym to obaczyć.

Sędzia (*powstając.*)

A i owszem! proszę!

Już panu jój zalety skreśliłem po trosze...
Choć zresztą... jeśli panie lękaś się bezdroży,
To się i tu na miejscu kontraciek ułoży;
Obustronną dogodność mając na nwaźce,
Już pan tylko zaufaj — ja pana nie zdradzę!

Henryk.

Cóż pan cenisz tę chatkę?

Sędzia.

Za ów mająteczek

Dawano mi przed rokiem, bez najmniejszych sprzeczek!..
Dawano mi... tak... dobrze... coś się w głowie kręcił..
Licząc dwa morgi gruntu, ogrom sianozęci,
Licząc zabudowania (niech się pan nie lęka),
Bo przy chatce jest jeszcze obórka małańka,
Licząc drzewka, za rośla, olszniak gęstoliści,
Kwiatki, grzybki, jagódki i dalsze korzyści,
Wszystko, co można użyć lub spieniężyć w mieście,
Dawano mi... talar' ków... trzy tysiące dwieście.

Henryk.

To za drogo mój panie.

Sędzia.

To wcale niedrogo:
Zapytaj pan sąsiadów, choćby Bóg wie kogo,
Co powiedzą o mojej Czarownej Pustyni?
Co dziś daje intratki? co kiedyś uczyni?
Za drogo!...

(Zamyśla się.)

Co tu począć?... ale mniejsza o to:
Owe dwieście talarków odstąpię z ochotą;
Więc tylko trzy tysiączki.

(Kłania się.)

To za bezcen, panie,—
I wszystkie koszta prawne, poszlina, przyznanie,
Przytém intromissyjka do ustroni w lesie,
To panu jedno z drugim... niewiele wyniesie,
Bagatelka, drobnostka... Kończmyż o pustyni.
Mój szacunek dla pana natrętnym mię czyni;
W rzeczach serca jam miękki, u mnie krew nie woda;
Mająteczek za bezcen... lecz duszy osłoda;
Nie żałuję, żem zrobił ustępstwo tak duże:
Może tém jego przyjaźń szanowną zasłużyć.
Co tam!! cztery tysiączki każdy mi wyliczy;
Ale gdzie tyle szczęścia, gdzie doznam słodczy?
Gdzie tyle przyjemności??

Henryk.

Dzięki panie, dzięki!

Sędzia.

Więc kończmy interesik drobnutki, małeńki.
Podaję waruneczki dla pana korzystne;

No! dobijajmy targu—niech dłoń pańską ścisnę—
Trzy tysiączki, bagatel!

Henryk.

Ja myślę inaczej:

Bo dla mnie taka kwota bardzo wiele znaczy.
Muszę siebie obliczyć, porachować ściśle;
Daj mi pan nieco czasu, niech trochę pomyślę.

Sędzia.

A i owszem! i owszem! bardzo mi przyjemnie.
Wprawdzie inni stanowczo chcą słowa odemnie,
Prędziutko chcą zapłacić ów leśny zakątek;
Lecz dla pana poczekam. Co dziś mamy?.. piątek,
Więc w niedzielę stanowczo... skończymy i dosyć.
Miałbym jeszcze prośbę—jeśli wolno prosić—
Byłbym uszczęśliwiony nad wszelkie wyrazy:
W niedzielę po mszy świętej — na barszczyk i zrazy,
Na szlachecki obiadek zajdź łaskawy panie.

Henryk (z ukłonem).

Z największą przyjemnością przyjmuję wezwanie.

Sędzia.

Obiadek, obiadek—czém chata bogata!..

(Patrząc na zegarek):

Jak w miłym towarzystwie czas prędko ulata!
A tu pracy... co pracy!! aż się w głowie kręcił
Żegnam... dobremu sercu... łaskawej pamięci
Polecam się, polecam!

(Podaje rękę.)

Henryk.

Żegnam pana szczerze.

Sędzia.

Więc w niedzielę...

Henryk.

Pan moją odpowiedź odbierze.

Sędzia.

Ułożym waruneczki, pogadamy z blizka.
Do miłego, prędkiego z panem obaczyska!

(Kłania się raz jeszcze i odchodzi.)

Henryk (sam).

Przeczuwam — choć to przeczuć nie tak trudna sztuka,
Że ten grzeczny jegomość gładko mię oszuka.
Trzy tysiące... dla niego taka mała kwota,
A ja za całą pracę nędznego żywota
Nie zdołam tyle zebrać... Dalbym mu z ochotą,
Niechby sądził, że ujął swą grzecznością złotą,
Że wykrętną wymową oszukał prostaka.
Mniejsza o to... niech sądzi... ale kwota taka,
Zkąd ją wezmę?.. A gdzie tam!... nie myśleć o chatce.
Mam półtora tysiąca po umarlój matce,
Mam srebro, co pamiątką po rodzicach służy,
Z ojcowskiego żupana mam dyament duży,
I to sprzedam... O święte mych rodziców cienie!
Przebaczcie, że ja waszych pamiątek nie cenię...
Matko! chciałaś mi szczęścia! pamiętam twą duszę:
W téj chatce szczęście moje... ja nabyć ją muszę...
Szczęście téj, którą kocham nad duszę, nad życie,
Co tak mi się powierza w dziecięcym zachwycie!..
Roję niebo w pustyni — och! kiedy przypomnę
Jéj marzenia niewinne, pracowite, skromne!
I teżby się rojenia przezemnie zawiodły?
Czyż tyle niedoleżny — czyż tak jestem podły?

Nie! rodzice przebaczą, żem w tak ważnej chwili
 Naruszył te pamiątki, co mi zostawili...
 Ojczy, ty mię przeżegnaj na mój zawód nowy!
 Matko, pomódl się za mną do tronu Jehowy!...

(Po chwili zamyślenia:)

Tak... zbiorę dwa tysiące... ale zkadże trzeci?
 Iść do możnych przyjaciół, do szczęśliwszych dzieci,
 I żebrzeć o pożyczkę, czy może o wsparcie —
 Prędzej u drzwi kościelnych żebrałbym otwarcie!
 Czy ująć topór ciesli, albo młot kowala,
 W dzień i nocbym pracował — co siła pozwala...
 Lecz bezczynność szlachecka i pycha wyniosła
 Rozmięczyły mi ręce... nie umiem rzemiosła!...
 Pióro moje! dla ciebie wyrzekłem się świata;
 Czy ty mię wyratujesz, gdy nędza przygniata?
 Złota mi dzisiaj trzeba, złoto niech zagarnę!
 Ty mi dajesz ubóstwo i oklaski marne...
 Och! dusza za oklaski szczęścia nie nabędzie...
 Precz, niedołącznej myśli dziecinne narzędzie!

(Rzuca pióro z gniewem.)

(Po chwili uspokojenia mówi z wolna i z uśmiechem:)

Ot gdyby tu, naprzykład, jak w stariej balladzie:
 Przychodzi do mnie szatan i wór złota kładzie,
 A za kilka lat życia i talarów tysiąc
 Cyrograf na mą duszę kazałby poprziądz...

(Zrywa się z rozpaczą.)

Dziśbym przysiągł... och! przysiągł nie zwlekając dłużej!

C z c i o n k a *(wchodząc).*

Dzień dobry, drogi wieszczu! — Jak zdrowieczko służy?

HENRYK, P. CZCIONKA.

Henryk.

Przybywasz w samą porę.

Czcionka.

To mi bardzo miło.

Henryk.

Pomnisz, co się niedawno w ogrodzie mówiło?
O moim pamiętniku?

Czcionka (*do siebie*).

Właśnie szedłem po to:

Lecz musi być poeta ściśniony biedotą,
Gdy pierwszy rzecz zagaja, co się tyle drożył.
Trzymajmy się odpornie.

Henryk.

Jużem się ułożył...

Jużem się zdecydował.

Czcionka.

Co?

Henryk.

O pamiętniku.

Czcionka.

Przepraszam... u mnie zawsze kłopotów bez liku,
Czasem się zapominam—jak to było? proszę...

Henryk.

Jużem ci, panie Czcionka, wspominał po trosze:
Pamiętnik mego życia, młodych marzeń roje,
Com je kreślił maczając we krwi pió
O mego życia rannój i późniejszej dobie,
Spowiedź myśli i uczuć.

Czcionka.

Przypominam sobie.

Myslałem wtedy szczerze o tym manuskrypcie;
Ale pan się uparłeś: „Choć złotem osypcie,
„Nie dam, nie dam i nie dam!“—Wola to nie żarty;
Trudno znaleźć lekarstwo, kiedy kto uparty.

Henryk.

Teraz się rozmyśliłem, bo mam potrzeb dużo.

Czcionka.

Widzi pan, że mi teraz finanse nie służą,
Drukarnia zatrudniona, a handel w tój porze
W stagnacyjném uspieniu—nie dopuszczaj Boże!

Henryk.

Więc nie chcesz pamiętnika? odrzucasz mą pracę?

Czcionka.

Któż mówi, że ja nie chcę?—wezmę i zapłacę;
Lecz wtedy powiedziałem za drogo... za drogo!
Dzisiaj się rękopisma przepłacać nie mogą.
Druk, panie dobrodzieju, kosztuje niezmiernie,
Opłacaj robotników, opłacaj papiernie,
Ogłaszaj w katalogach, ustępuj rabata,
A książeczka na półce spoczywa trzy lata,
Publiczność ani spojrzy, choć jój wiernie służę —
Stagnacya niepojęta dziś w literaturze.

(Wzdycha.)

Henryk.

Bez przedmów, panie Czcionka, kończ twoje nabycie.
Ja sprzedaję krew moją, sprzedaję me życie,
Dziś frymarczę na srebro święte dla mnie karty,
Przedaję kawał serca z méj piersi wydarty;

A boleść mojej duszy trzymając na wodzy,
 Poodmieniam nazwiska tych, co sercu drodzy,
 Dam inszą nazwę miejscu, gdzie byłem w kolebce,
 Gdziem się uczył, gdziem kochał,—miejsca, co wyszepcę
 Konającymi usty—wszystko to odmienię,
 Za lichą garstkę złota po księgarskiej cenie;
 Zrobię z moich świętości zarobku narzędzie.
 Masz pięć grubych sposzytów—z każdego tom będzie.
 Co mi płacisz?

Czcionka.

Hm! płacę wedle słusznej miary,
 Za każdy arkusz druku... po cztery talary;
 Jak pan chcesz...nie przymuszam...nie odbieram gwałtem.

Henryk.

Cóż mi dasz za pięć tomów kupując ryczałtem?

Czcionka (*przeglądając jeden z zeszytów*).

Pisano tak rozwlekle... cóż robić?... dam dwieście.

Henryk.

O! zmiłuj się...

Czcionka.

Panowie drażliwi jesteście;
 Dam więc dwieście pięćdziesiąt, a zadatek z góry.
 Dzisiaj strasznie złe czasy dla literatury.
 Dwieście... dwieście talarów to nietanio, sądzę,
 Napisz mi pan cessaykę, ja płacę pieniądze.

Henryk (*do siebie*).

Do tysiąca daleko... lecz pan sędzia może
 Zechce mi coś ustąpić... Co za radość! Boże!
 Będę miał chatkę w lesie! ona dłoń mi poda!..

Czcionka.

Zgoda, łaskawy panie?

Henryk (*oddając mu rękopism*).

O, zgoda już, zgoda!
Jesteś panem krwi mojej, łez moich i pracy...

Czcionka (*do siebie z uśmiechem*).

Finis coronat opus—powiedział Horacy.

USTĘP CZWARTY.

(*Po roku.*)

Marya (*sama.*)

Rok czasu... co tych odmian i w sercu i w świecie!
Mówią, że wyladniała—to słuszna kobiecie;
Przybyło doświadczenia i rozumu trocha;
Dziś nibym stateczniejsza, niby bardziej płocha—
Nie zgadnę, czy to wada, czy może zaleta?
Ale mówi sumienie, że dzisiaj już nie ta...
Przed rokiem—kiedy w myślach poczną się unosić,
Czułam, że chatki w lesie byłoby mi dosyć;
Dziś widzę, że w tej chatce byłoby mi ciasno:
Tam życie spowszednieje—tam wdzięki zagasną,
Tam nim się obejrzymy, nim przetrzemy oczy,
Toć i starość nadejdzie, to i śmierć zaskoczy.

A Henryk... jeszcze wierzy... gdzieś tam chatkę kleci...
O! mężczyźni—lalkami bawią się jak dzieci,
Będą o życiu, sercu prawili bez granic,
Ale serca i życia nie znają nic a nic,
Biedny... teraz w pustyni leśnej gospodarzy;
Płodzmian go bezczelnie oszukał w przedaży;
A on kupiwszy chatkę w bezludnej oddali,

Gdzie dach podziurawiony, gdzie się ściana wali,
Urządza się, przystraja, pracuje od roku,
I jeszcze pięknych marzeń nie stracił z widoku.

Nie... albo on dziecinny, albow ja zepsuta:
Dla mnie dzisiaj samotność to ciężka pokuta.
Nie chcę go dłużej zwodzić—próżno się kłopotą:
Co ja pocznę wśród sosen, pustyni i błota?..
A jednak gdy pomyszę... o Boże łaskawy!
Na co ten świat i ludzie? na co te zabawy?
Jeszcze dzisiaj instynktem czuję, jak to błogo
Życ naturą i sercem, nie widzieć nikogo,
Na zawsze serce z sercem zjednoczyć się ściśle...
Boże! daj mi natchnienie... doprawdy pomyszę...

Tymczasem dzisiaj wieczór—a mnie coś się marzy,
Że strój biały z różowym będzie mi do twarzy;
Tam czeka tyle cukrów, tam młodzieży tyle,
Tańczę wszystkie mazury i wszystkie kadryle;
Czyż dla mnie leśna pustka—ja, co gwar tak lubię?
Śmiesznie o tém pomysleć!

(Do służącego, który wchodzi:)

Co tam chcesz, Jakóbie?

Sł u ż a c y.

Pan Henryk w przedpokoju.

M a r y a.

Pan Henryk... w tój porze!
Cóż mu biedna odpowiem?—o Boże mój, Boże!

H E N R Y K, M A R Y A.

M a r y a (patrzac na wchodzącego).

Jaki blady, znękany, znużony przez drogę!

On wart szczęścia... wart szczęścia... ja go dać nie mogę,
Byłoby niesumiennie uwodzić go dłużej.

Henryk *(wchodząc z uniesieniem)*.

Maryo! jakżem szczęśliwy!

Marya *(zumno podając mu rękę.)*

Witamy z podróży!

Jakże się powodziło?

(Zakłopotana patrząc w okno:)

Ale jak dziś chłodno!

Henryk.

Urządziłem w pustyni zaciszę wygodną,
Lecz nimem ją wystroił, urządził tak ładną,
Och! sądziłem, że ręce z rozpaczcy opadną.
Przedawca mię oszukał — wziął cenę w trójnasób;
Wyczerpałem grosz wszystek — cały męztwa zasób.
Gdyby mię nie pokrzepił Bóg i silna wola,
Gdyby nie błoga przyszłość — nie dotrwałbym pola!

Marya.

Na cóż było tak wiele utrudzeń ponosić?

Henryk.

Znalazłem chatę prostą i starą już dosyć,
Co się chwiała z podwalin z każdym wiatru świstem;
Znalazłem kilka sosen na polu piaszczystém,
Pełny chwastów ogródek — do koła płot stary
I okiem nieprzejrzane bagniste obszary...

Marya.

O jakaż to pustynia okropna i dzika!
Jak tam nudno być musi... aż mię dreszcz przenika!
Osobliwsza wytrwałość — i pytam, co skłania
Mieszkać coś blisko roku w tój ziemi wygnania?

Henryk.

Możnaż się o to pytać?.. Cały rok miniony
Tęsknota rwała piersi — duch leciał w te strony.
Lecz przyzwawszy twój obraz oczami méj duszy,
Wezwawszy silną wolę, co skały poruszy,
A poruszywszy zapas ostatni ojcowski,
Wezwałem lud poczciwy z okolicznej wioski,
I czułem się w méj duszy najszczęśliwszym z ziemian,
Z siekierą i z ołówkiem pracując na przemian.
Ociosywałem kłody, rysowałem plany,
I stanął piękny domek, małeńki, drewniany.
Ganek, przyzby, ławeczki urządzone cudnie;
Czyste, jasne okienka patrzą na południe.
Pod oknem rosła grusza stara, rozsochata,
Co się z sąsiednią sosną konarami splata;
Skorzystałem z téj pięknej igraszki przyrody,
Te drzewa zdobią ogród nad wszystkie ogrody.
Bo sąsiedni szlachcice, serdeczni a prości,
Nieśli jeden przed drugim dowód uprzejmości:
Ów podarował wiśnie, drugi malin krzewy,
Inszy szczepy owoców, ów kwiatów zasiewy,
Trzeci przysłał ze włości cały rój kopaczy,
Inszy sam kopie ziemię i drożyny znaczy.
Dopomogli swą radą, pomocą krzepili.
Jeden z nich, dobra dusza... mieszka o pół mili;
Wiedząc, że pragnę strumień mieć kędyś poblizko,
Kazał na własnej łące zmienić wód łożysko,
I dzięki serdeczności poczciwego człeka
Płynie od naszej chatki rzeczka niedaleka.
Udzielono mi drzewa, robotników, cieśli,
Przesypali stodołę, oborę przenieśli.

Jam zbudował altanę... zasadził powoje.

(*Wydobywając papier:*)

Spojrzyj na ten rysunek — to dziedzictwo moje.

M a r y a (*patrzac na rysunek zamysłona*).

Doprawdy piękna chatka... cudny widok z domu;
Trzeba wkleić tę kartkę do mego albumu.

(*Do siebie:*)

Jeżeli będę panią możną i bogatą,
Każę takie ustronie zbudować na lato.

(*Głośno:*)

Ależ to chatka w lesie idealna chyba?

H e n r y k.

Nie, Maryo! wiernie zdjęta — to nasza siedziba.
A jak tam już wesoło! jak tam już zamożnie!
W stodole będzie chleba, gdy się wszystko poźnie,
W oborze kilka krówek — będzie mleka suto;
Tu buduję gołębnik — już zręby zasnuło;
A w tym lasku — czy wierzysz? co nie było z wieka,
Słowik do nas poczciwy przyleciał z daleka,
I już przez całą wiosnę sprawiał mi wesele,
I dodawał otuchy, wywodząc swe trele.
Wszystko nam się przymiła, uśmiecha słodyczą;
A poczciwi sąsiedzi jak cię poznać życzą!
Mieć będziesz w koło siebie dobrych serc bez liku...
Cóż?... podajesz mi rękę?

M a r y a.

Nie, panie Henryku
Szczęśliwi są poeci, co umieją roić,
I biedną chatkę w lesie w ideał przystroić.
Ja cenię pańskie serce, pańskie poświęcenia;

Lecz rok w życiu kobiety... ach, wiele przemienia!
 Nie pytaj pan przyczyny — bo cóż zgadnąć można?
 Jam może doświadczeńsza, może bardziej próżna.
 Marzenie swoje prawa, świat swoje ma prawa.
 Ja nie znam drogi życia — a jam jój ciekawa.
 Czyż mam kłamać dziecinne, przesadzone chęci?
 Urocza chatka w lesie już mię dziś nie nęci.
 Wyborna do sielanki lub do krajobrazu,
 Lecz serce młodociane przesyca od razu,
 Ja, łapając motyle przy szumiącej strudze,
 I sama się zanudzę, i pana zanudzę.
 Musimy czarę życia wypijać aż do dna;
 Ja kocham pańską chatkę — alem jój niegodna.

(Zakrywa rękami twarz i odchodzi.)

U S T Ę P P I A Ț Y.

HENRYK, CZCIONKA.

C z c i o n k a.

A to ciekawe rzeczy!.. Stracić się do grosza,
 Zbudować chatkę w lesie — i dostać odkoszał!
 Widzi pan, jak to w życiu dziwniej się wydarza,
 Niż w najlepszych powieściach jakiego pisarza.
 Opisz choćby najwierniej... powiedzą: przesada!
 I niezajomość serca recenzent ci zada.
 Lecz ja wiem z doświadczenia, widzi pan dobrodziej,
 Że krytyka sprzedaży książki nie zaszkodzi;
 Owszem, im więcej krytyk na jakowe dzieło,
 Tém się prędzej wydanie z handlu wyczerpneło;
 Już gorzej kiedy milczą... Czego pan tak błady?..

Pogadamy spokojnie, skończymy układy:
Już pamiętnik pod prassą... a druk leci czwałem...

Henryk.

Czy pan kiedy kochałeś?

Czcionka (*z mieszanym*).

Czy ja się kochałem?

Uważa pan... że miłość, biorąc rzeczy ściślej,
Potrzebuje i czasu, i swobodnej myśli...

A jam zawsze w obrotach, w rachunkach, w pogoni,—
Co téj pracy! co pracy!... to niech Pan Bóg bronil!

Henryk.

Szczęśliwy, kto nie kochał, czyje serce wędnie,
Lub kto kochał pół-sercem, a wierzył ogłędnie!
Lecz biedny, kto zaufał bez granic, bez miary
Słowom prostym, niewinnym a pełnym ofiary,
Kto słysząc słowa święte, bo wylane z duszy,
Mniemał, że tych przekonań już nic nie poruszy!
Och! ale myśl kobiety ruchoma jak fala,
Co się najłżejszym wiatrom kołysać dozwala:
Dzisiaj odbija niebiosą, jutro chmurę czarną,
Najsprzeczniesze wrażenia jéj serce ogarną.
Gdy ci obraz swych zasad, swéj duszy otworzy,
Kiedy z ust jéj natchnionych przemówi duch boży,
Poczujesz, jak się dziwnie twa istota zmienia,
Zapłaczesz w zbytku szczęścia, klęknieś z uwielbienia,
I jak Dante płomieniąc natchnione oblicze,
Odprawisz spowiedź ducha przed twą Beatrycze—
I cały człowiek ziemski w téj spowiedzi zginie,
Staniesz się wielkim w myślach a olbrzymim w czynie...
Ale chwila upływa---o biada ci, biada!
Patrzaj! oto twój anioł z obłoków upada;

Nie ciesz się twojém szczęściem najszcześniejszy z ludzi:
 Samolubstwem twe serce boleśnie ostudzi,
 Płochością je zakrwawi, igrając wesoło,—
 I będziesz martwym wzrokiem poglądał w około,
 I pytał sam u siebie, patrząc w jój lica:
 Gdzie się podziła święta niebios posłannica?
 A świątynia twój duszy rozpadnie się w zgliszcze,
 Bo już przestaniesz wierzyć w tve cudne bożyszcze...
 I ku zbolałym piersiom twoja głowa zwiśnie,
 Jak bezsilny załamiesz ręce bezkorzystnie...
 Przeszła twa chwila czynu, boś z wiary wyzuty;
 Wśród żywych jesteś trupem—jak upiór pokuty...
 Tylko jedno zostanie uczucie złowieszcze:
 Przeklinasz twoją miłość—ale kochasz jeszcze!

C z c i o n k a.

O jak pięknie, jak żywo malujesz pan duszę!
 Tylko z jednym zarzutem odezwać się muszę:
 Że z podobnym zapalem wylewając bole,
 Trzeba zawsze mieć papier i pióro na stole,
 I notować wrażenia w tak przyjaznej porze;
 Na co ma się ulatniać, co w druku być może?

H e n r y k (*oczyka się z zapomnienia*).

Jesteś tu, panie Czcionka?—Ach! przepraszam pana!
 Radzisz mi zapisywać, gdy dusza znękana:
 Piękna zaprawdę rada—i pytam, co znaczy?
 Po cóż mam upamiętniać słowa méj rozpaczy?
 By znieńawidzieć ludzkość?.. ja chcę kochać ludzi!
 By żyć temi bluźnierstwami, co rozpacz obudzi?..
 By czytając odnawiać dręczące tortury?..

C z c i o n k a.

Ależ dla dobra świata... dla literatury...

Słyszałem od autorów, widzi pan dobrodziej,
 Że myśl—to salamandra, co się w ogniu rodzi.

Henryk (*tamując oburzenie*).

Przepraszam, panie Czcionka—ale powiem szczerze:
 Już dzisiaj do klientów pańskich nie należę.
 Ja nie byłem autorem gwoli marnój pysze,
 Pisałem dla mych braci—cóż im dziś napiszę?
 Czy z głowy?—biedna głowa marzy bezrozumnie;
 Czy z serca?—dzisiaj serce odrętwiało u mnie;
 Miotałbym złorzeczenia? wylewał żółć z pióra?
 Och! dosyć takich żółci ma literatura.
 Czy rozpaczliwe myśli rzucać w serca czyje?
 To grzech, to ciężka zbrodnia!—świat złudzeniem żyje!
 Niech żyje w swojej wiary zbawiennym zakresie;—
 Pójdę z mojem zwątpieniem do méj chatki w lesie:
 Tam w obliczu przyrody, wśród serdecznych ludzi,
 Może się lepsza wiara i we mnie obudzi.
 A kiedy się spostrzegę, że na rozpacz zbiera,
 Wyratuje mię praca, socha i siekiera,
 Wyratuje modlitwa albo myśl pobożna:
 Bo w lesie ta pociecha—że się modlić można.
 A zresztą kilka książek, co mam w mojej szafie,
 Rozbije gorzkie myśli...

Czcionka (*do siebie*).

Do końca nie trafię:
 Dzisiaj panicz w gorączce... ale to przeminie.

(*Głośno*.)

Podam panu projekcik... projekcik jedynie:
 Kiedy pański pamiętnik już dziś u mnie w prassie,
 Może go uzupełnić autorowi zda się?
 Trzeba zrobić ofiarę piśmienniczéj muzie:

Powieść o chatce w lesie... o pańskiej rekuzie,
 O tém, jak to kobiety do zmienności skore,
 Skreśliwszy piórkiem pańskim—ale *con amore*,
 Pozmieniałwszy nazwiska, ująwszy, dodawszy,—
 Stanie się koniec dziełka daleko ciekawszy.
 Przyczyniłoby druku dwa arkusze blisko...

Henryk (z urazą).

Chcesz podać moją boleść na urągowisko?
 Kto pana upoważnił do podobnej mowy?..
 Żem ci dał spowiedź duszy—pamiętnik domowy,
 Że jak kuglarz uliczny za grosz i oklaski
 Najdroższe sercu twarze postroiłem w maski,
 Że wywodząc na scenę twego targowiska,
 Zmieniłem drogich osób, drogich miejsc nazwiska,
 Żem kości mych rodziców oddał ci na sprzedaż,—
 To już przez całe życie spokoju mi nie dasz!..
 I w każdej świeżej ranie każesz maczać pióro,
 I każesz zapisywać każdą myśl ponurą,
 Każde słowo rozpaczy!.. Czyż mam znosić dłużej?..
 Żegnaj cię panie Czcionka—bo mi krew się burzy!..

Czcionka (sam, patrząc za odchodzącym).

Irritabile genus... ale wiem, co zrobię:
 Powieść o chatce w lesie zanotuję sobie,
 I któremu z autorów jako plan przedstawię,
 Niechaj mi to obrobi żywotnie, ciekawie...
 Hml oni to umieją, jak pokręcą głową:
 Trochę humorystycznie, trochę uczuciowo,
 Jak to lubi publiczność. No! w żwawym zapędzie
 Piszę jutrzejszą pocztą... ot i książka będzie!

Maj 1855. Borejkowszczyzna.

CHATKA W LESIE.

DZIWACTIONO DRAMATYCZNE.

CZĘŚĆ DRUGA.

SŁÓWKO DO CZYTELNIKA.

W przedmowie do pierwszej części *Chatki w lesie* przyrzekliśmy dopowiedzieć ostatni wyraz naszego przekonania o szczęściu na ziemi. Nie masz go w świecie zewnętrznym, i zaledwie wtedy godziłoby się o nié marzyć, gdybyśmy sami i otaczający nas ludzie byli bezwarunkowo doskonali. Ale człowiek, jednostka społeczna, przy najdotkliwszych osobistych cierpieniach nie ma jeszcze prawa, nazwawszy się nieszczęśliwym i załamawszy bezsilnie ręce, wymykać się z szeregu robotników Pańskich na niwie wspólnego trudu. Powinien się leczyć — aby ze zdrową ręką i sercem stanął na swym zagonie; życie czynu, ofiary i miłości bratniej, dopełniając celów naszego powołania, ma w sobie zarazem powoli działającą, ale dziwnie leczebną siłę na cierpienia ducha. Bo zważcie: większa część ran naszych moralnych pochodzi z ręki naszych bliźnich. Kiedy raz zawiedzione serce mizantropa,

przestawszy wierzyć w ludzkość, usycha na resztę życia—człowiek chrześcijański, zmuszony do ciągłego stosunkowania z ludźmi, musi dopatrzeć ich stronę dodatnią, musi ich pokochać jako tych, którzy mu sprawili tyle szlachetnego zadowolenia z siebie; a kto kocha, nie może być całkiem nieszczęśliwy.

W takiej sytuacji postawiłem Henryka w jego skromnej *Chatce w lesie* — bo gdzież piękniejsze pole do poczciwego trudu, niż w naszych ubogich chatkach, wśród ludu serdecznego, a tak potrzebującego współczucia od swój starszej braci? Wśród cierpień ducha nie mógł zaprawdę Henryk wieść kontemplacyjnego życia literata, z myślami i książką; pióro mu wypadło z drżącej ręki: ale drobne na pozór a pożyteczne dla siebie i drugich prace wiejskie, wymagające ciągłej przytomności umysłu, wyrrywając go z przykrych marzeń, musiały mu przynieść ulgę.

Czyn poczciwy ma właściwe sobie piękno—w promieniach takiego piękna Marya ujrzała znowu Henryka; nie mogła się oprzeć jego urokowi, przeczuła, co w sposób najbardziej skuteczny zdolne jest zapełnić próżnię życia — i znowu zapragnęła *Chatki w lesie*, nie już jako młoda marzycielka, lecz jako istota, co się gruntownie zastanowiła nad życiem.

Tyle o głównych osobach i zadaniu obecnej książki. Co do postaci akcesoryjnych, tu znowu czujemy potrzebę uroczyście zapewnić, że postaci to czysto fantastyczne, a lubo mają pretensję być typami, nie są żadnym odbiciem *wzorków*.

Nie pisząc dla sceny, nie staraliśmy się spajać ustępów ciągłą nicią intrygi. Wszelako z próbek kilku ustępów, granych tu na jednym amatorskim te-

atrze, powzięliśmy przekonanie, że z pewnemi modyfikacyami *Chatka* nasza mogłaby wytrzymać próbę reprezentacyi. Miłe grono, co pełnem czucia przedstawieniem *Chatki* sprawiło nam tak rzewną niespodziankę, co tak serdecznie dzieliło z autorem jego wrażenia, niech raczy przyjąć na téj kartce pamiątkę pięknego letniego wieczoru w Suderwie dnia 9 sierpnia b. r., któryśmy policzyli do niezapomnianych chwil naszego życia.

OSOBY:

HENRYK.

MARYA.

PAN MARSZAŁEK, ojciec Maryi.

PAN SĘDZIA Płodozmian.

TRZASKA, stary myśliwy, sąsiad Henryka.

MATEUSZ, stary służący tegoż.

WIEŚNIACY.

CHATKA W LESIE.

USTĘP PIERWSZY.

(*Ciemny las — opodal schludna chatka*).

Henryk (*zamyślony siedząc na wywróconej kłodzie, mówi do siebie*).

Tak tu miło jak w raju, choć ciemno jak w grobie!
 Jak tu rzeźwo mym piersiom po ciężkiej chorobie!...
 Serdecznie bądź pozdrowion ciemnych puszczy namiocie!
 Tak dawno z całą żądzą garnąłem się do cię;
 Lecz głuszon gwarem świata, kędy troski bodą,
 Człęk nie czuł się być godnym rozmawiać z przyrodą;
 Duch niedosyc był święty, niedość uroczysty

Rozwagać szelest dębów albo jodeł świsty,
 Nie rozumiał strumyka, co wśród olszyn burczy,
 Zapomniał pisku wilgi i mowy przepiórczej...
 Część tutaj była mojej, część nie mojej winy...
 Ot, jak ten trup zwalonéj na ziemię sośniny,
 Czemu się nie podniesie? czemu nie zieleni?
 Bo ma próchno pod korą, a robactwo w rdzeni,
 Bo sam środek jéj piersi młodzieńczej a wątłéj
 Porozbijały żółny, poraniły działły.
 Rozsochate jéj ręce zielenią się, kwitną,
 Ale to mchem zielonym, trawą pasożytną...
 Tak i z sercem człowieka, tak i z głową jego:
 Gdy niedole obarczą, gdy troski oblegą,
 Życie nibyto tleje, krew obrót swój krésli,
 Lecz karmi pasożytne uczucia i myśli.
 Kiedy ręce opadną, gdy zamroczy głowę
 Wśród niemierzonych godzin lenistwo grobowe,
 Nie znajdziesz dobrej woli, ani chwili czasu
 Na modlitwę pod krzyżyk, na dumkę do lasu.
 I cóż wtedy natura obchodzić nas może?
 Słowik śpiewa—tém lepiej, suadź w dobrym humorze;
 Kraśnieje złota jutrznia — co mi tam do złota?
 Wiatrek łąkę kołysze — a i to robotal...
 O! takie to bluźnierstwa i urągowiska
 Człek z matowém spojrzeniem na przyrodę ciska:
 Bo przygnębion ku ziemi sam o sobie nie wie,
 Jak bujny zagon żyta po gęstéj ulewie.
 Lecz Bóg przesyła promyk pogodnego słońka,
 Ten w ciemną otchłań duszy kiedy się zabłąka,
 Kiedy z piersi upadnie gniotąca opoka,
 Gdy łza rzewna oplócze kataraktę z oka,
 Wtedy idzie myśl zbawcza i lepsza otucha...

Mateusz (wychodzi z gęstwiny z koszem grzybów).

W Imię Ojca, i Syna, i Świętego Ducha!
Wszak to pana po lesie i chart nie dogoni!
A święty Mateuszu! a święty Antoni!
Ja latam, biegam, hukam — od chaty Jakóba
Tropię zgubę po lesie...

Henryk.

A jakąż tam zguba?

Mateusz.

O święty Bonifacy! o święty Gerwazy!
Pan sam zginąłś z domu!

Henryk.

Jestem na rozkazy.

Czegoż tam chcesz odemnie?

Mateusz.

At, nie... jedno słowo:
Chciałem panu przypomnieć gorączkę nerwową,
I co przepowiadała doktorska nauka,
Że kto się nie szanuje, recydywy szuka.

Henryk.

Daj pokój, Mateuszu! mnie tutaj tak błogo!
Tutaj serce odetchnąć, myśli bujać mogą,
Tu skupiam dawnych wrażeń rozproszone szczęty
Po tak długiej chorobie.

Mateusz.

A święty Wincenty!
Alboż pan nie rozumie, co to z tego bywa?
Z tych dumań wrażeń, marzeń—będzie recydywa.

Henryk.

Wszakem zdrów od tygodnia.

Mateusz.

O święty Gerwazy!

Nerwowa... i sercowa... gorączka dwa razy!
 Pan myślisz, że ja nie wiem, jaka tu zawilość?
 Miłość rodzi gorączkę—a z gorączki—miłość;
 I tak *idem per idem*, jak mówi wikary,
 A do końca nie trafim.

Henryk.

Nie bój się, mój stary!

Gorączka już minęła, a miłość ochłodziła.
 Chcieć Maryi zapomnieć—byłaby myśl podła,
 Poprzysiągłem raz kochać i uczuć nie zmienię;
 Ale nazbyt gwałtowne przygasły płomienie.
 Nic mi obrazu Maryi z serca nie wyiębi...
 Ty nie wiesz, jak to słodko w tych ostępów głębi
 Marzyć o niej—przebaczyć jej płochą pustoci,
 Odnawiać miłych wspomnień niezliczone krocie,
 Wywołać cień jej ducha wyobraźni siłą,
 Szczebiotać z nią i gwarzyć—jak to się gwarzyło
 W szczęśliwsze chwile życia,—jak tu czas upływał!
 Nie uwierzysz, mój stary!

Mateusz.

Będzie recydywa!

Nerwowa, czy sercowa, albo razem obie.
 Ej, paniel jak Bóg miły, strzeż się po chorobiel
 Na dwoje babka wróży—ja tu niewidomy
 Byłem świadkiem niedobrej u pana symptomy:
 Pan gadałeś sam z sobą—czy pan to pamięta?
 O Święty Mateuszu! Małgorzato święta!
 Patrząc... to pan... podchodzę... i bliżej znów patrzę:
 Gada... macha rękami jak aktor w teatrze...

Może przez pięć *Ojciec nasz*—ja cały się trwożę;
 Gorączka, myślę sobie, nie dopuszczaj Boże!
 A po takich cierpieniach, o święty Sylwestrze!
 Wszystkie momenta życia stoją na rejestrze!
 Gadać samemu z sobą—to, uczciwszy uszu,
 Grozi coś *mentus captus*.

(*Świdruje sobie po łbie.*)

Henryk.

Nie, mój Mateuszu!

Ja nie z sobą gadałem.

Mateusz.

A z kimże?

Henryk.

Z drzewami!

Gniewały się, że miasto za długo mię mami,
 Że boleść mego serca, że męki i burze
 Nie przyszedłem powierzyć zbawczyni naturze.
 Gniewał się na mnie strumień, i ten las sosnowy,
 I ptaszki, żem zapomniał ich serdecznej mowy.
 Musiałem je powitać, musiałem przeprosić;
 A ty, stary, sądziłeś...

Mateusz.

A dosyć już, dosyć!

Ja rozumiem—pan myślisz, że u Mateusza
 To już drewniana głowa i kamienna dusza?
 Mnie samemu i nieraz ot tak czasem chce się
 Zamyslić się, pogadać z drzewami, co w lesie,
 I z mych dumań bożemu spowiadać się światu;
 Lecz powoli przychodzę jakoś do ochwatu:

Wszak to martwe stworzenia, gadam czy nie gadam.
Ot lepiej się samemu Stwórcy wypowiadam.

Henryk.

Mój dobry Mateuszu, bądźmy z sobą szczerzy:
Jakże gadasz ze Stwórcą?

Mateusz.

Mówię pięć pacierzy,
Pięć razy Zdrowaś Marya, jedno Wierzę w Boga—
Ot jakoś i pociecha znajduje się błoga,
I nie śmieją się ludzie, choć posłyszają czasem,
Bo ja gawędzę z Bogiem a nie z ciemnym lasem.
To samo radzę panu.

Henryk.

O mój dobry starcze!
Czyż Boga roztargnioną modlitwą obarczę?
Modlę się, a myśl ziemską wciąż do mnie powraca.

Mateusz.

I na to jest ratunek.

Henryk.

A to jaki?

Mateusz.

Praca.

Weź pan strzelbę, czy książkę, albo kosz na rydze,
Pracuj, aż panu czoło spotnieje w fatydze.
To się grzędę pokopie, to drzewko zaszczepli,
To i myśl swobodniejsza, i modlić się lepiej.
Siądziesz pan do wieczerzy, stukniesz kielich wina,
To i sen i apetyt powracać zaczyna,
A robak gorzkich myśli, co serce przejada,
Zatruje się od razu.

Henryk.

O biada mi, biada!

Nie umiem znaleźć pracy, choć jój serce szuka.

Mateusz.

Ej, panie! wolne żarty! Gdyby mi nauka,
 Gdybym co pan przeczytał książek choć w połowie,
 Toż tobym ja pracował, i sobie na zdrowie,
 I drugim na pożytek! Co to, panie — w lesie
 Człek wyrwie się na chwilę, to i plon przyniesie.
 Patrzaj pan: co tu ziółek — gdybym czytał księgi,
 Doszedłbym ich własności, ich całej potęgi.
 O święty Mateuszu! o święta Doroto!
 Tu choroby po wioskach biednych ludzi gniożą,
 To jabym ziółek leśnych miał zapas gotowy,
 To od kaszlu, mospanie, to od bólu głowy.
 Tu wilki robią szkodę — a dosyc wam, dosyc!
 I starałbym się szlachtę i włościan uprosić,
 Otoczyłbym obławą cały obszar lasa;
 Człek się dobrze zabawi — uczciwie pohasa —
 A w dodatku i naród wspominałby wszędzie,
 Bo wilezysko ich trzody pustoszyć nie będzie.
 Gdybym ja czytał książki . . . powoli, powoli,
 Wyczytałbym co piszą o uprawie roli,
 Począłbym własne grunta wyorywać lepij,
 Jakiś się nowy koncept na gruncie zaszezepi . . .
 O święty Mateuszu! intrata się sporzy,
 Jeden, drugi zobaczy, że idzie niezgorzj,
 Poczną probować szlachta, a dalej wieśniacy,
 Jedni oszczędzą kosztu, drudzy sobie pracy;
 Ot będzie i zasługa: skorzysta lud boży.
 O święty Mateuszu! o święty Ambroży!

Daj mi, panie, naukę i książki, co w szafie,
 A w lesie już ja sobie zaradzić potrafię,
 I nie będę się skarżył, że mi w sercu bodzie,
 I nie będę z drzewami gawędził na kłodzie,
 I Bogu się zasłużę, i sobie wystarczę.
 No, panie — czas na obiad.

Henryk.

Dziękuję ci, starcze!

Nauczyłeś mnie goić ciężką w sercu ranę:
 Z poety słów — ja czynu poetą zostanę.
 Czynu! — na téj pustyni . . . tak! żaden pan świata,
 Żaden rycerz, poeta, żaden dyplomata,
 Nie ma tak pięknej drogi w święch działań zakresie,
 Jak Litwin dobrej woli, w nędznej chatce w lesie!
 Witaj mi, chatko leśna, ustronna, wieśniacza,
 Którą tyle serc biednych a dobrych otacza!
 Oni pracują krwawo — pracujmyż pospołu:
 Piękna niwa do pracy!

Mateusz.

Dano już do stołu.

My o gruszkach na wierzbie pleciami jak w malignie,
 A tam pieczeń się spali i zupa ostygnie.
 Zebrałem trochę rydzów na borowym mszarze,
 Jak zmówić pięć pacierzy, zaraz je usmażę.
 Idź pan powoli lasem, a ja skoczę dołem.

(*Odchodzi śpiesznie.*)

Henryk.

Życie czynu! . . . Ty Maryo, bądź moim aniołem!
 Twym natchnieniem winienem téj chaty nabycie!
 Pocznę z myślą o tobie odrodzone życie,
 Pocznę żyć w mojej chatce jakby w ojcowiznie,

Pocznę wspierać, pocieszać, nauczać me bliźnie,
 A tak i dolę własną i drugich osłodzę. . .
 Święty duchu natchnienia, wspieraj mię na drodze!

USTĘP DRUGI.

(*Rzecz w restauracyi.*)

Marszałek (*przeglądając kartę potraw*).

O dzisiejszym obiedzie dobrą mam otuchę.

(*Do służącego:*)

Dasz nam chłodnik . . . potrawkę, jeśli mięso kruche,
 A na trzecie . . .

(*Zamyśla się*)

Bekasa. . .

Sędzia.

Ale przed bekasem,
 Pan marszałek staruszki wypije tymczasem.
 Chłopcze, daj staruszczeni!

Marszałek.

Prędko przynos jadło.

Sędzia.

A widzi pan marszałek, jak dobrze wypadło,
 Że dzisiaj kropnął deszczyk — toć drożka nie kurzy.

Marszałek (*opinając serwetę*).

Powiem ci, panie sędzio — ten projekt podróży
 Wcale mi nie do smaku, choć ja lubię drogę.
 Zamykam się w powozie — no! i chrapnąć mogę;
 Ale rozpacz porywa w obiadowej porze:
 Znasz, sędzio, nasze karczmy.

Sędzia.

Nie dopuszczaj Boże!
Znajdziesz tam kwaśne piwko i śledzia kawalek.

Marszałek.

Więc na licho ta podróż?!

Sędzia *(z uśmiechem)*.

Widzi pan marszałek,
Trudno czasem odmówić prośbom pięknej buzi.
„Chce kobieta — chce Pan Bóg“, tak mówią Francuzi.
(Przyjmując od służącego kielich gorzałki)

W rączki pana marszałka!

(Wypija mały kielich, a nalewa marszałkowi większy.)

Staruszczenka przednia!

Córka pana marszałka chce jechać do Wiednia,
Chce zwiedzić brzegi Renu, zabawić w Tryeście...

Marszałek.

A chłodnik czy podadzą?

Sędzia.

Chce do Rzymu wreszcie.
To pięknie, bardzo pięknie... Młodziutka się nudzi,
Chce poznać obce kraje, poznać obcych ludzi.
Co robić?... trzeba uleść przed niewieścią władzą.
Zresztą, panie marszałku...

Marszałek.

A chłodnik czy dadzą?

Sędzia.

Zresztą, panie marszałku...

Marszałek.

Z rakami i z lodem.

Sędzia.

Podróż do miłych wrażeń staje się powodem.
Pan marszałek obaczy, jakie to słodycze:
Coraz nowy widoczek...

Marszałek (*zajadając przyniesioną potrawę*).

I ja na to liczę.

Wiedeńskie salcesony głośne w Europie,
W Johannisbergu dobrém winem się zakropię,
W górach szwajcarskich sery i smaczne i tanie,
A we Włoszech makaron... historyczny panie!
To słyszę piękna ziemia — oliwa dojrzewa,
Sardynki prosto z morza — pomarańcze z drzewa.
Podróż mi się uśmiecha; ale będziem w biedzie,
Póki człowiek ojczystych granic nie przejedzie:
Och! wiadomo, wiadomo, co u nas podróże!

(*Wzdycha.*)

Sędzia (*z ukłonem*).

Ja panu marszałkowi do granicy służę;
A mam właśnie kucharza — talencik nielada:
Czy sosik, czy zraziki, czy wreszcie sztufada,
I prędziuchno, i smaczno sporządzi jak z płatka;
A wyborny obiadek, życzliwa gromadka,
Jakos podróż osłodzą...

Marszałek.

O! dziękuję tobie!

Sędzia (*do siebie*).

A w podróży małeńki interesik zrobię.
W mieście pełno młodzieży — tu ciągle przeszkoda,
A w drodze może jakos zręcznostka się poda.
Przysłużyć się grzeciutko, coś przemówić słodziej.

Pół miliona posagu nie piechotą chodzi.
Dziewczę wcale nieszpette.

Marszałek.

Chłodniki mi służą.

(Smakując resztki w talerzu.)

Wprawdzie za mało octu, a soli za dużo,
A lód niedość zimny... ale mniejsza o to.

Sędzia.

Winka, panie marszałku.

Marszałek.

Wypiję z ochotą.

Sędzia.

Czy reńskie?

Marszałek.

Wszystko jedno... reńskie czy madera,
Po chłodniku od zimna żołądek zamiera.

(Dzwoni.)

Gdzież służący?... to kara boża z tą posługą!

Sędzia *(do służącego, który wchodzi.)*

Buteleczkę madery.

Marszałek.

I potrawę drugą.

(Służący ustawia potrawy i nalewa wino.)

Marszałek *(zapijając.)*

Biedal... bieda na świecie!

Sędzia *(z westchnieniem.)*

Och! bieda na świecie!

Marszałek *(jedząc.)*

Wiesz, sędziol... moja Marya, to szalone dziecię:
Natura rozpieszczona, kapryśna, kobieca,

Dzisiaj chce szyby z okna, jutro kafli z pieca,
 I dogodź tu dziewczynie!... a dogadzać muszę!
 Widzę, jakies cierpienie zatruwa jój duszę;
 Muszę dzielić jój myśli, zachcenia i zdania:
 U mnie serce ojcowskie, pełne przywiązania...
 Choć zresztą dobre dziecię...lecz nazbyt mię męczy:
 Bo ja lubię wygodę... minął wiek młodzieńczy...
 Pracowaliśmy długo... czas być swobodnemi...

Sędzia (z westchnieniem).

Wygódka i swobódka— dwa szczęścia na ziemi;
 I ja do nich, marszałku, wzdycham pokryjomu.

Marszałek (zapija).

Widzisz, sędzio kochany... tyś przyjaciel domu,
 Ty się zemną podzielisz mym ciężkim kłopotem.

Sędzia.

Marszałku dobrodzieju! czy wąpiles o tém?
 Niech się pańskie serduszko we mnie zabezpieczy.

Marszałek.

Słuchaj więc...

(*Sędzia przysuwa się konfidencyjalnie*).

Marszałek (smakując potrawę).

Mięso twarde, a sos nic do rzeczy.

(*Do służącego:*)

Uważasz? same kości... same dajesz grzbiety.
 Przynieś pieczeń huzarską lub bite kotlety.

(*Do sędziego:*)

Słuchaj więc... moje stare zbliżają się lata...

(*Do służącego:*)

Do kotletów oliwa, ocet i salata.

(*Do sędziego:*)

Stare lata nadchodzą... przy inném zajęciu
 Czas o córce pomyśleć.

Sędzia.

A raczj o zięciu.

Winka, panie marszałku!

(*Nalewa mu kielich. Do siebie.*)

Jesteśmy ciekawi.

Marszałek.

Młodzieży bywa dosyć—lecz jój to nie bawi.
Lubiła dawniej taniec, śpiew, muzykę, stroje;
Dzisiaj tak posmutniała, że się suchot boję.
Na życia czeze i smutne skarży się koleje,
A co mię bardziej trwoży... że nic a nic nie je:
Na obiad szklanę mleka... niechże mi kto powie,
Zkąd tu będzie wesołość? zkąd się weźmie zdrowie?
Czyż nie wstyd ci—powiadam—być z tak bladą twarzą?
Niech ci zrobią rosół, niech zrazów usmażą,
Posil się, potém zaśniesz—a w jednej godzinie
Obaczysz, że ci nuda i tęsknota minie.
Czy myślisz, że mię słucha? Gdzie tam! ani trocha!

Sędzia (*półgłosem*).

Może jaka miłostka... może kogo kocha...
Uważa pan marszałek... potrzeba znać ludzi...

Marszałek.

Gdzie tam?! Zabawa męczy, a młodzież ją nudzi.
Młodzieży dosyć bywa, wszyscy nią zajęci;
Lecz ona dziwactwami każdego zniechęci.
Jeden dla niej zbyt pusty—trzpioce się jak dziecię,
Drugi zbyt hałasliwie o postępie plecie,
Trzeci za nadto strojny, urodą się puszy,
Tamten ma pustkę w głowie, tamten pustkę w duszy;
Do każdego coś znajdzie, wyszuka, dopatrzy...

Sędzia.

To znaczy dobrą główkę—rozsądek najrzadszy:
Bo tylko zastanów się marszałek dobrodziej,
A pewno swoje zdanie z mojem zdankiem zgodzi.
Patrz na naszych młodzików, przynaj ich nałogi:
Znajdziesz, wszystko wietrzniki, trzpioty, demagogi!
Córce pana marszałka z serduszkim i głową
Słusznie, że się wydają okliwie i jałowo!
Jój potrzeba męzulka wcale inszej treści,
Coby miał wiek dojrzały... tak... lat ze czterdzieści.

Marszałek.

To może już za wiele.

Sędzia.

Tak... trochę za wiele;

Zdanie pana marszałka z ochotą podzielę.
Więc... *około* czterdziestu... mniej więcej tych latek.
Trzeba, żeby posiadał powagę i statek,
Człowiek miły, grzecznutki, choć przyłóż do rany,
I dobrze z interesów biegiem obeznany.
Bo pytam... dać fortunkę młodzikowi z miasta,
Nietylko nie przymnoży, lecz jeszcze rozszasta.
Trzeba człeka ze sprytem, co da sobie rady,
Urządzi interesa...

Marszałek.

Urządzi obiady:

To rzecz ważna w pozyciu.

Sędzia.

Tak... tak, nie inaczej.

A może pan marszałek jeszcze winka raczy?

(*Nalewa wino.*)

Potém szklaneczkę lodów... po obiadku zdrowo...
Powinien mieć fortunkę i kwotę gotową:

Bo też dając posagu pół miliona, słyszę,
Niech pan zięć ewikcyjkę na dobrach zapisze.

Marszałek.

Pół miliona posagu!! Co ci sędzio w głowie?

Sędzia (*obojętnie, pijąc wino*).

A wieleż?.. tak... na przykład...

Marszałek.

Coś dać postanowię,
Może jakich ze trzykroć... ze czterekroć może...

(*Ziewa.*)

Sędzia (*na stronie*).

Trzeba go tylko w dobrym utrzymać humorze.

Obiadek jakos trafia do serduszka sknery.

Hm... licząc sześć procentów... to dwadzieścia cztery..

Niezła roczna intratka... Śmiało w imię boże!

(*Głośno:*)

Marszałku dobrodzieju! niedyskretnie może,

Gdy się spytam... tak sobie... przez ciekawość marną:

Czy w gronie tych młodzików, co się zewsząd garną

Upatrzyłeś już kogo... tak sobie... z daleka?..

Marszałek.

Uważałem przed rokiem młodego człowieka,

Który ją szczerze kochał—prawda, człek ubogi...

Sędzia.

A jakaż ewikcyjka?..

Marszałek.

Poczekaj, mój drogi!

Z dobrém sercem...

Sędzia (*na stronie*).

To mniejsza—ciekawość mię drażni..

Marszałek.

Nieboszczyk jego ojciec był zemną w przyjaźni;
 Biedak w końcu podupadł, to się wszystkim zdarza...
 Ale jakie miał wina!... jakiego kucharza!
 To powiadam ci, rozkosz nad wszelkie wyrazy!...
 Bywało zrazy dają... a ja lubię zrazy...
 Tylko, sędzio... uważasz, jam kapryśnik stary:
 Sos powinien być wonny i pieprzny do miary, —
 Nie dodawać doń octu — tego nienawidzę;
 Lecz za to ujdą trufle, albo świeże rydze,
 Dobrze podsmaż cebulkę... to choć zaprosz króla!

Sędzia.

O! dla mnie to przysmaczek, smażona cebula!
 Lecz ten pan, co o rączkę twój córki się stara...

Marszałek.

Pocziwy, lecz ubogi...

Sędzia.

To nierówna para.

Marszałek.

Syn mego przyjaciela...

Sędzia.

I tego nie dosyć.

Marszałek.

Umie swój niedostatek z godnością przenosić.

Sędzia.

I to jeszcze nie powód.

Marszałek.

Ma ciotkę bogatą,

A kocha moją córkę...

Sędzia.

A ona co na to?

Marszałek.

Wiedziałem, że go kocha — i byłem już gotów,
 Dla jego pięknych zasad, dla dobrych przymiotów,
 Powierzyć mu jój rękę... Skrycie się kochali;
 Potém on gdzieś wyjechał, o sto mil czy dalej,
 Ona długo chodziła tęskna a wybladła,
 Wzdychała co godzina — nic a nic nie jadła;
 Aż mi był żal niebogi... Wtém nadszedł karnawał,
 A pamiętam jak dzisiaj — miałem sarny kawał;
 Ruszam tedy konceptem, na jaki mię stanie,
 I całą naszą młodzież spraszam na śniadanie;
 Potém jakoś na obiad... potem wieczór dałem...
 Uważam... moja Marya tańczy z zapalem;
 Już wzdycha coraz rzadziej, a częściej się śmieje...
 Ten i ów, jak uważam, już powziął nadzieję.
 Ja na takie odmiany zdala sobie patrzę.
 Dziś chce być na wieczorze, a jutro w teatrze,
 Pojutrze na szlichtadzie, i znów na wieczorze, —
 Słowem... tak się roztrzępota, że nie dopuść Boże!
 Wtém — dawny jój kochanek, co rok tu nie postać,
 Powrócił... wyznał miłość — i odkosza dostał.
 Jeszcze ze dwa miesiące bawił ją wir ludzi;
 Potém znów zesmutniała, znowu świat ją nudzi,
 Poczęła się uragać z całej naszej młodzi,
 I znowu często wzdycha — oko lżą zachodzi,
 Nic nie je... znak widoczny, że zdrowie nie służy...
 A teraz już się gwałtem napiera podróży, —
 Rad nie rad muszę jechać...

Sędzia (na stronie).

To ciekawe rzeczy...

Więc to miłość... miłostka... czyż podróż uleczy?...
 Lecz nie traćmy nadziei... posażek bogaty,

Do trzydziestu tysięcy dorocznój intraty...
Młode piwko wyszumi... jakos się uchodzi...

(Głośno:)

Otoż tedy, uważa marszałek dobrodziej,
Nie nie masz nad wojażyk — rozerwie się trocha,
Może kogo pokocha...

(Na stronie:)

I pewno pokocha.

Ja będę jój wyrządzał grzeczności nieznacne,
Pocznę na nią poglądać; potém wzdychać zacznę,
Z lekka poczernię włosy, które śnieżek prószy,
I powoli... powoli... wkradnę się do duszy...
Interesik niezgorszy — poprobujmy doli...
Trzeba tylko grzeczniutko, słodziutko, powoli,
A może się powiedzie na drodze zalotów...

Służący (wchodząc).

Pański powóz już gotów.

Marszałek (budząc się).

Co! powóz już gotów?

Weź tedy kosz madery i sera na drogę:
Czasem, widzisz, od nudów posilić się mogę.
W powóz włożyć poduszkę i dwa materace.

(Dzwoni.)

A podajcie rachunek!

Sędzia (z ukłonem).

O! ja sam zapłacę:

Marszałku dobrodzieju, o! Pan Bóg mi świadek,
Chcę mieć szczęście, że dzisiaj mój zjadłes obiadek —
Rozliczymy się w drodze.

Marszałek.

Niechże i tak będzie.

(Do służącego:)

W powozie miękką pościel proszę mieć na względzie.
Włożyć mi jaką książkę — chociaż nie literat,
Muszę teraz książkami bawić się rad nierad,
Bo czytając, najlepiej zasypiać w dni słotne.

Sędzia.

Mam tu właśnie *Gawędki i rymy ulotne*.
Autor ich doświadczony czy w wierszu czy w prozie.
Ręcę, że pan marszałek wnet uśnie w powozie
Na najpierwszej karteczce — doświadczona proba!

Marszałek.

O! to... to! panie sędzio!... to mi się podoba!
Z tyłu książek, co dzisiaj piszą dla pieniędzy,
To mi dzieło najlepsze, co uspi najprędzej:
Jest przynajmniej cel pisma...

Sędzia.

A wierszyków zwłaszcza!

Marszałek (do służącego).

Dać mi ciepłe kalosze, nie zapomnieć płaszcza...
Szlafmycę i parasol, bo na deszcz się zbiera;
Fłaszę gdańskiej gorzałki, sucharków i sera,
Lulkę, tytuń, krzesiwo... No, bywajcie zdrowi!
Ruszajmy, panie sędzio!

Sędzia.

Służę marszałkowi.

(Ochodzą.)

USTĘP TRZECI.

Przed schludną chatką w lesie MATEUSZ na stole suszy ziołka i mówi
z wolna do siebie.

O święty Mateuszu! chcę płakać jak dziecię.
Jak to wszystko i dobrze, i mądrze na świecie!
Parę garsteczek zielska... ot suche badyle!
A tu zdrowia ludzkiego, tu bożych łask tyle!
W każdym marném ziółeczku jakiś dar ukryty:
Ot *Absinthum vulgare*, — piołun pospolity,
A od febry jedyny! — Ot garstka rumianku,
Jak od rozlicznych chorób leczy bez przestanku!
Żywokost na ból piersi cudownie pomaga,
Na wściekliczną wyborna *Alisma Plantaga*,
Ślaz pomagał od kaszlu w najdawniejsze czasy,
Kmin wyborny do chleba — majran do kielbasy,
Mięta na ból w żołądku, choćby Bóg wie jaki,
A tomka i bławatki — pyszne do tabaki!..
O święty Mateuszu! o święty Ambroży!
Jak to w każdej roślince kryje się duch boży!
Ja człowiek nieuczony — a w głowie się kręci,
Że te dary być muszą dla jakiegóś pamięci.
Ot może dano ziółkom własność i nazwanie,
Gdy się Chrystus w Betlejem urodził na sianie,
Więc każda marna trawka z owéj garstki siana
Jakowéms dobrodziejstwem została nadana..
Och! wielkie dobrodziejstwo, zwłaszcza tutaj w lesie,
Gdzie lekarz wieśniakowi ratunku nie niesie,
Gdzie jednym prostym środkiem, jedną garstką ziela,
Niejednemu człekowi zdrowia się udziela..
Pan Henryk, daj mu Boże i życie i zdrowie,
Wskażał mi każdą trawkę, uczył jak się zowie,

Pokazał jak się zbiera, jak się wszystko suszy,
 Zkąd ludzkość ma pożytek, a on szczęście w duszy..
 Cóż za dziw, że tu biegną jak na odpust jaki
 Przygnębione chorobą i pracą biedaki?
 Że tak go błogosławi okolica rada?
 A téj pięknej zasługi i na mnie coś spada!
 Bo się zióleczenka zbiera, układa i suszy,
 A czasem coś zaradzę w prostocie méj duszy.
 Medycyna nie tęga — ale chęć życzliwa:
 Ja tylko pocznę leki, a Bóg dokonywa.

(*Wchodzi Trzaska ze strzelbą i torbą myśliwską.*)

MATEUSZ, TRZASKA.

Trzaska.

Dobry dzień, Mateuszu!

Mateusz.

Kłaniam, panie Trzaska!

A pochwalić Chrystusa czemu to nie łaska?

Trzaska.

Otoż widzisz, że z waścią wieczysty *certamen*.

Niechże będzie pochwalon...

Mateusz.

Na wieki i amen.

Zkąd to Pan Bóg prowadzi?

Trzaska (*z mocną gestykulacją*).

Otoż widzisz, z lasu.

O zwierzyńce na święta myślałem zawczasu,
 Wyszedłem gdzie przed świtem — a prześliczny ranek.
 Myślę sobie, ot widzisz, u waszych polanek
 Jest niezłe tokowisko... Zaczajam się w budzie:

Przyleciał jeden cietrzew... palnę w łeb marudzie,
 Zatrzepotał skrzydłami i padł gdzieś w chróśniaki.
 Powiadam... otoż widzisz... biorę stempel, klaki,
 Czyszcze strzelbę, nabijam, tulę się w zacisze,
 Czekam całą godzinę — i znów szelest słyszę.
 Siadł cietrzew zakochany z postacią wychudłą,
 Zmierzyłem się... palnąłem... otoż widzisz, pudło...
 Zbladł cietrzew i poleciał het gdzieś pod Stawiszcze!
 Zakląłem do stu czartów — i znów strzelbę czyszcze,
 Nabijam... Znów cieciorka zaszumiała w głuszy...
 Palę... krzyknęła: Jezus! i padła bez duszy.
 Czekam dalej... snem trochę zdrzemało się oko...
 Cietrzewi więcej niema, a słońce wysoko...
 Myślę sobie... ot widzisz... na dziś — doskonale!
 Czach! wykrzesalem ognia i fajeczkę palę,
 Nie nikomu nie mówiąc... Wtém... patrzę pod krzyże:
 Sadzi szarak, mospanie, i uszami strzyże,
 Zatrzymał się pod brzożką i wyprężył słuchy...
 Ot widzisz... myślę sobie — fajkę do pazuchy,
 Strzelbę na cel... pęc w piersi... zerwał się i zmyka!
 Ja zrywam się... postrzegam, jest krew u kamyka,
 Heżha za nim! on w pole — ja jak chart przez miedze;
 Gdy go z oka utracę, to po tropie śledzę...
 Krwi w tropie coraz więcej — postrzeliłem znaczy.
 On na górę, ja za nim... mój szarak w rozpaczy,
 Chromiąc stoczył się na dół — i ja sadzę dołem;
 Chciał jegomość w zarośla — ja drogę przeciałem...
 Ot widzisz... myśli sobie: Tu nie służy rada!
 Siadł pokornie, i łapki jak do prosby składa;
 A ja niedługo myśląc, kolbą w łeb i basta.
 Padł szarak... a godzina pewnie jedenasta!
 Głód ozwał się w żołądku — nie wytrzymam dłużej —

Patrzę w koło... ot widzisz: u was dym się kurzy...
 Myślę sobie: ot dobrze! teraz hulaj dusza,
 Zajdę tedy odwiedzić pana Mateusza!
 Stuknę kielich gorzały na dobry początek,
 Da mi kawał wędzonki...

Mateusz.

Ależ dzisiaj piątek!

Trzaska.

A piątek... otóż widzisz

Mateusz.

Dam waszmości mleka.

Trzaska.

A że mi ztąd do domu wędrowka daleka,
 I ciężkoby się nosić z zającem, z cietrzewiem,
 To niech u was zostaną.

Mateusz.

Dalibógże nie wiem!

Wasć jak zwykle nie zechcesz wziąć pieniędzy za to...

Trzaska.

Otoż widzisz, że zgadłeś — schowaj się z zapłatą.

Mateusz.

A brać darmo nie mogę... pan mi natrze uszu.

Trzaska.

Otoż widzisz, że bredzisz, panie Mateuszu!
 U nas z panem Henrykiem od dawna na pieńku:
 Ja mu dług mój sowity splacam po maleńku...
 Długoby o tém gadać — a tu głód dokucza,
 Brrum!...

Mateusz.

Zaraz podam mleko i poszukam klucza,
To może się tam w szafie znajdzie i gorzała.

(*Odchodzi.*)

Trzaska.

O!! macie Szacilówkę!... wiem, że doskonała!
Choć się u was zapasy nie trzymają doma:
Nasza szlachta — ot widzisz, na starkę łakoma,
A wy ludzie poczciwi i uprzejmi w chacie,
Co Bóg dał, przed drugimi pewno nie schowacie.
Taka wasza natura.... ot widzisz — natura;
Kto do was zakolata, to zawsze coś wskóra:
Porada, dobre słówko, albo chleba kawał,
A niejeden i większej pomocy doznawał.
Kto, naprzykład, Maciejom dał grosza na woły?
Pan Henryk....

Mateusz (*wchodząc ze śniadaniem i ustawiając je*).

A kto zboże zwiózł nam do stodoły?
Maciej.

Trzaska.

A kto przykarmił Płodozmiana wioski?

Mateusz.

A kto nam żać pomagał? czy nie lud sędziowski?

Trzaska.

Kto staremu Janowi dopomaga wszędzie?

Mateusz.

A kto nam pszczoł dopatrzy, gdy Jana nie będzie?

Trzaska.

Otoż widzisz... odpowiedź jak z rękawa sypie.

A kto wspiera cichaczem wdowę po Filipie?
Mów szczerze.... bez kręcielstwa.

Mateusz.

At, Bóg wie co plecie!

Niéma co takich rzeczy roztrąbiać po świecie.
W Piśmie Świętém kazano nieść pomoc dla braci,
Ten co w skrytości widzi, w skrytości zapłaci,
Ot lepiej dajmy pokój drażliwej rozmowie...

(Przepijając gorzałkę:)

W ręce jegomości!

Trzaska (z ukłonem).

Daj Boże na zdrowie!

(Przyjmując nalany kielich:)

Setne lata waszmości!

(Pij e.)

Ot widzisz, że tęga!

Aż orzeźwia żołądek, aż serca dosięga!
A to co? Otoż widzisz, rzodkiewka i masło....

(Zajadając:)

Lubię... lubię i chowam wdzięczność niewygasłą
Za gościnne przyjęcie — miła dla was praca...
Gdzież panie Mateuszu twój pan się obraca?

Mateusz (zajadając).

Z rana konno gdzieś czmychnął.

Trzaska.

To nie bez kozery.

Przysiąglbym—otoż widzisz — jak dwa a dwa cztery,
Że się po to sam jeden wymyka z ukradka,
Iż dobrego uczynku nie chciałby mieć świadka;
On się dobrych uczynków tak wstydzi jak grzechu...

Mateusz.

Co tam...dobrych uczynków — prosto dla pośpiechu.
Bo tu ważny i moment zyskany na czasie.

Trzaska.

A co jemu tak pilno?

Mateusz.

Podsędek źle ma się.
Pan Henryk po proboszcza ruszył do Źródliśka.

Trzaska.

Otoż widzisz, że przyszła kréska na Matyska!
Źle ma się... a toż jeszcze na przeszłej obławie,
Czy pamiętasz, jak stary dokazywał żwawie?
Staremu koncepcieście język nie umilka,
Łgał za trzech, pił za sześciu i zastrzelił wilka!
Myszę sobie: ot widzisz—dziad stary a jary...

Mateusz.

Niezbadane Najwyższych wyroków zamiary.
Niedosyć, że do śmierci zwinął się w pośpiechu,
Lecz omal że nie umarł we śmiertelnym grzechu
I nie poszedł do piekła...

Trzaska.

A toż co nowego?

Mateusz.

Niech nas od zawziętości wszyscy święci strzegą!...
Miał młodego synowca—ot zwyczajnie zucha:
Młodzik pije, gra w karty, starego nie słucha,
Sprawiał sobie hulanki w gromadzie współbraci,
Zadłuży się po uszy—to stary zapłaci.
Tak było raz i drugi—o święty Ambroży!
Potém coraz to częściej, co dalej to gorzej.

Podsędek się rozgniewał, a gdy opór spotka,
 Powiedział: Wydziedzicę i przeklą wyrodka!...
 Tymczasem... Pan Bóg łaskaw, wola jego święta,
 Młodzik począł statkować, już się opamięta,
 W przeprosiny do stryja, buch do nóg i kwita!
 Ale stryj rozdąsany przeklęctwem go wita,
 Wypędza ze swych progów—i tak się rozdąsa,
 Że gniew, co w jednej chwili namotał na wąsa,
 Do śmierci w nim nie gasnął... A my tu sąsiedzi;
 Czasem, widzisz, pan Henryk starego odwiedzi,
 Ogra go w marysika, zaprosi na wino,
 Że stary tu znajdował przyjemność jedyną.
 Tak się w nim rozmiłował, że teraz w chorobie
 Chciał mu wszystko zapisać.

Trzaska.

Widzisz, myślę sobie!

A cóż na to pan Henryk?

Mateusz.

A święty Gerwazy!

Czyż można było przyjąć bez bozkiej obrazę?
 Nie przyjął...

Trzaska.

Co ja słyszę!

Mateusz.

Stary ani słucha!

Pan Henryk do proboszcza,—i tu sprawa krucha!
 Proboszcz moralizował—bo głowa nielada;
 Lecz jak wspomnieć synowca, dziad w gorączkę wpada.
 O święty Mateuszu! aż przechodzą dreszcze;
 Na ostatniej spowiedzi przeklinał go jeszcze!
 Pan Henryk był w kłopotach. Po chwili... po chwili...

Z proboszczem gniew podsędka jakoś złagodzili,
Synowiec się ukorzył—no! i dostał spadek;
A pan Henryk spokojny.

Trzaska.

To dziwny wypadek!
Mów co chcesz, Mateuszu... a ja powiem śmiało:
Gdy stary dawał zapis—to brać należało.
Majątek rzecz niegłupia... ot widzisz, niegłupia.

Mateusz.

A przez niego najpewniej piekło się dokupia.
Dobry on, kiedy pracą nabyty godziwą;
Lecz pan Henryk wie dobrze co prawo, co krzywo...
Lecz dotąd coś go niema...

Trzaska.

Otoż widzisz, niema!

Mateusz.

Zopóźniać się na obiad, to jego systema.
A to źle: bo nic nie jadł od samego ranka.
Ale za to go czeka dobra niespodzianka:
Twój zajęc, panie Trzaska, spada jakby z nieba, —
Tylko prędko z pieczystém zwinąć się potrzeba.
Poczekajcie tu nieco, bądźcie tak łaskawi.
Powie staręj kucharce, niech się szybko sprawi.

(Ochodzi.)

Trzaska (do siebie).

Majątek, to rzecz piękna! nie przyjąć majątku!
Że Mateusz żartuje, sądziłem z początku...
Nie przyjąć... krzywda ludzka... ot widzisz, sumienie!
Trzeba serca nielada... kłaniam uniżenie...
A ja na jego miejscu? no! pomysleć muszę!..
Ten człowiek ma doprawdy chrześcijańską duszę,

Duszę wielką i piękną—widać to z daleka...
 Jabym niebo przychylił do takiego czleka.
 On wart mego zajęcia... i dobrze się stało,
 Że ja mu niespodziankę uczyniłem małą;
 Samemu lżej na sercu... Za tak piękne czyny
 Warto ci, panie Trzaska, stuknąć gorzalinę.

(Wychyla kielich.)

Brz... aż chce się zaśpiewać mimo własnej wiedzy
 Piosenkę o zajacu, co siedzi na miedzy...

(Mruczy piosnkę.)

(Wchodzi kilku wieśniaków, potem Mateusz wychodzi z chatki.)

Wieśniacy.

Niech będzie pochwalony!

Trzaska.

Na wieki, na wieki!

Mateusz.

Co chcecie, dobrzy ludzie?

Jeden z wieśniaków.

Ot, tam od pasieki,
 Na waszmościów granicy nieskoszona łąka,
 To czasem się bydelko i nasze zabląka,
 Może wam zrobić szkodę—to i grzech na duszy.
 No! dzisiaj mamy piątek... słonko niezłe suszy...
 Pańszczyzny dzisiaj niema... więc my rada w radę:
 Wójt do karczmy na czarke zaprosił gromadę,
 A przy czarce już taka stanęła umowa,
 By skosić waszą łąkę...

Mateusz.

Na to ani słowa.

Wieśniak.

Dzisiaj zetniem—przy pogodzie jutro kopki staną.

Trzaska.

Ot widzisz, Mateuszu, to będzie i siano,
A ja przyszlę do zwózki koniska i kary.

Mateusz.

Bóg wam zapłać za wasze dary i ofiary...
Lecz pana nie masz w domu.

Wieśniak.

To i cóż, że niema?

Mateusz.

Za robotę zapłata—to jego systema,
Prawda ewangeliczna—a ja nie mam groszy.

Wieśniak (*drapiąc się w głowę*).

Ejże szlachta wy, szlachta! każdy się panoszy,
Każdy patrzy z wysoka na biednych nędzarzy;
Kiedy nie skrzywdzi czynem, to słowem znieważy.
Człowieka, co w siermiedze, żaden nie oceni:
Daj mu serce—on rękę zaraz do kieszeni,
Zaraz ludzką przysługę mieniać na miedziaki...
Ej panie Mateuszu! to zły zwyczaj taki!

Mateusz (*zakłopotany*).

A święty Bonifacy! już Szymon i w złości!

Wieśniak.

A bo to ciężka krzywda, proszę Jegomości!
Już drugi raz jak przyjdę i o co poproszę,
Waszności za fatygę przyniosę trzy grosze.

Trzaska (*śmiejąc się*).

Masz byka za indyka! o toż widzisz! brawo!

Wieśniak.

Bo kiedy wasz pan Henryk krzątał się tak żwawo
I wyleczył mi ojca...

Drugi.

Kiedy w przeszłym roku
Karmił moją czeladkę zbożem swego toku...

Trzeci.

Gdy cały rok na rybę pożyczął mi siatek...

Inny.

Gdy mi garścią pieniądze dawał na podatek...

Pierwszy.

To każdy z naszej włości przyjął wasze wsparcie,
I o żadnej zapłacie nie mówił otwarcie;
Zakarbował na sercu, co spłacić nie może,
I westchnął w głębi duszy: Wynagrodź mu Boże!..
A kiedy my w prostocie i biednej chudobie
Przysłużyć się waszmościom uradzimy sobie,
To wy zaraz liczycie na grosze, na złote.

Mateusz.

No, dosyć tego... dosyć.

Wieśniak.

Idźmy na robotę.

(*Odchodzą.*)

MATEUSZ I TRZASKA.

Trzaska (*biorąc strzelbę.*)

A ja pójdę się przespać, bo sen klei oczy.

(*Patrzy z za parkanu na drogę.*)

Ot widzisz Mateuszu, ktoś tu do was kroczy,

Jakiś pan... strój podróżny... ale gęsta mina.

Ot widzisz! ktoś znajomy! coś się przypomina!..

Dalipan to Płodozmian! czy go lichy niesie!?

Ten samy, co wam sprzedał ot tę chatkę w lesie.

I którego włóscianie odeszli w tój chwili.
Tego lisa, mospanie, zwietrzę o pół mili!
Bo dał się nam we znaki swoją pańską łaską...

(Przedrzeźnia:)

„A duszeczko... a rybko... a kochany Trzasko!
„Wypuść mi na trzy lata włókę sianożęci...“
Ot widzisz, myślę sobie—choć to mimo chęci,
Jakoś zrobię dogodność dla tego paniska:
On tak się nisko kłania—tak grzecznie uściska...
Wypuściłem... ot widzisz... rok drugi i trzeci
Na moje sianożęci mucha nie zaleci,
Taki rygor, mospanie!.. Myślę sobie: *bene!*
Ale w ośmset czterdziestym łąki poszły w cenę,
W czterdziestym pierwszym wyżej--potém wyżej jeszcze,
W czterdziestym czwartym powódź—skrzywdziły mię
deszcze...

Myślę sobie... ot widzisz—w tak krytyczną porę
Od pana Płodozmiana sianożęc odbiorę.
Więc przychodzę do niego o zwrot łąki prosić—
Jak mi pocznie graniczne dokumenta znosić,
Stare, mospanie, mappy, stare inwentarze,
Że moja łąka leży w jego łąk obszarze,
Że on mi jeszcze pola na połowę przetnie,
Że już używalności zyskał kilkoletnie!...
Bez kontraktu... bez śladu—myślę sobie: *bieda!*
Ot widzisz, do własności powrócić mi nie da,
A jeszcze mi procesem zakłopotą głowę...
Więc tak, krakowskim targiem, łąkę na połowę;
Myślę sobie: bierz licha! z napaści nie zginę;—
Tylko ekscypowałem na łące zwierzynę,
A łąka już została przy panu sąsiedzie.

Szczęściem teraz pan Henryk siadłszy na tój schedzie,
Powrócił moją własność...

(Znowu patrząc za parkan:)

Czego on tu szuka?

Strzeżcie się Mateuszu, bo to kręta sztuka!

CIŻ I PŁODOZMIAN.

Płodozmian (*wchodząc na dziedziniec, ogląda się w około*).

Czy mnie oczy zawodzą?... Pięknieśmy zblądzili:
Toż *Czartowa Pustynia* — z drogi więcej mili.

(*Patrzy na zegarek.*)

Godzina... w pół do pierwszej — przekłety przypadek!

A jaż chciałem marszałka prosić na obiadek,

Już do mojego gruntu zbliżali się goście...

Lecz paliki popsute, powóz pękł na moście.

Nim się wynajdzie ludzi, nim powóz przywleka,

To będzie pół do drugiej — a dworek daleko,

A obiadek ostygnie — marszałek zły srodze —

Coś mój piękny projektek na niedobrej drodze...

Tak — *Czartowa Pustynia*... moja chatka w lesie...

Aż słodziutko, gdy wspomnę o tym interesie:

Przedałem ją tak świetnie — w poczciwości ducha

Poeta sypnął groszem, niechże w rączki chucha!

To niewarto pięciuset — wziąłem dwa tysiące...

Patrzcie... patrzcie... i rowy pokopał na łące —

I domeczek zbudował — i klombik przy sośnie —

I żytko na piaseczku bardzo pięknie rośnie...

Piękna gospodareczka!... czarodziejska scheda!

Trzeba będzie pogadać: może mi odprzeda.

Lecz śpieszmy, bo marszałek zły, że się marudzi.

(*Podchodząc do Mateusza i Trzaski:*)

Kochany staruszcze! — czy tu niéma ludzi?

Mateusz.

Ludzi? Święty Gerwazy!

P. Sędzia.

Tak, ludzi, duszeczko.

Na mostku... na grobelce... tuż pod samą rzeczką
Załamał się mój powóz.

Mateusz (*przestraszony*).

A święty Antoni!

Zaraz... zaraz... są ludzie! kosarze na błoni!
Huknę!... i wnet się pańska wydzwignie kolaska.

(*Odchodzi.*)

Sędzia (*sposstrzegając Trzaskę*).

A duszeczko! a rybko!... a kochany Trzaska!
Jakże mi odmłodniałeś! twarz jak kwiatek róży!
A zawsze ze strzelbeczką — polowańko służy!
Utyłeś, dzięki Bogu, i to ci do twarzy, —
Zawsze tęgi myśliwy — zajęczki w lot plaży...
A pieski zawsze trzymasz?... i jak ci się wiodą?

Trzaska.

Ot widzisz pan, mam charta i wyżlicę młodą.

Sędzia.

To pięknie, to prześlicznie! a jakże ich zowąż?

Trzaska.

Charta nazwałem Doskocz, wyżlicę Ponową:
Oba wyborne psiska.

Sędzia.

To bardzo przyjemnie.
Doskocza i Ponowę pogłaskaj odemnie,
I powiedz im...

Trzaska (*do siebie*).

Ot widzisz, dla psów ma ukłony!

Sędzia.

I powiedz im, że kiedyś przyjadę w te strony,
Toż to popolujemy po kniejkach, po błocie!

Mateusz (*wchodząc*).

Miałem tu z pańskiej wioski ludzi na robocie;
Jakem tylko powiedział — a święty Antoni!
Jak się zerwą z przestachu, jakby na sto koni,
Polecieli do mostku bez czapek i boso,
I pewnie pański powóz na rękach wyniosą.
Znam ten lud — u nich ręce do pracy olbrzymie...

Sędzia.

Dziękuję, staruszczyku — a jak ci na imię?

Mateusz.

Dzięki Bogu, Mateusz.

Sędzia.

A, to dzięki Bogu!

Co za szczęście, żem trafił do waszego progu!
Myslałem, że już w błotku zanocuję sobie.
A twój pan?

Mateusz.

Niéma w domu.

Sędzia.

Słyszę, po chorobie?

Mateusz.

Miał nerwową gorączkę...

Sędzia.

Gorączka nerwowa!

Ale zdrow dzięki Bogu? Niech go Bóg zachowa!
To wybornutki człowiek — tylko smutny nieco.

Trzaska (z przekąsem).

A jaki dobry sąsiad — to szukaj ze świecą!
Człowieka nie pokrzywdzi, jeszcze zapomoże;
Nie tak, jak u nas dawniej.

Sędzia.

A! to szczęście mu Boże!

A wyborny gospodarz, choć świeżutkiój daty.
Widzę... musi tu zbierać grosiwko z intraty,
Dokupił, słyszę, schedkę, poosuszał łączki,
Krówki widziałem spore i tłuste jak pączki,
W ogródku są gruszczeni i gatunek rzadki.

(Do Mateusza.)

A ileż tam mniej więcej może mieć intratki?

Mateusz.

A święty Bonifacy! z kąd ja wiedzieć mogę?

Sędzia.

Jednak dałbym uwagę, jedniutką przestrogę:
On ma talent rolniczy, służy mu ochota,
Szkoda, że się tak marnie zagrzebał do błota.
Mam większy mająteczek—obszaru nie pomnę,
Przedałbym go z ochotą... waruneczki skromne;
Kilkanaście tysięcy—to niewielka bieda;
A Czartową Pustynię może mnie odprzeda...
Jak myślisz, Mateuszu?

Trzaska (z przestachem).

Niech go Pan Bóg bronil!

Mateusz.

Słychać turkot powozu i stąpanie koni.
To pewno pański pojazd...

Sędzia.

O, leczę już, leczę!

Czy tam nie szwankowały ubiorki kobiece?
Pozwolisz, Mateuszu! tu spoczniem potrosze.

(Wybiegając naprzeciw powozowi.)

Marszałku dobrodzieju! tu zajechać proszę!

CIŻ, MARSZAŁEK i MARYA.

Marszałek.

Niech wam Bóg nie pamięta téj waszój podróży!
A kołysze, a trzęsie, a budzi, a nuży,
A cały ranek chłodno, na popasie głodno,
A na nocleg czy znajdziesz oberżę wygodną?

Sędzia.

Mój marszałku...

Marszałek.

Mój sędzio! póki do granicy,
Powiedziałbyś, że żyją jacys ludzie dzicy:
Nie wyporządzić mostu!—fil aż słuchać zgroza!
Trzeba powóz dobywać z pomocą powroza.
Na groblach koło skrzypi, zarzyna się, sliźnie,
Sądziłby cudzoziemiec, że jest w Tatarszczyźnie...
Toż przecię nasza Litwa niby Europa!

Trzaska *(z ukłonem)*.

Ot widzisz, proszę pana—bo to ręce chłopca
Pan sędzia do pilniejszój roboty obraca:
Naprawiać groble, mosty, nieinratna praca.
To most pana sędziego—na bagnistój łące
Nieraz tam kark kręciłem pędzając zające...
Koń leci... otoż widzisz—potknie się i pada,
A gdybym nie szanował pana i sąsiada,

(Kłania się sędziemu.)

To mi tyle na grobli zemknęło zajęcy,
 Że posłałbym dziedzica do kroć set tysięcy!
 Ale jakoś mi Pan Bóg cierpliwość dodawa...
 Ot widzisz, myślę sobie, to sąsiedzka sprawa.

(Kłania się znowu sędziemu.)

Gdy nie skrećilem karku, jeszcze boża łaska...
 Co insza pan Płodozmian, co insza pan Trzaska.

Marszałek.

Jakto, sędzio! ten mostek czyż na twojej ziemi?

Sędzia.

Marszałku, dobrodzieju! sprawami różnemi
 Człek zawsze zatrudniony po uszy, po szyję,
 Nie zajrzy do wiosieczki—a tu mostek gnije,
 A grobelka opada...

Marszałek.

No! mniejsza z tym mostem:
 Lecz dziś nie Wielki Piątek—a ja jestem z postem.
 Czy tu nie można kupić, albo czego dostać?
 Tego dworku, jak widzę, przyzwoita postać.

(Do Mateusza.)

Pan jesteś gospodarzem?

Mateusz.

A święty Wincenty!
 Pan mój dzisiaj ważnemi sprawami zajęty;
 Ja tylko jestem sługą.

Marszałek.

Sługą?

Mateusz.

To i owszem,
 Bo pan Henryk napoił mię pojęciem zdrowszém;

Człowiek nie w ciemną bity z jego słów korzysta:
Wiem dobrze, że gość w domu, to zastępca Chrysta:
„*Si hospes, Christus venit*“—mówi ksiądz wikary.
Jest zajac na pieczyście, do niego sos szary,
Do zajaca sałata z octem i z oliwą.

Marszałek.

O! to, to, mój pocziwczel! tylko dawaj żywo!
Sałata... bardzo pięknie... ale przed sałatą...

Mateusz.

Nie mamy win zamorskich; lecz jest starka za to
Z osiemset dwunastego...

Marszałek.

Historyczna starka!

A czyjaż to dla Boga taka gospodarka?
Intrygujesz mię waszmość... twój pan jak się zowie?

Mateusz.

Pan Henryk.

Marszałek.

Co?

Sędzia.

Poeta!

Marszałek.

No! ani mi w głowie,
Żeby się zdały na co Apollina dzieci...
Zajac—starka—mój sędzio! niech żyją poeci!
Takich ludzi poszukać choć z latarnią we dnie.
Pocziwy, dobry Henryk!

Sędzia (*do Maryi*).

Czego pani blednie?

M a r y a.

Tak... znużenie podróży...

S ę d z i a.

Znużenie podróży...

Niechaj się pani przejdzie, to na zdrowie służy.

(*Podaje rękę.*)

Unużenie w podróży, to jak ciężka praca.

M a t e u s z (*patrząc za parkan*).

O święty Mateuszu! pan Henryk powraca!

Prędzej stół nakrywajcie i potrawy znoście...

Jakże będzie szczęśliwy, że ma w domu goście!

USTĘP CZWARTY.

(*Wnętrze chatki — pokój stołowy.*)

MARSZAŁEK, PŁODOZMIAN, HENRYK, MARYA

i w progu MATEUSZ.

(*Wstają od stołu.*)

M a r s z a ł e k (*ściskając Henryka*).

Obiad, panie Henryku, to gody Gamasza!

Bogdajby tak się wiodła cała podróż nasza!

Pyszny kwasek z zająca — z cietrzewia pieczyste —
Świadectwo gościnności dają uroczyste...

(*Do służącego:*)

I o tobie powziąłem wrażenie korzystne;

Kochany Mateuszu, niechże cię uściskę!

M a t e u s z.

O święty Mateuszu! to już pańska łaska...

Marszałek.

Niech mi zawsze tak trafnie powóz się roztrzaska,
To nie powiem i słowa.

(*Ziwa.*)

Sędzia (*ściskając Henryka*).

Tak, drogi sąsiedzie,

Uraczyłeś obiadem.

Marszałek.

Ale po obiedzie

Każę stary obyczaj przedrzemać się chwilę..
Czy zaśniesz, panie sędzio?

Sędzia.

Ja zasnąłbym mile,

Lecz nie mam chwili czasu, bo coś mi się marzy,

Że kochany mój sąsiad nieźle gospodarzy.

Przystroił chatkę w lesie jak wianuszek wonny,

Toć użątek w stodółce musi być niepłonny.

Widziałem na dziedzińcu jakiegoś wyrostka;

Gospodarska ciekawość — prosta ciekawostka —

Każę się oprowadzić po śpichrzach, stodołę..

Henryk.

Ja sam panu sędziemu towarzyszyć wolę.

Sędzia.

A broń Boże! broń Boże! jesteście ciekawi,

Lecz tu kochany sąsiad niech gości zabawi;

(*Wskazuje Maryę.*)

A ja wkrótce powrócę...

(*Do siebie.*)

Bo to niezła scheda,

Trzeba wszystko obejrzyć—może mi odprzeda.

(*Odchodzi.*)

Henryk *(do siebie, patrząc na Maryę).*

Boże, jaka zmieniona! nie musi być płocha...

Marya *(do siebie, patrząc na Henryka).*

Boże! jaki on blady!... on dotąd mię kocha...

Jabym chciała utrzymać odwagę kobiecą...

Marszałek.

No! pogawędźcie sobie, a ja chrapnę nieco.

(Ochodzi do drugiej izby.)

HENRYK, MARYA.

(Długie milczenie.)

Marya *(przerwywając je).*

Przesliczną mamy jesień.

Henryk.

Tak... jest trochę słońca:

Nad skonaniem przyrody lampa konająca

Dopala się powoli...

(Znowu milczenie.)

Marya.

W téj leśnej ustroni,

Kiedy wicher jesienny po szybach zadzwoni,

Kiedy liście opadną, gdy nastaną słoty,

Musi być bardzo tęskno...

Henryk.

Są chwile tęsknoty:

Myśl płynie w kraj daleki na jesiennym wietrze;

To nakreśli gmach szczęścia, to znowu go zetrze;

Leci czasem w gwar świata z pustelniczéj chaty

Na widnokrąg ludzkości piękny i bogaty,
Kędy postaci ludzkie promienia się, złocą...

M a r y a.

Szczęśliwy pan, gdy mniemasz, że jest wracać po co.
Świat taki monotony!

H e n r y k.

Jest inszy świat ducha.
W tamtym jest rozmaitość, kto się pilnie wsłucha.
W taktach ludzkiego serca tak różne są tony,
Jak w muzyce pod jeden akord niespojonéj;
Lecz chwilkę się wsłuchawszy, odgadnąć nietrudno,
Że z tych niesfornych tonów Bóg składa pieśń cudną.

M a r y a.

Ale trudno dosłyszeć, jak ludziom gra — dusza;
Bo każdy bicie serca umyślnie — zagłusza,
Aby go nie słyszeli.

H e n r y k (z westchnieniem).

Jam z miasta tak dawno,
Zapomniałem, czy skrycie, czy serca drżą jawno;
Lecz tutaj... myślą głośno... marzą jak na jawie...
Po prostu a serdecznie...

M a r y a (siląc się na ironię).

Za to nieciekawie.

Piękna sielska prostota... ale nieco dzika...

H e n r y k.

Jest piękno i w dzikości, kto bacznie przenika.
Tu pod nieokrzesianym dębowym konarem
Nieokrzესana ludzkość żyje ładem starym:
Modli się po kaplicach, albo u cmentarzy,
Lecz w jéj prostych pacierzach skra wiary się żarzy;

Śpiewa prostych piosenek chrapowate słowa,
 Ale w starój piosence całą duszę chowa;
 Praca czerni i marszczy ich czoła i ręce,
 Ale w sercach hartuje uczucia dziecięce.
 Tutaj nie zna przymusu ich mowa, ich oko:
 Gdy śmieją się, to hucznie—płaczą, to szeroko;
 A gdy podadzą rękę, to pewno już szczerze...

M a r y a (z lekkim przekąsem).

Pan dobrze lud poznałeś, a więc panu wierzę...
 I musi pan nic a nic nie żałować świata,
 Kiedy się z nowém życiem tak serdecznie brata.

(Z ukrytym niepokojem targa wstążkę.)

H e n r y k.

Nie, panil — tamto życie jak wspomnienie w ciemnie—
 Lecz piętno niezatarte wypaliło we mnie;
 A jeżeli nie upadł pod cierpień nawalem,
 To z tamtych tylko wspomnień potęgę czerpałem;
 I dziś ztamtąd ją czerpię, gdy marzeń pozbywszy
 Obrałem zawód życia czynniejszego i żywszy.
 Budzę się z jedną myślą—a ta myśl zbawczyni
 Błogosławi mą pracę, wytrwalszym mię czyni.
 Ja, ofiara marzenia, wygnaniec niebieski,
 Silnie jałem się pracy jak topielec deski;
 Czynię tutaj ubóstwu com uczynić w stanie,
 Szczere bliźnich *Bóg zapłać*, to moje zadanie.
 Tu mi jedni dziękują, drudzy o coś proszą,
 I tak się próżnia życia wypełnia rozkoszą.
 A gdy mi pot rześisty oblewa jagody,
 Gdy sumienie powiada, że dziś wart nagrody,
 Jedyna się modlitwa z moich piersi cisnie:
 Boże! tamtéj przeszłości choć chwilkę niech przysnie!

M a r y a.

Szczerze panu winszuję tój szlachetnej zmiany.
 Pan tu jesteś do koła chlubnie wspomniany;
 Tu mi mówił o panu strzelec siwobrody
 I ludzie, co nasz powóz dobywali z wody,
 I stary pański sługa—każdy swoje prawi,
 A każdy po swojemu pana błogosławi.
 Zwiedziłam pański dworek przed niedawną chwilą:
 Budynki tak się wdzięczą, kwiatki tak się miłą!
 Byłam nawet w pszczelniku, chodziłam przy strudze...
 Piękneż to takie życie w pracy i zasłudze!
 Tak zapełniać swe chwile—to życiem się zowie!
 Ale z pracą ostrożnie! bo wycieńcza zdrowie;
 Pan jesteś nieco blady, jakby po chorobie...

H e n r y k (zmieszany).

Lekkiego bólu głowy doświadczam w tój dobie,
 Nic... to przejdzie.

(Zmieniając rozmowę:)

A pani na długo kraj rzuca?

M a r y a.

Och! ja nie wiem... chcę jechać... bo tu bolą płuca,
 Duszne u nas powietrze... a ludzie... ohydni...
 Może pod jasnym niebem w oczach się rozwidni,
 Może w górach szwajcarskich w naturę uwierzę,
 Może w świątyni Piotra pomodłę się szczerze.
 Tu modlić się nie mogę, chociaż dusza chora!
 O cóż prosić w tém życiu, bez jutra, bez wczora?...
 Może stojąc na Etny ognistym wulkanie,
 Serce silniej uderzy — albo bić przestanie!...
 Ja nie wiem,—czuję tylko, że w sercu i w głowie
 Taka okropna próżnia... tak straszne pustkowienie...

Tak mi wszyscy niemili, tak nic nie poruszy...
 O panie! ty znasz życie, znasz tajniki duszy,
 Sam uczuleś w swém sercu co jest cierpienie ostrze:
 Dobry panie Henryku! poradź mi jak siostrze?

Henryk.

Ja tylko boleć mogę... ale cóż poradzę?
 Gdyby mi dał Przedwieczny nad losami władzę,
 Skazałbym się na męki w piekielnej otchłani,
 Bylebym zdołał nieco ulżyć cierpienie pani.
 Lecz słaby i zboląły — cóż poradzić mogę?
 Wskazać własną, krzyżową, doświadczoną drogę,
 Wskazać czynu i pracy mozolne koleje:
 Te może zdolne wskrzesić duch, co kamienieje!
 Jedź pani gdzie na wioskę — wszakże wioski macie, —
 Bądź aniołem pociechy w wyrobniczej chacie,
 Schorzałem kalece gotuj plastr na rany,
 Nagim dzieciom wioskowym sama szyj sukmany,
 Naucz pisma pacholę, co ginie w ciemnocie,
 Młode dziewczę utwierdzaj twym przykładem w nocio,
 Gwarz ze starym oraczem, śpiewaj pieśń ze żnieją,
 Śmieć się kiedy chychocą, zapłacz gdy łyż leją,
 I pracy i zasługi znajdziesz tam bez liku,
 To może ulży sercu...

Maryja (ze łzami).

Henryku! Henryku!

Już przeczuwam to szczęście, widzę je, znachodzę,
 Lecz któż mi poda ramię, by utwierdzić w drodze!
 Ty mi sam pokaż życie Czynem i Ofiarą.
 Wiesz co? luby! odnowmy naszą chatkę starą,
 Nasze stare marzenia! — Bóg wie co się stanie?
 Czy mi uda się zmówić pacierz w Watykanie?

Czy pokocham naturę z genewskich wybrzeży?
 Czy na kraterach Etny serce mi uderzy?—
 A tutaj... pod drewnianym krzyżykiem u drogi,
 Przypomnę stary pacierz, poznam lud ubogi,
 Jego serce cieplejsze od wulkanów Etny—
 A z okien twojej chatki taki widok świetny
 Nauczy, jak się Litwę i naturę kocha...

(*Kłeka.*)

Przebaczenia, Henryku! ja byłam tak płocha!
 Jam niewarta twój chatki!

Henryk (*podnosząc ją z zapalem*).

Maryo! taka chwila

Całą boleść łagodzi, mój żal obezsila.
 Podaj mi rękę! chodźmy przez ciernie i kwiaty.
 Błogosławiona chatka!..

Marya (*podając mu rękę*).

O jakżem szczęśliwa!

Mateusz (*wchodząc przerażony*).

O święty Mateuszu! ot i recydywa!

CIZ, MATEUSZ i MARSZAŁEK (*wchodzi ziewając*).

Marszałek (*do Mateusza*).

A cóż dobry staruszku, czy powóz podali?

Marya.

Powóz? Kochany ojczel! nie jedźmy już dalej!
 Po co nam za granicę? i koszt i fatyga!
 Czyż się w kraju prawego szczęścia nie dościga?
 Wśród życia obowiązków ofiary i pracy,
 Gdzie tyłu jest cierpiących, gdzie bliźni, rodacy,

Gdzie mię czekają serca i ducha rozkosze—
Nie jedźmy, drogi ojcze, nie jedźmy ztąd proszę!

Marszałek.

Co to za dziwny wyskok rozmarzonej głowy!
Jechać, to wracać z drogi prawie od połowy,
Brak wygod po gospodach, niepokój morderczy...
Już mi ta wasza podróż kością w gardle sterczy!
Nie dojadaj w południe, nie dosypiaj z rana,
Wywracaj się na mostach pana Płodozmiana...
A teraz co? nie jechać? nazad się posuniem?

(Do Mateusza.)

Proszę mi podać lulkę i kapciuch z tytuniem...
Cierpliwości nie staje...

Marya.

Nie gniewaj się ojcze!
Już na zawsze minęły nudoty zabójcze,
Co mię pędziły z domu—jam odżyć gotowa,
Ja ci będę wesola, ja ci będę zdrowa,
Ja ci będę szczęśliwa... będę tak szczęśliwa!
Nie jedźmy.

Marszałek (zdumiony).

Cóż to znaczy?

Mateusz (półgłosem, podając mu fajkę).

A cóż? recydywa.

Marszałek (domyślnie).

Aha!! już jestem w domu... jestem w leśnej chacie.
Myśleliście, że nie wiem, iż wy się kochacie?
Oho! ho! ja wiem wszystko... wiedziałem już wprzód.
Ależ potem... wasz rozdział... choroby i nudy!..
Sądziłem, żeś przestała kochać go na zawsze.

M a r y a.

On dziś mię wskrzesił słowem, wskazał cele prawsze,
 Wskazał czyny jak wielkie życia ideały,
 Rozbudził piękne żądze, co w mém sercu spały.
 Mnie — abym je spełniła, potrzebna opieka;
 Prosiłam go o ramię — i on mi przyrzeka
 Prowadzić drogą życia przez kwiaty i ciernie...
 Dochował mi swych uczuć szlachetnie i wiernie,
 Przebaczył moją płochosć, moją winę zmazał,
 I na nowo, i wiecznie pokochać się kazał...
 Mój ojcze, pobłogosław.

M a r s z a ł e k *(do Henryka).*

Cóż pan na te dziwy?

H e n r y k *(składając ręce do prośby).*

Panie! chcę uszczęśliwić i sam być szczęśliwy.
 Tém śmielej błagam zgody dla przyszłości naszej,
 Że znam zapał téj duszy... mierność jój nie straszy;
 Ona chętnie zamieszka w téj leśnej pustyni,
 A miłość mię na trudy silniejszym uczyni!
 Przysięgam...

M a r s z a ł e k.

Nie przysięgaj—wierzę waści, wierzę...
 Widzę, żeś tu pracował gorliwie i szczerze;
 Pięknie, że tu cię wszyscy wspominają radzi;
 Syn mego przyjaciela... dobrze się prowadzi...
 Dał-ci nam smaczny obiad — no! kocham cię za to!
 Majątek!! a toż, słyszę, masz ciotkę bogatą;
 Umrze kiedyś... to grosza wygrzebiesz z zapiecka...
 Zresztą... ja dobry ojciec — ja chcę szczęścia dziecka.
 Gdyście się pokochali, zwyczajnie jak młodzi,
 Staraj się o jój szczęście, Bóg ci wynagrodzi...
 No! ja was błogosławię rodzicielską władzą!

Warto zapie tę sprawę—niech kielich podadza!

(Ścisła Maryę i Henryka.)

CIŻ I PŁODOZMIAN.

Płodozmian *(który słyszał ostatnie słowa, cofa się przerażony).*

Marszałku dobrodzieju! poczekajcie trocha!

Niech marszałek dobrodziej, kiedy Boga kocha,

Słoweczko interesik...

(Do siebie:)

O biada mi, biada!

Otoż przepyszna gratka sama z rąk wypada!

(Głośno:)

Marszałku! na sekrecik! coś powiem, coś powiem!

(Porywa marszałka pod rękę i odprowadzając na stronę szepce:)

On pana oczarował tém leśném pustkowiem.

Któż to widział — tak nagle, a tak obcesowie!

Marszałek.

Od tego Maryi życie, od tego jój zdrowie,

Od tego i mój spokój, i wszystko zależy...

Sędzia *(niecierpliwie).*

A czyż niema już inszój na świecie młodzieży?

Marszałek.

Czy masz co przeciw niemu?

Sędzia.

Nie, nie, ale proszę...

Marszałek.

Chłopiec prawy....

Sędzia.

To mniejsza...

Marszałek.

I będzie miał grosze.

Marya dała mu serce....

Sędzia.

To niechaj odbierze...

Zresztą panie marszałku! rozmówmy się szczerze.

(Kłeka.)

Ja kocham ją nad życie — aż serce się trzęsie,

Jakby mówiło do mnie: ożeń się! ożeń się!...

O posażku nie mówię: ja serca chcę więcej....

Wezmę tylko połowę, trzykroć sto tysięcy...

Choćby trzykroć, cóż robić?.. resztę gdzie chcesz
podziękuj....

Tylko nazwięj mię synem marszałek dobrodziej!

Ja panu marszałkowi... ja panu... Bóg świadek,

Wydam przepyszny obiad... przepyszny obiadek,

Sto obiadków od razu... dam zajęczka, wina!...

Marszałek (z głośnym śmiechem).

Zwaryował nasz sędzisko! coś bredzić poczyna!

Żenić się w twoim wieku! z tak młodą osobą!

Sędzia (zawsze kłęcząc).

Marszałku dobrodzieju! mam metrykę z sobą!

(Szuka po kieszeniach.)

Zapomniałem w kantorku... nie więcej... nie więcej...

Trzydziesty pierwszy roczek i kilka miesięcy...

Ojczel...

Marszałek (podnosząc go).

Powstań już sędzio! bo śmieją się dzieci!

Zkąd ta miłość przypadła do serca waszeci?

Daj pokój! w naszym wieku! my ludzie nieswieży,
Nie przeszkadzajmy szczęściu niewinnej młodzieży...
Nie mogę.... dałem słowo.... to rzecz uroczysta —
No! wypijemy wina i zagramy w wista!

Grudzień 1855. Borejkowszczyzna.

PRZYPISY.

STR. 3. Stella Fornarina.

Pomimo usprawiedliwienia autora w przedmowie, ntwór ten krytyka dziennikarska powitała niezbyt życzliwem okiem, z powodów zresztą niekoniecznie artystycznych. Trudno obwiniać pisarza, iż przedmiotu do pieśni szuka niekiedy po za obrębem rodzinnego kraju; trudno go także obwiniać o wybór tego a nie innego przedmiotu i o sposób zapatrywania się na swój przedmiot. Nędzny Don Karlos historyczny i wzniosły Don Karlos Szyllera, jakież to różne, jak dalekie od siebie postaci! Naszém zdaniem różnica pomiędzy nimi daleko większa niż pomiędzy Fornariną historyczną a Fornariną obecnego poematu. Biografowie Rafaela, wdzierając się w tajemniczy stosunek serdeczny malarza z piękną piekarką, widzieć go jasno nie mogli, skoro się rozdzielili na dwa wręcz przeciwne obozy oskarżycieli i wielbicieli kochanki wielkiego mistrza kształtów. To pewna, że przypisujący temu stosunkowi przedwczesny zgon Rafaela, nie popisali się z należytą znajomością sprężyn psychologicznych i fizyologicznych działających w człowieku. Trafniejszy może byłby zarzut, iż poeta przesadził w idealizowaniu, przypisując kobiecie w życiu duchowém artysty nierównie więcj znaczenia, aniżeli kiedykolwiek mieć mogła i może. Ani Fornarina, ani żadna z osobna wzięta kobieta nie mogła być „natchnieniem“ Rafaela nawet co do pojedynczych postaci jego obrazów. Duch, który z tych postaci rysami przypominających Fornarinę przegląda wiekiustą młodością nadziemskiego żywota, nie jój był duchem, bo samaby się stać musiała drugim Rafaelem; było to widzenie własnej duszy artysty. Bądź co bądź, lepsza już taka przesada, dowodząca zacości serca pisarza, chociażby karmiącego się złudzeniami, aniżeli przesada wręcz przeciwna, odzierająca ludzkość ze wszelkiej aureoli świętości. „Zapał tworzy cuda,“ powiada wielki poeta; a cóż stworzyła bezmyślna negacya wszystkiego, co wznosi się nad poziomy?

Fornarina była drukowana po raz pierwszy w Warszawie u Orgelbrandra, nakładem księgarzy mińskich braci Bejlinów w r. 1858 (z datą 1859).

STR. 18. Głowa artysty, głowa nieszczęśliwa.

Ustęp obecny jest wizerunkiem własnych katuszy duchowych poety skazanego na życie w gwarze miejskim.

STR. 22. Bo już przeczuła, że to jój sądzony.

Sądzony — prowincjonalizm: przeznaczony przez Boga na męża, bogdaneek.

STR. 45. Illuminacya.

Przez niebaczność naszą przy układaniu rękopismu, utwór ten napisany w jesieni 1856 r. w Borejkowszczyźnie, znalazł się na niewłaściwym miejscu. Miejsce jego powinno być w tomie III pomiędzy *Jankiem Cmentarnikiem a Królewskimi Lutnistami*. Wydrukowano go po raz pierwszy w t. V *Gawęd* 1857 (Wilno, nakład Assa).

STR. 45. Grzechotka pocztowa jęczała z płaczem.

Borejkowszczyzna leży tuż przy trakcie pocztowym idącym z Wilna do Oszmiany.

STR. 53. Widzenie Pustelnika.

Dotąd raz tylko drukowano w odcinku *Gazety Warszawskiej* 1858.

STR. 57. Trzy córki Litwiņa.

Wydrukowano po raz pierwszy w t. VI *Gawęd* 1861. Konradowicz w przypisku w następnym sposób sam opowiada genezę tego utworu: „Balladę podobnej treści miał improwizować Mickiewicz w Paryżu po francuzku w jednym z przyjaznych domów. Mając ją sobie opowiedzianą przez p. K. w Poznańskim, zapisał ją wierszem, a że myśl obecna: rozdzielenie narodowości Litwy pogańskiej przez trzy sąsiednie cywilizacye, zdała mi się refleksem, jakby domówieniem *Budrysa*, użyłem formy tój Mickiewicza ballady“.

STR. 58. Jeden z mieczem a w szłyku.

Szłyk — wysoka, śpiczasta czapka futrzana, którą dotychczas jeszcze napotykać się zdarza w niektórych okolicach Litwy.

STR. 70. Dzieje karty papieru.

Ogłaszamy z autografu uprzejmie nadesłanego przez p. Władysława z Zacisza. Parę strof z tego niedokończzonego poematu znajdujemy jako epigraf w dziele Kondratowicza *Niemien*; inne *Opiekun Domowy* wydrukował po śmierci autora w 1867.

STR. 76. Księgarz uliczny.

Wilno posiadało kilka pięknych typowych postaci żydowskich. Do takich należał opisywany w dziennikach zmarły przed kilkunastu laty Kaftan, który całe swe mienie, pracę, dni i noce poświęcał niesieniu pomocy nędzarzom, sam żyjąc w największej biedzie, by ani grosza przeznaczonego dla ubóstwa nie uронić. Do takich też postaci należał bohater obecnej gawędy, zmarły przed ośmiu laty w późnej starości bukinista wileński Kinkulkin, ojciec wspomnianego przez nas w przypisku do *Garści pszennej* (t. II str. 352) totumfackiego naszego poety. Kondratowicz w gawędzie odmalował go z historyczną wiernością. Skargi podobne do włożonych mu w usta słyszeliśmy sami, kiedy za bezcen nabyte po jednym z profesorów b. uniwersytetu wileńskiego śliczne wydania elzewirowskie oddawał nam po parę złotych, a przytém rozwodził żale, że teraz nikt tego kupić nie chce, gdy dawniej może nawet te same egzemplarze sprzedawał po dukacie. Kondratowicz z zamiłowaniem chodził około tego utworu, bo z gruntu go prawie przerobił. W pierwotnej postaci drukowano go najprzód w *Tygod. Illustr.* 1860 i ztamtąd przedrukowano dosłownie w *Poezyach ostatniej godziny* 1862; przerobiony zamieścił autor w t. VI. *Gawęd* 1861, i ztamtąd podaliśmy go w tekście.

STR. 76. Aksamitna publiczność po książki się garnie.

War.: Aksamitna, złocista publiczność się garnie,
A książki przepłacane, chwytane z rozkoszą,
Pożytek i zabawę po Litwie roznoszą.

STR. 77. Kiedy w słowie Platona etc.

War.: Gdy w słowie Cyncerona.

STR. 77. Duch olbrzymiał w potęgę etc.

War.: Duch nabierał potęgi.

STR. 77. Za Plautusa, choć prawda inkunabuł stary.

War.: Za Plautusa egzemplarz podarty i stary.

STR. 78. Dzieła choć naukowe szły etc.

War.: Książki choć na bibule.

STR. 78. Niejeden z nich dostąpił sławy literata.

Ten i następnych pięć wierszy dopisał autor przy przerobieniu.

STR. 78. Niejeden—tych paniczów etc.

Dwa wiersze później dopisane.

STR. 79. Bo z biedy cóż mam począć?

Dwa wiersze podobnie dopisane później.

STR. 79. Jeszcze wyżej w mym handlu...

Cztery wiersze dopisane.

STR. 80. Bóg mi czterdziesto-letnią wynagrodzi pracę.

Dwa wiersze dopisane.

STR. 80. Kupujcie go panowie.

War.: Kupujcie Walter-Seota!

STR. 81. **Marcin Studziński.**

Poemat obecny osnuł Kondratowicz na jednej z owych legend, które na podobieństwo powoju oplatają wdziękiem zieleni wielkie zwaliska, jak był mur niegdyś opasujący Wilno, i groby wielkich mężów, jak był biskup wileński Wojciech Tabor, który owego muru obwodowego stał się pierwszym promotorem. Autor folgował tu nieco swobodzie poetyckiej, albo też oparł się może na mętném źródle historycznym, kiedy śmierć biskupa opisuje jako zaszłą w Wilnie; mąż ten znany z nieustraszoneści i cnotliwej zasługi umarł d. 27 marca 1507 r. w Krakowie, dokąd był zjechał na koronację Zygmunta I-go (*Tomie. I, 18*). Podobnie zboczył autor od ścisłości historycznej, mówiąc o znajdowaniu się Tatarów w Lidzie w r. 1506; zagon ich bowiem o milę na południe od Lidy był wstrzymany przez podjazdy polskie, pogrom zaś pod Kleckiem zmusił wszystkie rozproszone po Litwie siły tatarskie do jak najszybszej ucieczki ku południowi (*Strzyk. wyd. warsz. II, 332*). Zresztą poeta nietylko pod względem barwy wielkich wypadków, lecz i pod względem ich przebiegu był wierném echem historyi.

Marcin Studziński wyszedł po raz pierwszy nakładem M. Orgelbranda w Wilnie 1859 r.

STR. 91. Trzy krzyże wieńczą górę pochyłą.

W Wilnie nad samą Wilenką wznoszą się trzy urwiste góry przedzielone ciasnymi wąwozami. U zbiegu Wilii z Wilenką stoi góra Zamkowa, na której dotąd pozostały reszty zamku zwanego Wyższym; na drugim krańcu wciąż osypuje się Bekieszowa, na której był pogrzebiony i uczczony pomnikiem ulubieniec Stefana Batorego Kacper Bekiesz; w środku zaś pomiędzy niemi dźwiga się góra Trzykrzyżka, o której mowa w poemacie. Nazwa jej pochodzi od trzech krzyży drewnianych, które do niedawnego czasu przez całe wieki odnawiano na pamiątkę męczeństwa Franciszkanów, poniesionego od pogańskiej Litwy za Ogięda.

STR. 99. Dwie kopy groszy składałam w ofierze.

Według Czackiego owoczesna kopa groszy litewskich na dzisiejszą monetę czyniła 37 $\frac{1}{2}$ złp. Należy jednak mieć na względzie nie samą ilość kruszcu zawartego w pieniądzu, lecz i stosunek ilości pieniędzy do innych przedmiotów. Pieniądz wówczas był jeszcze bardzo rzadki: ztąd za barana płacono wtedy 2 złp. 8 gr., za dzień roboczy 8 gr. na dzisiejszą monetę. Zatem w stosunku do obecnej ceny barana i dnia roboczego trzeba by cenę kopy pomnożyć przez 10, z kąd otrzymalibyśmy przybliżony stosunek 375 złp. na kopę. To dopiero daje miarę ofiary, o której mowa w poemacie.

STR. 102. Ze starożytniej Krywejtów wieży.

Niższe piętro dzwonnicy kościoła katedralnego Ś. Stanisława w Wilnie, fundowanego jak wiadomo w r. 1387, jest ułamkiem jakiejś niekształtnej starożytniej budowy, którą historycy Wilna uważają za wieżę obrzędową kapłanów pogańskich.

STR. 103. A Święty Krzysztof na jój sztandarze.

Herb miasta Wilna do r. 1840 wyobrażał Ś. Krzysztofa w postaci legendarnej, t. j. niosącego Chrystusa przez rzekę i trzymającego w ręku całe drzewo zamiast kija.

STR. 106. Wiatr ciągle wieje od stron południa.

Bitwa, którą tu autor opisuje, zaszła pod Kleckiem, w owoczesnym województwie i powiecie Nowogródzkim, 8 sierpnia 1506 r.

STR. 107. I szarpią kwiaty na sianozęci.

Sianożęć—prowincjonalizm zamiast: ląka.

STR. 120. Gdzie jest Ostaszyn, Cyryn, Połonka.

Wioski w dzisiejszym powiecie Nowogródzkim.

STR. 122. Idzie na pomoc jak miecz anioła.

Alluzya do herbu województwa Nowogródzkiego, który wyobrażał anioła.

STR. 140. Dziewiczy wieczór.

Zamieszczone tu ułamki tego cudnego poematu ogłoszono po raz pierwszy staraniem J. I. Kraszewskiego zaraz po zgonie poety w *Poezjach ostatniej godziny* (Warszawa, nakład G. Sennewalda, 1862). Tu raz na zawsze powiedziec uważamy za stosowne, iż tytuł wspomnianej książki w błąd wprowadza czytelnika, jakoby wszystkie zamieszczone w niej utwory należały do „ostatniej godziny” ziemskiego żywota poety. Tymczasem są tam poezye pisane na lat kilka przed zgonem, a jedna nawet: *Zawczęście*, urodziła się jeszcze w Załuczu, na lat kilkanaście przed r. 1862. Sam *Dziewiczy Wieczór* z r. 1860 należy do punktu kulminacyjnego twórczości artystycznej Kondratowicza.

STR. 142. Co będzie jadł, co będzie pił
Mój koń chudzina?

Dwa te wiersze są istotnie wzięte ze stariej pieśni żołnierskiej z XVI wieku. (Przyp. Autora.)

STR. 147. Prosty dajlide jak może kleci.

Dajlide—po litewsku: cieśla.

STR. 147. Długa, szeroka chata Litwina.

Następuje wierny opis dawniej chaty litewskiej, którą dziś znaleźć można jedynie w głębi Zmujdzi. Litwini zowią ją *Numaj*. Bliższe szczegóły w *Litwie* Kraszewskiego (I, 227 et sq.).

STR. 150. I zaśpiewały aż serce boli.

Wszystkie pieśni w tej drugiej części *Dziewiczego Wieczoru* są artystycznym rozwinięciem motywów branych z pieśni litewskich, drukowanych u Rhezy i Kraszewskiego. Z przykładu

danego przez Kondratowicza w tym utworze widzieć można, jakim nieoszacowanym materyałem dla prawdziwego poety mogą być pieśni ludu.

STR. 157. Dokumenta.

Drukujemy z rękopismu, otrzymanego od b. sekretarza naukowego Komissyi Archeologicznej Wileńskiej Maurycego Krupowicza. Utwór ten przeznaczony był do książki zbiorowej *Poziwianie*, złożonej z upominków literackich na rzecz dogorywającego w ciężkim niedostatku brata po piórze Waleryana Tomaszewicza, a wydawanęj staraniem Krupowicza. Nie był jednak w rzezonęj książce zamieszczony, i tu się po raz pierwszy ogłasza. Osnowę jego wzięł autor z baśni ludowej.

STR. 165. Neminem captivabimus.

Dosłownie: „Nikogo więzić nie będziemy,“ — zobowiązanie królewskie, wielokrotnie od czasów Władysława Jagielly ponawiane, że szlachcie nieprzekonany sądownie o zbrodnię, albo też nie schwytyany na gorącym uczynku, więziony być nie powinien. Jest to angielskie *Habeas corpus*, tylko w ciałniejszym zakresie.

STR. 167. Szkoła wiejska.

Ogłoszona była po raz pierwszy w *Kuryerze Wileńskim* 1862; następnie w *Poezyach ostatniej godziny*. Kiedy tę gawędę pisano, był czas wielkiego krzątania się prywatnych około kształcenia ludu wiejskiego. Znalazł się atoli jeden, sąsiad na wsi, znajomy, ba! tytułujący się pono i przyjacielem poety, do którego z powodu tego utworu, w lutym roku Pańskiego 1862, wyrymował następujące słowa:

„Czytałem *Szkółkę!* zacny Władysławie,
To uniwersytet w Krakowie, w Warszawie;
Uczeń zrozumiał różne fakultety,
Wykił uczonych, jak czynią poety;
A teraz szlachcie, niech jak chce rozumie
Czy od muzyka ktoś więcej co umie?
Nie chce on zostać panem, hułanem!
Z góry pogardza rozmaitym stanem,
I główką swoją o ścianę stuka,
Woli pozostać w stanie nieuka.
I dobrze robi, bo te wybryki
Gdy poczną działać wszystkie muzyki,
Nie będzie komu orać, bronować,
Woliki karmić, wieprze hodować,
Nie będzie chleba, mięsa i sadła, —
Oby nauka taka przypadła,

Gdzie próżny wymysł — a praca mała!
Właśnie od tego szlachta zhołała. —
Pisz proszę dalej takie przestrogi,
Będzie chleb, mięso, smaczne pierogi,
I kraj bogaty w srebro i złoto, —
Wrzuc ideały w bezdenne błoto!..

Kondratowicz na tym płodzie nierządnej Muzy napisał ołówkiem następujące słowa:

„Patrz co za słodka nagroda pracować dla publiczności i być w ten sposób zrozumianym!! To zdolne na zawsze pióro z ręki wytracić“.

STR. 169. Kazał pan... kazał pan starszyna.

Starszyna — według nowego wówczas prawa o urządzeniu włościan, główny przedstawiciel wybieralny gminy, niemal to samo co wójt w Królestwie.

STR. 167. Żył łustą chleba czarną i twardą.

Łusta — prowincjonalizm: duża kromka.

STR. 175. Pieśń o Łazarzu i o bogaczu.

Alluzja do pieśni kantyczkowej, w której opisano nagrodę w niebie enotliwego biedaka i katusze piekielne występnego bogacza.

STR. 177. Pieśń o Świętosławie.

Ogłasza się z autografu. Ob. poniżej przypisek do str. 189.

STR. 178. W oczach miał zapal i błogosławieństwo.

Brak w rękopiśmie jednego wiersza.

STR. 181. Ułamek powieści.

Drukowano raz pierwszy z autografu w *Kalendarzu Ilustr. Jaworskiego* na rok 1871.

STR. 187. Tandeciarz.

Zamieszczono po raz pierwszy w *Tygodn. Ilustr.* 1862 r.; następnie w *Kalendarzu Ilustr. Ungra* na rok 1865.

STR. 189. Błogosławiony szewe Świątosław.

Utwór obecny począł był autor pisać inaczej, widocznie na rozleglejszą skalę (ob. w tym tomie str. 177); lecz coraz większy upadek sił fizycznych zmusił do zaniechania przedsięwzięcia. W takim kształcie jak tutaj dajemy, napisał tę legendę Kondratowicz po przeniesieniu się z Borejkwoszczyzny do Wilna, na parę tygodni przed zgonem. Osnowę legendy wziął autor z *Fortecy duchownej* Hyacynta Pruszcza, 1662 r., gdzie cały żywot błog. Świątosława szczegółowo opowiedziano. Utwór ten przeznaczony przez autora do *Kalendarza Illustr. Ungra*, był w nim drukowany na rok 1863.

STR. 196. Dwa Obrazy.

Jest to ostatnia praca epicka Kondratowicza. Dyktował ją na śmiertelnym łożu i arkuszami przesyłał dla *Noworocznika Ilustrowanego dla Polek*, w którym też ogłoszono ją na rok 1863. Na ostatnim niemal wierszu niedokończonego wspomnienia Polesia, okolicy, w której się urodził, na zawsze zamknął powieki. Myśl tu ciągle wypowiada już posłuszeństwo woli; ale poeta spełnił co był poprzysiągł przez usta Henryka w *Chatce w lesie*, że te „miejsca wyszepece konającemi usty.“

STR. 202. Jak żółta ruda z pod stop mu wybucha.

Ruda — miejscowa nazwa wody na bagnach, zabarwionej na kolor czerwonawy rozpuszczonemi związkami żelaza, zwykle znajdującemi się w głębi bagna pod postacią pospolitej rudy żelaznej.

STR. 207. Cygani.

Jest to przeróbka początkowych scen opery Książczyna *Cygani*, dokonana na żądanie Stanisława Moniuszki, który zamierzał wtedy napisać do niej muzykę. Ogłaszamy z autografu łaskawie nam udzielonego przez p. Moniuszkę.

STR. 211. Rok w pieśni.

Utwór ten z powodu tytułu „kantaty do muzyki St. Moniuszki,“ danego przez autora, należećby powinien do działu lirycznego; zamieściliśmy go jednak w tém miejscu ze względu na formę zewnętrzną libretta do opery. Kondratowicz pisał go podczas kilkumiesięcznego pobytu w Wilnie 1852, kiedy razem z Moniuszką mieszkał pod jednym dachem w domu rodziców małżonki naszego mistrza tonów. Przerwawszy pisanie na pierwszej części, już do dalszego ciągu nie wrócił; przyczynił się do tego następnie wyjazd Moniuszki do Warszawy, co utrudniło niezbędne a ciągle porozumiewanie się autora z kompozytorem.

Trzy piosnki z tej kantaty zamieścił autor w tomie II *Gawęd;* całość, jak ją tutaj podajemy, drukowała *Gazeta Warsz.* w r. 1854.

STR. 221. Pilnujcie porządku na sznurze.

Sznur — prowincjonalizm: nazwa długiej a wąskiej niwy.

STR. 224. Szkoda na skwarze oblicza.

War.: Słońce mi spiekło oblicze..
I moje dumki dziewicze.

STR. 229. Margier (libretto).

Ogłaszamy z autografu. Dzieje powstania tego ułamku opowiedzieliśmy w przypisku do poematu *Margier* (t. II str. 343). Była to pierwsza praca Kondratowicza po zupełnym przeniesieniu się z Załucza do Wilna, przzerwana gwarem życia miejskiego, z którym się jeszcze nie był oswoił i nigdy w zupełności oswoić nie mógł poeta, wykołyszany marzeniami na łonie cichej wioski i nieskalaniej natury.

STR. 235. Nie taki straszny....

W tém miejscu, jak wskazuje paginacya, brak jednej kartki rękopismu, która nie wiemy czy zginęła, czy też nie była napisana, gdyż Kondratowicz pisanie wybitniejszych ustępów odkładał niekiedy do szczęśliwszej chwili natchnienia.

STR. 241. Chatka w lesie.

Kondratowicz tego „dziwactwa dramatycznego“, jak go nazywa, nie uważał za utwór odpowiadający warunkom scenicznym; oświadcza to i w przedmowach do *Chatki* i w dedykacyi później napisanego *Hrabiego na Watorach*, którego nazywa „pierwszą próbką dramatyczną“. Rzeczywiście, ruchu dramatycznego w tym utworze niewiele, a liryzmu jak na dramat za dużo. Atoli wyborne postaci Czcionki, Płodozmiana, Marszałka, Trzaski, Mateusza, zachęcały do wystawienia *Chatki*, chociażby z pewnemi zmianami. Jakoż najprzód dla sprawienia niespodzianki autorowi grano ją na teatrze amatorskim w przyjaznym dla autora domu w Suderwie, a następnie weszła i na scenę warszawską. Talenta pani Palińskiej w roli Maryi, pp. Królikowskiego i Sawickiego w roli Płodozmiana, Rychtera i Ostrowskiego w roli Marszałka, Panczykowskiego w rolj Trzaski, Chęcińskiego w roli Mateusza, Komorowskiego i Świeszewskiego w roli Henryka, Damsego w roli Czcionki, niemało się przyłożyły do zapewnienia pochlebnego przyjęcia tego utworu przez publiczność warszawską. Wszakże nadewszystko niezrównany

był Panczykowski w roli starego myśliwca, który jakkolwiek raził uszy litewskie przesadzonem niby litewskiem przeciąganiem mowy, stanowił typ tak pod wszystkimi innymi względami prawdziwy, tak oryginalny, że każdemu kto go widział, na zawsze wrażał się w pamięć. Trudno, ażeby ktokolwiek mógł dorównać Panczykowskiemu w tej małej roli, która przez niego była pierwszorzędną na scenie.

Dwie części *Chatki*, napisane w przerwie kilku miesięcy roku 1855, drukowane były w dwóch osobnych książkach nakładem A. Assa w Wilnie 1855 i 1856 r. Wyjątek przed ogłoszeniem całości zamieściła *Gaz. Warsz.* 1855 r. Okładka do drugiej części wystawiająca w fantastycznym otoczeniu „chatkę w lesie“ rytowana była podług rysunku autora.

STR. 242. *Spinus et tribulos germinabit tibi terra.*

Werset z Pisma Św.: Ciernie i osty rodzić ci będzie ziemia.

STR. 254. Pięć talarów za arkusz.

Trudno sobie przy tej scenie nie przypomnieć, że Kondratowiczowi za arkusz druku *Dziejów literatury* płacił wydawca po pół-ósma rub., i to część znaczną zapłaty dawał książkami po cenie katalogowej. „No... pół-ósma—niech już będzie osiem...”

STR. 269. I wszystkie koszta prawne, poszlina...

Poszlina—prawny termin rossyjski, oznaczający tutaj opłatę na rzecz skarbu przy sprzedaży nieruchomości.

STR. 312. O! macie Szaciłówkę!

Był jakiś Szaciło w okolicach Nieświeża, słynący z posiadania starej wódki. Wspomina o nim Kondratowicz w liście poetyckim do Kątkowskiego, autora *Ambrożewicza*: „Boć to kielich z Nalibok, starka od Szaciły.”

STR. 328. Obiad, panie Henryku, to gody Gamasza.

Opis tych niesłychanie „obfitych“ godów stworzyła fantazja Cerwantesa w *Don-Kiszocie*.

STR. 334. Śpiewaj pieśń ze żnieją.

Prowincjonalizm: żniwiarka.

STR. 335. Chodźmy przez ciernie i kwiaty.

Tu brak jednego wiersza.



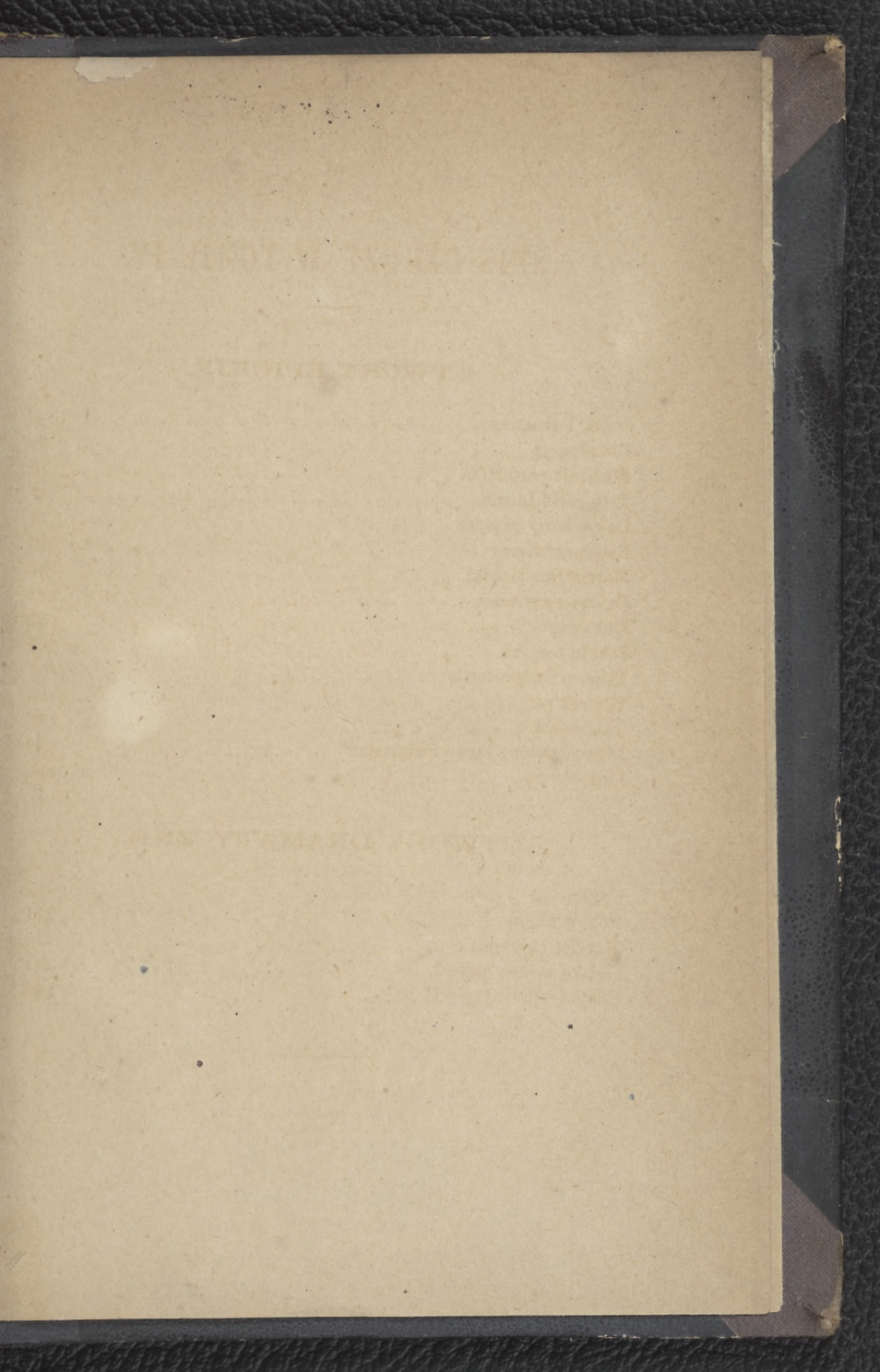
SPIS RZECZY W TOMIE IV.

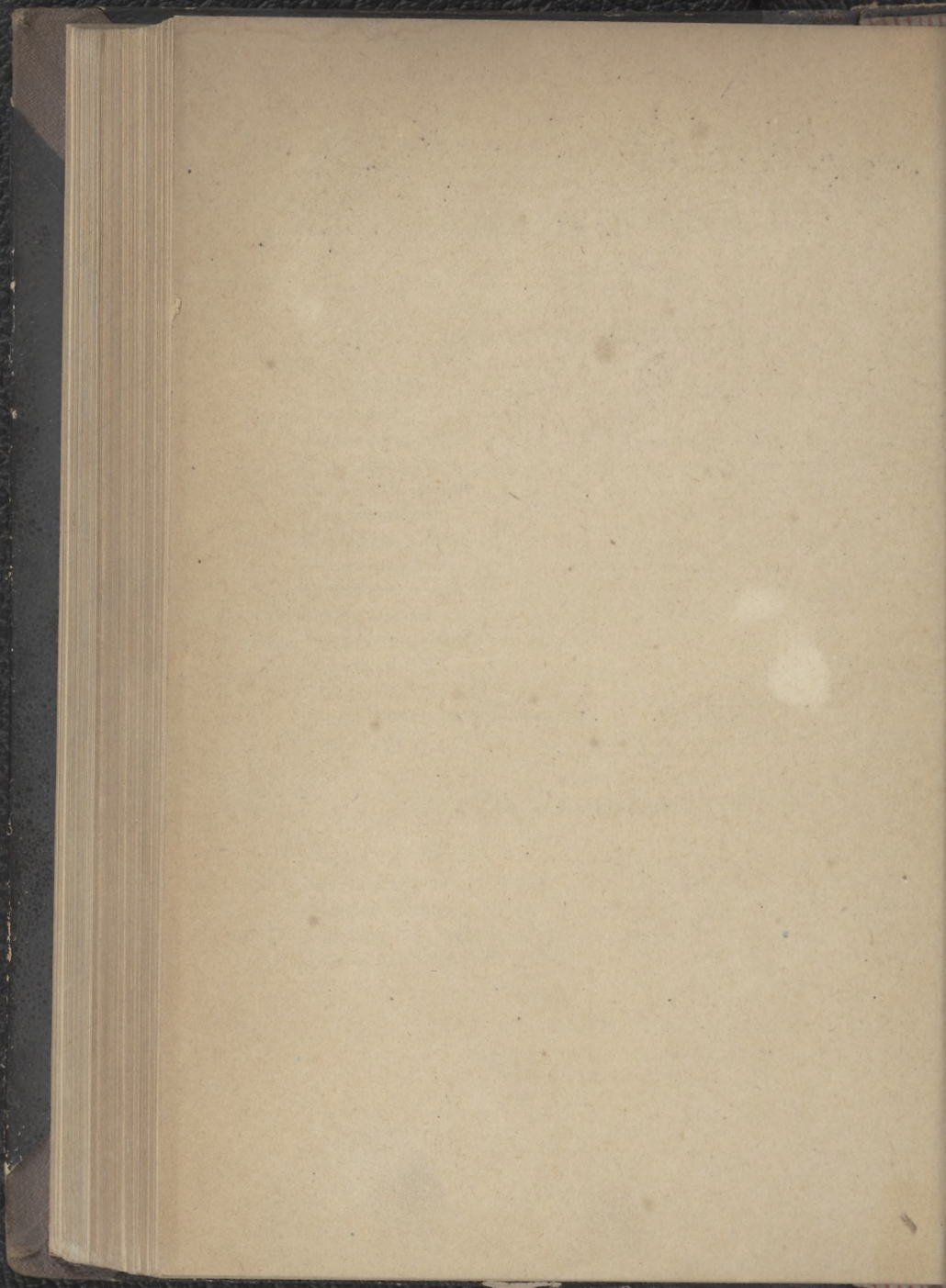
UTWORY EPICKIE.

Stella Fornarina	3
Illuminacya	45
Widzenie pustelnika	53
Trzy córki Litwina	57
Dzieje karty papieru	73
Księgarz uliczny	76
Marcin Studzieński	81
Dziewiczy wieczór	140
Dokumenta	157
Szkoła wiejska	167
Pieśń o Świętosławie	177
Ułamek powieści	183
Tandeciarz	187
Błogosławiony szewc Świętosław	189
Dwa obrazy	196

UTWORY DRAMATYCZNE.

Cygani	207
Rok w pieśni	211
Margier (libretto)	229
Chatka w lesie część I	241
Chatka w lesie część II	286





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021005884



BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

2007419

TL